

**JAN PAPUGA**

**SZCZURY MORSKIE**

**(SEA RATS)**

**»KSIĄŻKA«**

**1946**

Opracowanie graficzne:

**ST. BRZĘCZKOWSKI**

Druk:

**DRUKARNIA P. Z. P. .Nr 2 W  
INQWROCLAWIU (tekst)**

**DRUKARNIA POLSKA P. Z.P. Nr 1 BYDGOSZCZ  
(okładka)**

**Z B U R Z O N Y D O M .**

Słońce już było wysoko, słaby wschodni wiatr lekko łuszczył wodę, nastał piękny sierpniowy poranek. Sierpień na Bałtyku jest najpiękniejszy. Na pokładzie szwedzkiego frachtowca s/s „Karen”, idącego z Ameryki, marynarze szybko układali „manile” i stalkówki ciesząc się, że znów port. Najbardziej spieszył się i cieszył jeden z marynarzy, różniący się od innych większą masywnością, ciemniejszymi włosami i opalenizną, jakiej żaden Szwed nigdy nie nabył. Układając grubą manilę w krąg prychał od czasu do czasu, wypuszczając powietrze. Często wysuwał twarz pod wiatr, lubił, kiedy go wiatr chłostał, rzeźwił się nim i czuł słońce w skórze. Gdy odpryski wody padały mu na twarz, nie wycierał się szybko; wpierw z wielką radością smakował sól. Pływał na statkach szwedzkich już siedem lat; zaczął w kuchni. Gdy miał siedemnasty rok, był doskonałym marynarzem; żywymi, burymi oczami widział wszystko. Gdy sztorm przychodził czuł go w ciele, gotów był wtedy do największego wysiłku.

Największą radość chował w sobie głęboko; postanowił być kapitanem, och, jak on by prowadził statek, wszystko by dojrzał, o wszystkim by wiedział.

Lecz przyszła na niego jeszcze większa radość. Gdy jego statek stał przy nadbrzeżu cukroportu w Gdyni, często chodził ze Szwedami w czasie pracy do pobliskiego kiosku

6

na szklanekę wody sodowej lub piwa. Lubił tam chodzić;

podająca mu dziewczyna śmiała mu się w oczy jak żadna i zawsze pytała o wydarzenia z ostatniej podróży. Czuli do siebie więcej niż sympatię, aż pobrali się trzy i pół roku temu. Szybko potem przyszedł syn, matka mu dała imię jak było ojcu — Franek.

Potem przyszedł czas najtwardszej pracy i największego wysiłku. Stale pływał na statkach widując się ze swoją Zosią i Frankiem tylko wtedy, gdy jego statek przychodził do Gdyni. Na morzu często myślał o nich. układając dla maleńkiego Franka piękną przyszłość. Wkrótce kupił kiosk, w którym pracowała Zosia, a w ostatnim roku wziął parcelę na spłaty w pobliskim Orłowie i wybudował mały domek z ogródkiem.

Po przygotowaniu cum i założeniu trapu usiedli wszyscy na polerach, by patrzeć na zbliżającą się Gdynię. O daleko wysunięte w morze, cementowe kesony uderzała miarowo fala idąc odpryskami wysoko w górę. Za nimi przy nadbrzeżach statki wszystkich bander, rodzajów i wielkości. Górował nad nimi las pracujących kranów.

W porcie węglowym widać było wagony z węglem, idące w górę i pochylające się nad statkami, wyrzucające całą swą zawartość wprost do luków. W stoczni rybackiej i pływającym doku olbrzymi kran górował nad wszystkim. Wzdłuż nadbrzeży murowane magazyny. Za portem wiadukt szosowy ponad licznymi torami kolejowymi, a w dali szeroko rozrzucone białe bloki domów Gdyni.

– Dobry port zbudowaliście — mówił szturman.

– Najlepszy na Bałtyku — poprawił go z uśmiechem Franek.

– Ale statków nie macie jeszcze wiele.

– Zbudujemy — dodał wskazując ręką.

Od strony Oksywia widać było olbrzymie hangary i pochylnie stoczni, idące w wodę.

Gdy byli już przy wejściu do portu, pilot wszedł na pokład, zamienił z nim kilka słów po polsku i szybko poszedł

7

na mostek. Znał wszystkich pilotów w Gdyni, często dostawał od nich gazety.

Statek wolno podchodził do nadbrzeża. Na brzegu widział wspiętą na palcach Zosię z chustką w podniesionej ręce. Wiatr rozwiewał jej włosy, trzepotał sukienką, drugą ręką trzymała Franka, wyrywającego się, chcącego podbiec bliżej do brzegu, by lepiej widzieć. Trzymała go mocno, bała się, by nie wskoczył do wody. Franek wywijał wolną ręką na wszystkie strony, podskakiwał i wierzgał nogami, chcąc się uwolnić.

Marynarz skoczył z polera, machał rękami na powitanie, śmiał się w jej stronę. Potem patrzył na Szwedów, jakby chwalił się swym szczęściem. Po zacumowaniu zabrał paczki z zabawkami, kupione w Ameryce dla Franka, i szybko zbiegł po trapie na brzeg.

Paczki oddał Frankowi, a ten, nie mogąc ich nieść, rzucił je na ziemię i widząc, że ojciec zapominając o nim za długo trzyma mamę w ramionach, wszedł między nich i z hałasem rozdzielił dopominając się o swoje powitanie. Wówczas ojciec wziął go na rękę, pocałował i postawił z powrotem na ziemię.

Wzięli każdy po paczce. Franusiowi dali najmniejszą i wolno poszli do autobusu. Usiedli obok siebie patrząc sobie w oczy. Franio im nie przeszkadzał rozpakowując zabawki. Zosia, widząc zuchwałe oczy męża, smagłą, opaloną twarz i ręce w podwiniętych rękawach niebieskiej koszuli, mrużyła oczy i zwężała usta jakby w udanej obawie. Kładąc głowę na jego ramieniu i patrząc mu słodko w oczy wiedziała, że po takim spojrzeniu stawał się bardzo łagodny i miękki. Znała go dobrze, rządziła nim zmieniając jego czucia i humor. Była bardzo szczęśliwa. Za każdym przybyciem statku Franka spędzali kilka dni razem ; ten czas wlewał w ich ciało i duszę radosną moc.

— Jak długo będziesz w domu? — pytała cicho.

— Trzy dni — odpowiedział obejmując ją szeroko ramieniem.

8

Zeszli z autobusu; domek ich stał przy szosie, mały, biały, z zielonymi okiennicami. Przed wejściem stara jego matka, z rękami wspartymi w boki, przyglądała się przychodzącemu synowi; uściskał i ucałował ją, wszedł szybko do domu, wykąpał się i usiadł do obiadu.

Jedli razem rozmawiając o ostatnich wydarzeniach. Pytał o przyjaciela Kaszuba-rybaka, cieszył się ogromnie, kiedy mu powiedzieli, że przyjechał z połowów spod Norwegii; był tu przedwczoraj i będzie się mógł z nim zobaczyć. Mały Franuś nie miał czasu jeść, zajęty puszczaniem małej, prawdziwej kolejki, potem wybiegł na dwór z automatyczną strzelbą, strzelającą iskrami.

Po obiedzie wyszli do ogródka oglądając porzeczki, agrest i drzewa, które posadził. Zosia pobiegła do kwiatów i grządek i z miną dobrej gospodyni pokazywała mu duże pomidory i inne warzywa.

Potem stara matka poszła spać zostawiając ich samych. Trzy dni zeszły mu prędko. Kiedy przyszedł czas wyjazdu, szybko się żegnał z matką, a Zosia z Frankiem szli z nim do autobusu. W autobusie słyszeli liczne rozmowy o wojnie; nie wspominali o niej często, byli za bardzo zajęci sobą i swoimi sprawami.

– Słyszysz — mówiła — będzie wojna.

– Jeśli przyjdzie, to będzie; mój ojciec bił się dwa razy, więc co ?

Więcej nie wspominała o wojnie, podzielała jego zdanie. Było już ciemno, gdy przyszli na brzeg. Żegnał się krótko, ucałował ich oboje i poszedł na statek.

S/S „Karen” szła do Göteborga w Szwecji, potem na Szetlandy koło Szkocji; kiedy wyszła na Atlantyk; podnosiła się i opadała na długich falach. Franek

najbardziej lubił Atlantyk podczas długich, gorących dni. Życie na statku było unormowane i spokojne. Chodził na ster, na oko lub siadywał na luku obnażony do pasa, łączył liny, robił nowe talie, wałęsał się po pokładzie; zawsze znalazł

9

coś do roboty; to wymienił starą linę na nową, to znów zabierał się do malowania.

Szwedzi lubili go za jego ochoczą pracę, dziwili się patrząc na niego, gdy pracował lekko i żywo, a nie wiedzieli, że ta praca dawała mu tyle radości.

Kiedy zbliżali się do Filadelfii, radiotelegrafista doniósł, że Niemcy napadli na Polskę. Przypomniały mu się wtedy słowa Zosi, myślał o nich długo; nie mógł swoim pomóc, był od nich o tysiące mil, żałował, że z nimi nie był; gdyby wiedział, że wojna przyjdzie, zostałby. Był jeszcze spokojny, tym bardziej, że był jak zawsze zajęty pracą.

Kiedy przybili do portu w Filadelfii, namalował na burtach wielkie flagi szwedzkie, by niemieckie okręty podwodne mogły rozpoznać, że jest to statek neutralny.

Wieczorem wyszedł na ląd; krzyki gazeciarzy, megafonów, tłumów, ogłaszały go wieściami o toczącej się krwawej wojnie w jego kraju. Był bezsilny, nie mógł w niej brać udziału. Rozkrzyczany tłum i, własna bezsilność drażniły go. Wrócił szybko na statek.

Czuł się lepiej, gdy jechali z powrotem do Szwecji.

Radiotelegrafista podawał coraz gorsze wieści. Polacy się cofali. — Postanowił rzucić statek w Szwecji — wsiąść na najbliższy do Gdyni lub Łotwy i jechać na front.

Słyszał, że Anglia już była w wojnie na morzu z Niemcami. Szwedzi niemal radośnie chodzili po statku wierząc w swoje neutralne flagi, wymalowane na burtach. Widzieli wojnę i przy tym wychodzili cało jako neutralni.

Nie było jednak tak, jak myśleli; niedaleko Bergen wieczorem dostali torpedę blisko kotłowni, szczęście, że kotły nie eksplodowały. Trzech palaczy i maszynista nie zdążyli wyjść na wierzch, poszli na dno ze statkiem. Pozostali w pośpiechu pospuszczali łódki, powchodzili do nich i z wiatrem zaczęli żeglować w stronę Bergen. Klęli wszystko, nawet swoje flagi, wymalowane na burtach, które dawały widocznieszy cel dla torpedy. Rano norweski torpedowiec

10

wziął ich na pokład i przywiózł do Bergen. Z Bergen pasażerskim odjechali do Göteborga.

W Göteborgu Franek zamieszkał w hotelu. Dostał odszkodowanie, prawie tysiąc koron, kupił sobie nowe ubranie i potrzebne rzeczy na miejsce straconych. Gdy szedł wieczorem w stronę hotelu, obudził go z zamyślenia krzyk „Extra, extra!” Przystanął. Gdy przybiegł gazeciarz, kupił gazetę, spojrzął na nagłówek: „Niemcy w Warszawie” i rzucił dziennik w rynsztok.



Szedł wolno w stronę hotelu, rozebrał się i położył spać. Nie mógł jednak usnąć, ubrał się i z powrotem wyszedł na ulicę.

Było ciepło, deszcz lekko mżył. Wędrował bezmyślnie pustymi ulicami, przystanął przed grupą pijanych marynarzy i wszedł do baru. Kazał sobie dać szwedzkiego koniaku, pił dużo, chciał zapić w sobie ból, który go gryzł i szarpał. Widząc jednak, że nic nie pomaga, zapłacił, włożył płaszcz, postawił kołnierz i wyszedł.

Szedł chwiejąc się. Spóźnieni przechodnie omijali go z daleka, widząc jego niesamowity wygląd; gdzie szedł i dokąd, nie wiedział. Przez chwilę zdawało mu się, że słyszy gdzieś muzykę. Nie chciało mu się wierzyć, aby ludzie mogli być szczęśliwi; kierował się jednak w tę stronę.

Na rogu widział rozjeżdżające się samochody, wchodzące i wychodzące z kabaretu rozbawione pary. Sam nie wiedział, jak wszedł do środka. Nie zdejmując płaszcza usiadł przy bufecie i znów pił koniak pełnymi haustami spozierając obojętnym wzrokiem po tańczących parach.

Jakieś rozbawione towarzystwo przyszło na piwo. Dwaj eleganccy młodzieńcy po pierwszym spojrzeniu oddalili się od niego na pewniejszą odległość. Jasnowłosa dziewczyna, będąca z nimi, otworzyła szeroko oczy i usta, mało nie krzyknęła, nie bała się jednak jak młodzieńcy. Podeszła do niego wolno,

położyła mu dłoń na ramieniu i miękko pytała, czemu nie tańczy. Odwrócił wolno głowę w jej stronę, za ciężko mu jednak, było otworzyć usta. Wiedziała, że nie miał chęci do rozmowy, przysunęła się jednak

11

blisko niego i gładziła go drobną rączką, miękko i z pieśczołą po opalanej twarzy.

Chciał ją odtrącić ręką, zaniechał jednak tego, sięgnął wolno po koniak, napełnił szklankę i pił wielkimi haustami. Gdy skończył, wstał, spojrzął na dziewczynę i wyszedł chwiejnym krokiem. Wszedł do najbliższej taksówki i kazał się wieźć do hotelu. Spał tej nocy okropnie, jednak spał.

Po przespanej nocy czuł się znacznie lepiej, postanowił już więcej nie pić. Włóczył się po mieście, często zachodził do portu, widział znajome statki, nie decydował się jednak. Miał sporo pieniędzy, nie śpieszyło mu się.

Gdy się dowiedział, że statki szwedzkie chodzą do Gdyni, postanowił jechać, ale jak jechać — myślał. Niemcy, przy sprawdzaniu dowodów, od razu go zabiorą ze statku jako Polaka, zaaresztują, wsadzą do obozu koncentracyjnego lub rozstrzelają jako szpiega. Trzeba zmienić nazwisko — myślał. Po szwedzku rozmawiał jak Szwed. W Polsce na statku s/m „Kliparen” miał starego przyjaciela Eriksona, który bił się w Hiszpanii; dłuższy czas pływali razem. Wziął płaszcz i poszedł do niego.

Erikson ucieszył się, gdy zobaczył starego druha, zabrał go do swej kabiny i uraczył Martelem. Gdy Franek mu powiedział, co zamierza robić, wyjął swoją książeczkę żeglarską. Dłuższą chwilę obaj patrzyli na bardzo zniszczoną fotografię i zgodzili się, że może ujść. Uścisnęli sobie dłonie na pożegnanie życząc sobie wzajemnie powodzenia.

Franek znalazł statek jadący do Gdyni i wstąpił do służby jako Szwed.

Gdy ciągnął na windzie cumy zrzucone z polerów, cieszył się, że znów zobaczy Gdynię. Często widział w drodze przechodzące blisko niemieckie okręty i samoloty. Po dwóch dniach ujrzał Gdynię. Nie było prawie statków handlowych, wszystkie wewnątrz portu były wojenne. Na Oksywiu domy w gruzach, z nowych hangarów stoczni została kupa szmelcu. Przed wejściem do portu pomógł wejść

12

pilotowi na pokład. Był to Niemiec o opasłej, czerwonej twarzy. Przy dobijaniu do brzegu nie widział czekającej na niego Zosi i Franka. Po nadbrzeżu chodzili uzbrojeni marynarze niemieccy. Robotnicy wyładowujący statek głośno rozmawiali po niemiecku. Czekał wieczora. Kiedy się ściemniło, wyszedł na ląd. Przechodząc przez wiadukt widział Gdynię w bardzo skąpych światłach. Skręcił w boczne ulice, były zupełnie puste. Od czasu do czasu mijał przechodzące patrole wojskowe i policyjne. Wyszedł na szosę idącą

do Orłowa. W ciemności oglądał liczne rowy, ogromne doły i wyrwy; cała szosa była świeżo przebudowana, domki, które kiedyś ciągnęły się wzdłuż szosy, zniknęły. Spostrzegł, że zaszedł za daleko. Wrócił z powrotem, przystanął w miejscu, gdzie stał jego domek. Ziemia była zupełnie zryta. Przeskoczył olbrzymią wyrwę, szedł wśród cegieł i wielkich odprysków muru. W jednym miejscu fundament sterczał wyżej od ziemi, Usiadł na nim, by nieco ochłonać.

Gdzie jego rodzina — myślał ciężko. Może tu. Obszukał wokoło, grzebał rękami w pulchnej ziemi, nie znalazł ich; może żyją — nie opuszczała go myśl. Zebrał się i szedł wolno do przyjaciela Kaszuba-rybaka.

Chatka Kaszuby ocalała, a gdy zaszedł do niej, żona rybaka skoczyła do niego łapiąc kurczowo za rękę i przyciągnęła do krzesła, by usiadł. Opowiadała mu o okropnych bojach. Orłowo przechodziło trzy razy z rąk do rąk; marynarze, bronili Oksywia do ostatniego. Chłopaki z budynku szkoły morskiej zrobili z niej bastion, potem przyszły samoloty niemieckie i rozbiły ją w gruz.

Kiedy żołnierze i marynarze poginęli, socjalista Rusinek zebrał kilkuset robotników z kosami na sztorc i granatami. Haratał niemieckie czołgi i samochody pancerne; piechota niemiecka bała się ich jak szalonych. Wszyscy zostali wybici, ani jeden z nich się nie poddał. Potem — chciała mówić, lecz wybuchnęła głośnym płaczem — przyszło niemieckich samolotów

tyle, że przez całe życie razem

13

tylu nie widziała. Z Orłowa i Oksywia nie zostało nic. Gdy Niemcy zjawili się w Gdyni, aresztowali wszystkich Polaków i wywieźli ich. Na ich miejsce sprowadzili Niemców; ją zostawili, gdy im powiedziała, że jej rodzice, Kaszubi, zawsze mieszkali w tej chatce; dali pracę przy sprzątaniu, starszego syna zabrali do niemieckiej szkoły. Mąż jej leżał w okopach w Orłowie. Nosła mu jedzenie kilka razy, potem już go więcej nie widziała i nie słyszała o nim.

– Byłem w Orłowie — mówił jej — widziałem swój zburzony dom. Co mogło stać się z moją rodziną?

– Może żyją i uszli stamtąd. Co będziesz teraz robił?  
— pytała.

– Pojadę do Francji, nasi się tam biją.

Opowiedział jej o swoich przejściach.

Zatrzymała go jeszcze w drzwiach ostrzegając przed Niemcami, którzy mieszkali przed wojną w Gdyni, a teraz pracują w niemieckiej policji.

Gdy zaszedł na statek, był zupełnie spokojny. Wiedział, gdzie jest jego miejsce. Gdy statek opuszczał Gdynię, stanęły mu przed oczyma jego chłopięce lata, lata twardej pracy i radosnych osiągnięć, potem tyle szczęścia: Zocha, Franek, stara matka, wszyscy razem pod jedną strzechą, wszystko to jego wysiłkiem i pracą.

A teraz — pociemniało mu w oczach; wszystkich i wszystko widział w krwi i w dymie — nie było dla niego miejsca.

— Wróć tu!

Z Göteborga odpłynął na pierwszym statku, który odchodził do Francji.

14

## Z D E R Z E N I E

Przez długie miesiące tropikalne słońce prażyło nas całym żarem podczas pływania z portu do portu w Indiach Holenderskich i w czasie dwukrotnego przepłynięcia całego Pacyfiku, a tu już mróz w X., i zawieje śnieżne chcą nas ściąć w lód.

Stoimy trzy dni w zatoce na kotwicy. Jutro mamy wyjść z konwojem do Anglii, toteż każdy szybko je kolację, by jak najprędzej złapać motorówkę i wyjść na ląd przed zamknięciem sklepów, kupić jeszcze odzież i buty, naprawdę jak na wyprawę podbiegunową, a potem ostatni wieczór spędzić w porcie, naszym zwyczajem „na wesoło” i po marynarSKU. O sen nikt nie dba, kilka godzin nad ranem wystarczy.

Już nie śpię. Czuję się świeżo po ostatnim radosnym wieczorze, słyszę głos bosmana:

— Wstawać! Odchodzimy!

Zrywam się z koi, inni podrywają się także, ubieramy się szybko i wychodzimy na pokład. Statek pięknie wygląda, otulony białym śniegiem. Śmieją się chłopcy w głos, że „stara” (około trzydziestki) s/s „Grażyna” tak pięknie wymalowana.

— Niech się jeszcze ucieszy — mówi Fin — przecież idzie w konwój — będą skakały koło niej torpedowce, ba — nawet krążowniki, strzegąc jej więcej niż samych siebie,

15

by torpeda nie uszkodziła jej brzucha, wyładowanego cennym ładunkiem.

— A i pasażerów mamy — dodaje Bill — boją się nawet nosa wytknąć na mróz.

Przerywa nam rakietą, wystrzeloną z pobliskiego statku.

— Odchodzimy! — wołają wszyscy.

Widać pilota, wychodzącego z za burty po trapie; szybko idzie na mostek, słysząc windę wyciągającą kotwicę, potężne ryknięcia syreny i już idziemy w skręcie do wyjścia z zatoki. Większość statków jest w ruchu, kierują się także do wyjścia.

Przy wyjściu zostawiamy pilota. Na masztach statków ciągle zmieniają się sygnały. Statki formują się w konwój, idą, za olbrzymim frachtowcem, przewodnikiem konwoju. W dali, w ciągłych zwrotach,

jak dla zabawy, czekają torpedowce, mrugają porozumiewawczo Morseem do nas. Mróz jest większy na pełnym morzu, szczypie w twarz, w uszy, nie widać fal, tylko huczącą pianę, idącą od horyzontu; nie ma sztormu, tylko zła pogoda.

Pod wieczór wszyscy idą na spoczynek; na mostku i pokładzie zostaje jedynie wachta wypatrująca okrętów podwodnych. Ściemnia się; statki idą, jak olbrzymie cienie w wyciągniętym konwoju, to blisko siebie, to znów rozrzucone. Aż przychodzi zupełnie czarna noc, statków już nie widać, kierujemy się według kompasu i maleńkich światełek, pokazujących się od czasu do czasu na rufach statków. Okrętowi podwodnemu w taką noc ciężko jest dostrzec konwój, ale i nam znacznie trudniej dostrzec okręt podwodny.

Jest już czwarty dzień; od X. mróz nie zelżał ani trochę, morze ciągle białe od piany. Zdaje się, żeśmy wyminęli okręty podwodne; najbardziej grasują one w pobliżu portów mając wtedy największą pewność spotkania statków. Mogą się jeszcze pokazać nawet na środku Atlantyku, ale tu już przypadkowo. Przy samej Anglii spodziewamy

16

się ich najwięcej, jednak tam Anglicy czekają na nas i na nie.

O godz. 8 wieczorem rozpoczynam moją wachtę, sprawdzam więc, czy gdzie światła nie widać na zewnątrz statku. Fala stale zalewa pokład, chodzę



skokami kierując się zawietrzną burzę. Zawsze jest lepiej po tej stronie, gdyż fala nigdy nie może mnie zaskoczyć. Jest tak ciemno, że nawet nie widać własnego nosa; by nie zgubić kierunku, czepiam się liny, uwiązanej od windy do windy, Po wypiciu kubka gorącej kawy idę na mostek zmienić marynarza „na oku”.

Na górze mostka dopiero wyczuwam mroźny wicher na własnej twarzy; czasem mi się zdaje, że dziurki od nosa mi zamarzają. Od czasu do czasu widzę maleńkie światełka, to daleko, to znów blisko; melduję o tym trzeciemu oficerowi, z którym mam wachtę; według tych światełek orientujemy się, by nie wpaść na siebie.

Zmienia mnie znów na oku poczciwy Red. Idę na ster; trzeci oficer jak zwykle uśmiecha się i mówi:

– Sterować dokładnie, lepiej niż zawsze, tankowce włączą się blisko nas bez świateł.

– Doskonale — odpowiadam głośno i biorę ster od Fina.

Steruję według kompasu. Od czasu do czasu wchodzi trzeci, podaje mi poprawki o kilka stopni w kursie, zależnie od odległości statków. W sterówce jest dużo cieplej niż na zewnątrz. Bardzo przyjemnie się steruje czując ciepło w kościach, kołysząc się ze statkiem, słysząc muzykę graną przez wicher na taklu.

Drzwi od sterówki się otwierają, wiatr mrozem ochłostał mnie po twarzy. To przychodzi nowa wachta,

podają kurs, oddaję ster i skokami schodzę po trapie. Na kubryku Fin i Red już się kładą na koje; rozbieram się i skaczę na swoją. Nie myślę o okrętach podwodnych, zasypiam.

17

Budzi mnie nagły ruch w kubryku, podnoszę głowę, widzę wszystkich ubierających się w dużym pośpiechu. Wachtowy Ari krzyczy:

– Wstawać! Jakiś frachtowiec wali prosto w nas.

Spostrzegł go idąc na dziób, krzyknął na mostek i skoczył budzić.

Naciągam drugi but (sztormowy). Ława nagle ucieka spode mnie, w kubryku wszystko tańczy. Rozlega się huk i trzask łamanego żelastwa i drzewa, łańcuch kotwiczny dzwoni sunąc w dół z kotwicą, drzwi od przodu wypadają pod naporem wody, która wali w cały kubryk. Podnoszę się jak najszybciej i z butem, i pasem ratunkowym uchodzę przed wodą na pokład. Tu naciągam drugi but i brodząc po kolana w wodzie idę z powrotem na kubryk, by wziąć ubranie z górnej koi.

W dole słychać syk wody, wlewającej się w dziób. Przez poharataną kluzę kotwiczną, miarowo z falą, wlewa się w kubryk kilka ton wody. Z ubraniami w ręku wychodzę na pokład. Jest ciemno, nie widzę nic i nikogo z załogi. Przy łodziach ratunkowych dostrzegam światła lampek kieszonkowych i idę w ich stronę. Przy trapie, wiodącym na wyższy pokład z łodziami, ktoś

leży; to gramoli się kobieta-pasażerka; nie może się podnieść. Podnoszę ją, pomaga mi bosman. Zanieśliśmy ją i posadziliśmy przy szalupach, gdzie cała załoga maszynowa gotowała się do opuszczenia statku.

— Marynarze z pokładu, do mnie! — woła bosman.

Stanęliśmy przy nim jak jeden, potem skoczyliśmy sprawdzać łodzie zdejmując dodatkowe przymocowania, zostawiając je tylko w taliach; talie były w jednej sopli lodu; oczyściliśmy je, potem rzuciliśmy za burty kilka trapów i lin czekając na najgorsze.

Z mostka kilka rakiet sygnalizacyjnych poszło w górę; żaden statek z konwoju nie zawrócił, zostawiono nas samych. Wielkim światłem oświetliliśmy lewą burtę; dały się słyszeć głosy, że widać łódkę, prawdopodobnie z frachtowca,

18

który uderzył; mała była nadzieja, że zdoła utrzymać się na wielkich, łamiących się falach, wydymanych wichrem.

Oczywiście, gdyby był blisko niemiecki okręt podwodny, mógłby nas łatwo dobić. Światła musieliśmy jednak trzymać, starając się poznać i opanować sytuację, w jakiej się znaleźliśmy. Jesteśmy gotowi do opuszczenia statku, widzimy jednak, że wcale nie chce iść na dno.

Pierwszy oficer wraz z bosmanem sprawdzili

uszkodzenie; dziób z prawej burty zgnieciony, wielka dziura, kotwica z łańcuchem poszła. Wewnątrz dzioba pełno wody, woda przecieką do pierwszego luku.

Wcale nie jest tak źle. Gasimy światła, maszyna zaczyna pracować, na pokładzie zostaje wachta, bierzemy kurs z powrotem do X., zresztą idę na kubryk, kładziemy się na kojach i śpimy, woda nam nie przeszkadza.

Niedługo jednak, po jakiejś godzinie, Ari budzi wszystkich : jest gorzej, woda przybiera, fala coraz większa, statek kładzie się okropnie grożąc wywróceniem się przez kil; nie śpimy tej nocy wcale, zawsze gotowi, palimy papierosy.

Przez cały dzień nie widzieliśmy ani jednego statku, o okrętach podwodnych oczywiście już nie mówimy. Spanie na dziobie jest zupełnie niemożliwe. Zajęliśmy oficerską messę, także zalaną wodą, jest w niej jednak dość ciepło, tylko miejsca na spanie nie ma.

Następnego dnia nie otrzymaliśmy nawet kursu, ocean kipiał pianą, dziób był już stale pod wodą, odpryski fali szły wysoko nad mostkiem, statek trząśł się i kładł, aż burtami nabierał wody, stary mostek cały trzeszczał, mógł się nawet rozlecieć.

Kapitan nie bacząc na okręty podwodne kazał wołać S. O. S. Wszyscy byli spokojni, do rozmowy nikt nie miał chęci.

Kiedy po południu trzeci kazał mi wleźć na maszt, nie

śmiał się jak zawsze, lecz powiedział:

19

– Widzieć wszystko, — o 70 mil okręt podwodny zatopił statek.

Wdrapałem się po oblodzonej drabinie do gniazda, maszt kiwał się fatalnie, fala zalewała cały statek, myślałem, że przewróci się na pewno. Wpatrywałem się w zamglony horyzont, chwilami miałem złudzenie, że z lewej burty widzę ciemniejszy punkcik; tak, to był statek, chwilami przysłonięty falą; biorę róg i trąbę dwa razy.

Trzeci po chwili przez szkła zobaczył także; była to kanadyjska korweta. Zszedłem w dół, ujrzałem większość załogi skupioną przy mostku; widocznie mieli nadzieję, że będziemy się „przesiadali”. Kiedy jednak spytali się morsem, co się z nami stało, kapitan kazał odpowiedzieć:

– Bardzo źle, ale mamy nadzieję, że dojdziemy do X.

Korweta okręciła się wokoło nas i poszła na północ.

Przyszła najgorsza noc, nikt nie spał, wiedzieliśmy, że jeśli fala nie osłabnie na sile, nie dotrzemy nigdy do lądu. Rano poszedłem na dziób zobaczyć, co się dzieje: wszystko połamane, woda ścięła się w zwały lodu.

Po południu widzieliśmy dwa amerykańskie torpedowce. Skoczyłem do tylnego masztu, ściągnąłem holenderską banderę z gafla do połowy, torpedowce

odpowiedziały amerykańską. Była to piękna chwila, poczułem w sobie siłę, przecież nie jesteśmy sami, wspólnie — myślałem — damy radę i złej pogodzie, i niemieckim okrętom podwodnym.

Torpedowce przyszły zupełnie blisko, kręciły się wokoło nas, marynarze przyglądali się nam z politowaniem. Naprawdę wyglądaliśmy nienajlepiej: na śródkręciu osłony drewniane zupełnie połamane, na tyle całe drzewo także w szczapach, dziób prawie pod wodą. Torpedowce szybko odeszły na południowy-zachód.

Pod wieczór wiatr i fala osłabły. Noc mieliśmy prawie spokojną. Rano byliśmy pewniejsi siebie, widzieliśmy

—częściej statki wojenne.

20

Po południu wchodziliśmy do portu w X. S/s „Grażyna” cała w lodzie. Znowu wrócił nam humor, gdy rąbaliśmy lód na dziobie, na polerach i na żelaznej barierze do zacumowania. Fin mówił:

– Stara jest mocna, lepsza niż młoda; gdy jej nos naprawią, pójdzie znów w konwój.

Mróz nawet opadł na sile i słońce świeciło.

Kiedy założyliśmy cumy na polery, steward zwołał nas; na kapitański gin; piliśmy więcej niż zawsze, oczywiście na rachunek kapitana. Nikt nie był

zmęczony, radość i śmiech dawały wszystkim siły. — Radość spełnionego obowiązku.

„Grażyna” pójdzie na jaki miesiąc na dok — zastanawiałem się — co będę robił przez ten czas?

Sterując na Pacyfiku, często myślałem o polskiej marynarce wojennej. Dobrze się składa — powiedziałem sobie i poszedłem spać.

Nazajutrz rano pociąg wiózł mnie do W., do polskiej marynarki wojennej.

21

## **W I E C Z E R Z A   W I G I L I J N A**

Wszyscy utkwili oczy we wznoszącej się wysoko, niebywale stromo, ścianie wodnej, potem wcisnęli się w szalupę chwytając się ławek. Wokół nich była zupełna cisza. Mroźny wiatr przestał ich na chwilę ciąć po twarzach. Szalupa leżała spokojnie jak w kotlinie, osłonięta górą wodną, ze szczytu której szedł głuchy ryk łamiącego się i wirującego grzywacza, ubielonego pianą.

Serca wszystkich drgnęły, przysięgliby, że nigdy w życiu nie widzieli większej fali. Myśleli, że przykryje ich i zmiażdży. Nie był to strach, raczej zdziwienie przed czymś niepojętym, co niesie zagładę.

Góra ich dotknęła. Szalupa drgnęła i zaczęła cudownie

wznosić się w górę, szła i szła. — Poczuli, jak żołądki ich uciskały. Wysoko przed nimi bielila się piana, w tyle za nimi była czarna otchłań, w której byli przed chwilą — nie była ona już dla nich straszna. Piętrzący się, ubielony, huczący grzywacz, który miewał niekiedy siłę łamana stalowych burt statku, niósł im śmierć. Ryk fal przeniknął ich. Wirująca kipiela szła wprost na nich. Naraz z lewej strony chlusnął w górę słup wody, tam się skupiła największą siłą. Grzywacz dotknął dziobu szalupy — piana przeleciała po nich — przeszła i szła dalej, zostawiając po sobie wodę w szalupie.

22

— Mieliśmy szczęście — odezwały się ciche głosy — przeszło z lewej strony. Woda w szalupie była wysoko nad podłogą; zaczęli pompować ją za burtę i wylewali czerpakami. Sunęli teraz w dół. Szalupa dziobem wchodziła na fale, które szły na nich miarowo, jednostajnie — były jednak mniejsze. Znów wiatr ciął ich po twarzach pyłem śnieżnym, który leciał z nieba. Siwo było wokoło, tylko woda czasem czerniała, to znów jaśniała białą pianą. Pompując stale wodę wchodzili z fali na falę. Każde przejście większej fali było ich zwycięstwem i przedłużeniem ich życia.

— Dobrze idzie pod fale — krzyknął w stronę rufy młody szturman.

— Dobrze — odpowiedział przy sterze marynarz w naolejonym żółtku i takiej samej zlitwestce, pochylony do przodu, by najmniej być spychanym przez wiatr. Był



to najlepszy marynarz z całej załogi McBain. Widać było niewiele twarzy. Broda mu się chowała w upiętym, podniesionym kołnierzu płaszczka. Zitwestka osłaniała mu twarz po oczy, przykrywała uszy i wolno spływała mu na barki i plecy. Patrząc się na młodego szturmana widać było, jak jego siwe oczy, jasne i spokojne, wpatrują się w nadchodzące fale. McBain był po czterdziestce: suchy, łysy do połowy głowy i o haczykowatym nosie. W swojej suchej twarzy miał coś z sokoła. Twarz piękna, trochę drapieżna, wiek dał jej spokój i tchnienie ludzkie. Kiedyś, kiedy był młody i miał włosy, wyróżniały go panny w portowych barach. Zawsze był skromny i często uchodził za głupca w oczach kolegów. Rudel trzymał w kościstej dłoni, która wciskała się drapieżnie w drzewo.

Szturman wiedział, że na nim może polegać. Czasami na statku myślał, dlaczego taki marynarz jak on nie został oficerem, ba byłby doskonałym kapitanem. Może pił w młodości myślał. Choć teraz już nie pił nie robił już też nic, by iść w górę; był z tego bardziej dumny, że jest marynarzem, niż gdyby w takim wieku był niższym

23

oficerem. Gdyby spieszył się ze spóźnionymi zabiegami, uchybiałoby to jego godności. Jego koledzy powiedzieliby może, że stary McBain zwariował.

Założenia jego były błędne, jednak w nich trwał.

Trzeci oficer, młody chłopak, czuł moralną odpowiedzialność za czternastu ludzi, których miał w szalupie, i

uparł się, że wszystko zrobi, by tych ludzi całych i zdrowych przyprowadzić do portu. Pomagając sobie rękami, omijając leżących, przeszedł na dziób, gdzie siedział na podłodze owinięty brezentami chłopak pokładowy, oparty o drugą ławkę. Mało miał życia w sobie, kiedy go wyciągnęli z wody. Wyrzucony został za burtę eksplozją, torpedy; szczęście, że miał na sobie kamizelkę. Natknęli się na niego zupełnie przypadkowo, już daleko za rufą tonącego statku. Rozebrali go zaraz i osuszyli. Lali w niego brandy, tarli go nią z pół godziny. Gdy pokazało się w nim życie, ubrali go w wełniane swetry i kilka par sukiennych, spodni. Nogi owinęli mu swetrami i wsadzili w brezentowy worek, w którym była odzież szalupowa. Chłopak był bardzo młody, nie miał więcej niż szesnaście lat, dlatego wszyscy opiekowali się nim, jak mogli. Szturman nachylił się nad nim, dotknął ręką czoła — było gorące.

— Jak Joe — lepiej?

— Lepiej — odpowiedział cicho chłopak.

— Nie zimno ?

— Nie.

Będzie żył, pomyślał. Patrzył przez chwilę na ludzi, leżących pokotem bezwładnie; tylko McBain siedział skulony przy sterze. Myślał za nich. Trzeba w nich tchnąć siłę, to wszystko będzie dobrze, przeszło mu przez zmęczoną głowę. Od trzydziestu sześciu

godzin wszystko miał na uwadze, o wszystko się troszczył. Nagle poczuł się zmęczonym.

Na burtach szklił się lód, pod podłogą z pluskiem przelewała się woda. Czego się było dotknąć, wszystko była mokre. Szkwały już nie przechodziły i śnieg przestał padać,

24

fale szły mniejsze, sztorm opadał na sile. Szalupa brała łagodniej fale na siebie. Grzywacze na czubach były mniejsze, traciły już swoją piekielną siłę.

– Ej! Patryk — krzyczał z rufy McBain. — Zobacz, czy olej jeszcze jest na dziobie.

Irlandczyk podniósł się z ławy, przeszedł na dziób i obiema rękami obmacywał worek. Nie czuł w dłoniach nic, tylko pusty brezent.

– Nie ma już nic — odpowiedział.

McBain skinął mu głową. Była to jego robota. Kiedy fale ostro biły, zdawało się, że rozbiją szalupę. Znalazł wtedy olej, wlał w worek, związał i umocował mocno z zewnątrz na dziobie przy stewie. W spodzie zrobił małą dziurę marspiklem, przez którą sączył się olej. Wszyscy patrzyli z uznaniem na jego robotę. Bardzo to im pomogło.

Szturman zwoływał leżących.

– Wstawajcie, postawimy zasłonę!

Podnosili się z trudem jak chorzy. Żaden z nich nie mógł zasnąć w tym zimnie; leżeli tylko w odrętwieniu. Zaczęli się ruszać pomału, każdy ruch był dla nich zbawienny, jakby przywracał im życie. Powkładali żelazne pręty, potem wciągnęli na nie brezent. Mieli teraz zasłonę od wiatru i nadchodzącą noc mogli znośniej przetrwać. Zasłonę mieli już przedtem, musieli jednak z powrotem ją zwinąć przed silną wichurą i falą, która mogłaby im wywrócić szalupę. Kiedy ukończyli robotę, zaczął zapadać zmrok.

Szturman wyjął butelkę brandy. Pozostały mu jeszcze dwie butelki, które chował zamknięte i rozdzielał każdemu po miarce na noc. Kubek wędrował z rąk do rąk. Kiedy wszyscy wypili, chory Joe dostał jeszcze miarkę. Wszyscy patrzyli się na jego wyróżnienie, wtedy steward zaczął:

– A może by jeszcze dla każdego po jednej miarce — przecież dziś jest wieczór wigilijny.

Irlandczyk go poparł i z dziobu różne głosy zaczęły wołać o brandy.

25

Szturman nie sięgał jednak po następną butelkę. Chwilę patrzył na nich myśląc o następnych dniach, może jeszcze gorszych od tego wieczoru wigilijnego. Wtedy McBain wyrzucił z rufy ze złością:

– Głupcy! dzisiaj wypijecie w wieczór wigilijny, a jutro zamarzniecie. Każdy drobiazg może nas uratować

lub zgubić.

Umilkli. Niektórym wstyd było, że wołali dlatego, ponieważ widzieli, jak chory Joe pił dwa razy.

Ściemniało się coraz bardziej. Przed rozejściem się wszystkich na spoczynek szturman wywołał jeszcze Staniszewskiego na „oko” do McBaina. Mieli się obaj także zmieniać przy sterze. O ósmej mieli wołać na zmianę Patrika i Georga. Gdyby fala i wiatr zmalą, mieli wołać wszystkich do stawiania masztu. Wtedy pod żaglami, przy sprzyjającym wietrze, za dwa dni byliby przy brzegach Irlandii.

– Uważać dobrze — mówił: wiecie, że przed pięcioma dniami konwój rozsypał się w nocy we mgle — może jeszcze jaki maruder będzie ciągnął.

Powchodzili wszyscy pod zasłonę. Na wachcie został tylko McBain i Staniszewski. Legli przy sobie ogrzewając się wzajemnie. Czasem sen już przychodził, lecz gwałtowne wstrząsy szalupy znów go odganiały. Szturman legł przy chorym. Myślał jeszcze o stu sześćdziesięciu milach, dzielących ich od lądu, aż zapadł w odrętwienie.

McBain siedział przy sterze obejmując wzrokiem czarną wodę półkolem. Było już ciemno. Staniszewski usiadł na przeciw niego wpatrując się w wodę za rufę. Wyciągnął papierosy z blaszanego pudełka. Były suche — zapalili. Groźba submaryn odeszła od nich. Mogli teraz swobodnie palić. Staniszewski odezwał się:

– Gwiazdy dzisiaj nie wejdą na niebo. Może to lepiej, nie będziemy się łudzić, że to jakiś statek.

– Samotny statek ani myśli palić świateł — odparł spokojnie McBain.

26

– Naszą „Catalonia” nie miała szczęścia: zabrali ją Niemcom, przed pół rokiem na Szpicbergu, to nie żadna strata — zdobywczy statek. Jak myślisz, czy submaryna, którą nas zatopiła, pływa jeszcze?

Na pewno nie. Widziałeś, że woda wokoło gotowała się jak w garnku. Przekłęci Niemcy — wyrzucił z sykiem. Zobaczymy, czy nam braknie statków, czy im submaryn.

Nie miał chęci do rozmowy, za zimno było, by otwierać usta.

Staniszewski w milczeniu palił papierosa. Zimno mu było, wewnątrz jednak brandy przyjemnie grzała. Myślał o świętach — tak, to przecież był wieczór wigilijny. Widocznie nikt nawet nie chciał myśleć o tym. McBain ze świąt nic sobie nie robił. Kiedyś może w swojej szkockiej wsi dostawał w prezencie parę wełnianych skarpet, zrobionych na drutach, i to były całe jego święta. Wówczas to ciepła, ludzka radość wypełniała mu serce — kiedyś — to dawno już...

McBain elektryczną lampką oświetlił kompas, sprawdził, czy wiatr się nie zmienił.

Staniszewski wracał myślą — kiedy to było? — Przed sześciu laty w Polsce; od tego czasu nie miał jeszcze żadnej wieczerzy wigilijnej. W głowie miał chaos, wszystko mu się pomieszało. Oczy wbił twardo w ciemność, jakby chciał ją przemieszać, rozproszyć. Drgnął... za rufą przez sekundę strzelił w górę kłęb iskier ognia. To sadze z komina — pojał w jednej chwili.

— Parowiec za nami! krzyknął i skoczył po rakiety i rakietnice. Nim McBain zdołał go powstrzymać, zaczęły strzelać rakietnice.

\* \* \*

S/s „Królewiec” szedł sam. Przed pięcioma dniami, w nocy, we mgle i w walce z submarynami, konwój się rozsypał. Na pewno większość statków sformowała się z powrotem w konwój, ciężko go jednak było znaleźć w przechodzących

27

mgłach i zawiejach śnieżnych. Szybsze statki poszły całą mocą naprzód, wolniejsze zostały w tyle. Teraz sam, szedł ciężko, grzązł w nawałnicy, to znów wychodził z wody jak delfin.

Marynarze krzatali się w wydmuchanych kabinach przygotowując się do wieczerzy wigilijnej. Czystość wyzierała z każdego kąta, świąteczna czystość,

kosztująca ich tyle pracy. Niektórzy zupełnie już gotowi poszli do messy pomagać w przygotowaniu wieczerzy. Lekko stąpali po białej, wyszorowanej podłodze. Na białym, czystym prześcieradle z łożka, nakrytym na stole, układali talerze, kubki i inne naczynia, których rzadko używali. Ławki wyschły na mleko, radośnie będzie siedzieć na nich przy wieczerzy. Pamiętali o wszystkich drobiazgach, wspominali nawet żartobliwie o sianie i słomie; jakiś chłopak ze wsi mówił nawet o snopie żyta. Tych rzeczy nie było na statku ze smutkiem musieli zrezygnować z nich. Wszędzie na pomieszczeniach było świątecznie, świąteczną wesołość mieli w sobie. W radosnym śmiechu baraszkowali ze sobą, skracając sobie czas w za długim czekaniu. Było im tak wesoło, że nawet zapomnieli o wojnie. Tak jednak nie było; na mostku i w maszynie wojna trwała dalej. Wieczera była spóźniona. Kiedy szli do kuchni zobaczyć, jak jest daleko, zapracowany kucharz nie zwracał na nich żadnej uwagi. Potem znosili i znosili: w bakach, w wazach, na tacach, rękach i w worku. Kiedy wszystko pieczone, smażone, duszone, przyprawiane, dmuchane i wykręcane ustawili na stołach, powstał szum wylewnych słów. Usiedli przy stole. W drzwiach ukazał się kapitan, cisza zalała messę. Gdy mu odpowiedzieli na jego powitanie, wesołym wzrokiem objął stół, mówiąc:

– Nasz kucharz to jednak pracowity chłop.

Kucharz wtedy podniósł się, zajaśniał, jakby był przez chwilę ważniejszy od kapitana.



– No, nie chwal się stary! usiądź, cały rok jesteś leń z wyjątkiem jednego tylko dnia — żartował z niego siedzący przy nim marynarz.

Wszyscy wzięli w dłonie opłatek i skupili oczy na kapitanie. Wtedy kapitan wesoło przemówił:

– Dwóch rzeczy wam życzę: byście Niemców zawsze bili i przyszłe święto spędzili w Gdyni.

Potem każdy dzielił się z nim opłatkiem i potrząsał jego szeroką, wielką dłonią.

Naraz drzwi się otworzyły jak szerokie, z okapturzoną głową stał w nich gunner, wachtowy od, działa na rufie. Nie wchodząc do środka mówił:

– Z lewej strony dziobu — rakiety. Kapitan spojrzął na wszystkich znacząco i wyszedł. Wszyscy za nim wysypali się na pokład.

O pięćset jardów z lewej strony dziobu pięła się w górę rakietą, druga krwawo-czerwona opadała tuż nad wodą, za nimi na wodzie wahały się dwa światełka lampek elektrycznych.

– Szalupa — rozległy się po pokładzie pojedyncze głosy. Wpatrując się w światełka wszyscy pobiegli koło mostka.

Wśród ryku wichru i fal słyszeli z mostka donośny głos kapitana

– Przygotować liny i trapy!!

Z mostka elektryczne słońce oblało burtę i wodę jarzącym się światłem. Do nich pod wiosłami podchodziła szalupa. „Królewiec” słabo jeszcze szedł do przodu osłaniając szalupę od wiatru, mając ją po zawietrznej stronie.

Z pokładu śmignęła rzutka wpadając celnie w szalupę. Tylko czasami bywają takie jedyne rzuty — i ten właśnie był takim, na który raduje się serce każdego marynarza.

– Aj! aj! a to cisnął jak cowboy, słychać było głosy. W szalupie złapali rzutkę i ciągnęli przywiązaną do niej grubą linę. Zamocowane!

29

Od rufy poszła jeszcze lina. Ciągnęli teraz powoli z obu stron. Widzieli już wyraźnie ludzi siedzących w szalupie z zadartymi głowami. Kiedy fala podbiła szalupę, wybierali liny, musieli jednak popuszczać, kiedy fala odchodziła i szalupa głęboko zapadała w otchłań. Jeśliby wtedy nie popuścili, jedno z dwojga musiałyby się stać: lina by pękła lub szalupa zawisłaby w powietrzu wywracając się przy tym. Większa fala przycisnęła ją do burty, aż wszystko drzewo w niej jęczało.

– Olej! rozlać olej! — szedł głos z mostka.

Pełnymi kubłami opuszczali oliwę na rzutce, przed dziobem szalupy. Kubeł tonął w wodzie, oliwa z niego

wypływała i rozchodziła się po powierzchni wody trzymając się burty statku.

Szalupa dalej skakała ordynarnie.

– Więcej oleju! — znów słychać było z mostka.

Rozlali jeszcze kilka kubłów. Oliwa rozlała się szeroko obejmując dobrze całą szalupę. W elektrycznym świetle połyskiwała na wodzie czarno - niebieskim kożuchem; ujarzmiona pod nią woda łagodnie puchła i opadała.

– Hej — raazem! śpiewali marynarze przy linach ciągnąc szalupę pod burłę. Zostało tylko dwóch przy końcach lin, gotowych do popuszczania, reszta skoczyła wyrzucać trapy. Najprzód wyciągnęli na linie chorego Joe, potem inni pięli się po trapach. Kiedy dosięgali relingu, każdy, chwytany czterema silnymi rękami, zakreślał łuk w powietrzu, aż czuł twardy pokład pod nogami. Ostatni wchodził szturman; stojąc na pokładzie wymówił głośno:

– Wszyscy już.

Wtedy odcięli liny puszczając szalupę wolno.

Po godzinie zebrali się wszyscy w jasnym salonie na śródkręciu. Nawet chory Joe przyszedł słaniając się na nogach. Wszyscy czyści, wykąpani, odziani w suche ubrania, które dostali od załogi.

Za kapitanem wznieśli szklanki w górę. Wtem któryś z marynarzy Polaków zaczął śpiewać:

Zróbmy przyjacielskie koło,  
Zaśpiewajmy pieśń wesoło...

Inni podchwycili żywo, śpiewając radośnie. Anglicy zdziwieni słuchali żywiołowego śpiewu. Z uratowanych tylko Staniszewski śpiewał, często też było tylko jego słycać. Marynarze z „Królewca” przypatrywali mu się z radością, nie wszyscy wiedzieli, że jest on Polakiem. Kiedy skończyli śpiew, wychylili szklanki do dna. Wtedy ktoś, wskazując na Staniszewskiego, odezwał się:

– Patrzcie, a to nasz.

Staniszewski odpowiedział mu szczerym uśmiechem. Wówczas ktoś rzucił:

– Wszędzie są Polacy, jak świat długi i szeroki.

Usiedli przy stołach. Jedząc rozmawiali z sobą. Kucharz był najbardziej popularny.

Ktoś żartował: — Mamy wieczerę jak bogacze, którzy sprowadzają głodnego, by ich zachęcił w obżarstwie.

Nachylony majtek tłumaczył koledze:

– Kto by to pomyślał, przecież tu nie miasto, nie można wyjść na ulicę i przyprowadzić tradycyjnego, obcego nieszczęśliwca do wieczerzy — a jednak.

Gdy się najedli, śpiewali kolędy.

Cóż ich obchodziło, że za stalowymi, cienkimi burtami trwał i grzmiał w gniewie żywioł, który chciał ich pochłonać przed chwilą. Właśnie dlatego byli szczęśliwi teraz i usiedli do wieczerzy, która miała być tylko ich, wcale nie podobna do wszystkich innych wieczerzy, które mieli ludzie chodzący po twardym gruncie.

Prawda, ich rodziny były daleko — lecz czyż oni nie byli jedną rodziną, związani na śmierć i życie jednym żywiołem? Czyżby który z nich mógł usiąść do wieczerzy — gdyby zawahał się w potrzebie podać rękę tonącemu koledze?

31

## **P R Z E R W A N Y P O K E R**

Jest piękna, słoneczna pogoda, nie ma ani trochę wiatru. Żłociste słońce kieruje się ku zachodowi; staje się coraz większe i wyraźniejsze w swej kulistej tarczy. Grzeje łagodniej i przyjemniej niż w południe. Marynarze taką pogodę odczuwają bardziej niż inni ludzie, może dlatego, że w styczniu płynęli przez północny Atlantyk, może dlatego, że wtedy zapominają o wszystkich swoich troskach, o całym świecie. W taką pogodę każdy po zajęciach wyszukuje sobie wygodne

miejsce na pokładzie, wyciąga się lub zwija w kłębek, nie myśli o niczym, czuje tylko słońce na nagiej skórze i błogi wypoczynek na całym ciele.

Na pokładzie, na samej rufie, leżeli w hamakach marynarze. Wypoczywali po wachcie, hamak przy hamaku i było ich więcej niż w inne dni, wyzyskiwali słoneczną pogodę późnej jesieni. Tak kiedyś — dawno już — robili w Polsce, starając się wchłonąć w siebie przed nadchodzącą zimą wszystko ciepło słońca późnej jesieni. Tu jednak jest morze Śródziemne, może tu słońce zawsze tak grzeje!

Jest zupełny spokój, przesycony ciepłym słońcem. Naraz słyhać syrenę z prawej strony konwoju — może zmiana kursu! — syrena jednak nie milknie, wyje przeciągle, dołączają się do niej syreny wszystkich statków.

Atak lotniczy — już nikt o tym nie wątpi. Z hamaków podrywają się marynarze. Na maszcie sygnałowym widać

32

wyraźnie flagę, oznaczającą samolot nieprzyjacielski. Biegną do przeciwlotniczych dział, działek i karabinów maszynowych, pośpiesznie zakładają hełmy i sprawdzają; czy wszystko w porządku. Widać lufy, przesuwające się w górę na prawą burtę, zadarte głowy w hełmach, wypatrujące celu.

Syreny milkną, następuje znów zupełna cisza,

odmienna jednak od tamtej. Cisza przed piekielnym huraganem ognia, jaki się rozpocznie za chwilę, by zniszczyć zbuntowanych ludzi, ludzi, nie, potwory, które chcą ten spokój zakłócić.

Na śródkręciu stoi gromadka z bosmanem; to wydzieleni do akcji przeciwpożarowej. Wszyscy wpatrują się w niebo, nie mówią nic.

— Jest! — woła jeden krótko i wyciąga rękę do góry.

Przy działkach zobaczyli także i przesuwają lufy w stronę samolotu. Oczy wszystkich biegną za ręką tego, który pierwszy dostrzegł. Na czystym, błękitnym niebie widzą punkcik, który przybliża się i rośnie. Teraz widzą dobrze sylwetkę samolotu.

Dwa potężne wystrzały wstrząsają powietrzem. Po kilku sekundach na bezchmurnym błękitnie pokazują się dwie ciemne chmurki; znaczą one pociski, które pękły za nisko, by sięgnąć samolot. To okręt wojenny strzelał ze swoich zenitówek.

Samolot przybliżał się lecąc stale na dużej wysokości. Teraz jest już nad konwojem. Żaden ze statków nie otwierał ognia wiedząc, że go i tak nie dosięgnie. Samolot kręcił się wokoło, skręcił w stronę, z której przybył, aż zniknął.

— Zwiadowczy — mówi jeden do drugiego przy działkach. Nie dopowiadają, że teraz w każdym czasie można się ich spodziewać, całej gromady, każdy zresztą wie o tym dobrze.

Po piętnastu minutach alarm zostaje odwołany, chłopaki zeskakują z wieżyczek przeciwlotniczych, idą na rufę,

33

mijają chłopaka niosącego kolację, ze śmiechem, głośno wciągają zapach. Nie rozmawiają jednak o kolacji, dzisiaj mają coś nowego. Ostatni rejs od samego Gibraltaru do Port Saidu i z powrotem — rano minęli Algier i za niecałe dwa dni znów miną Gibraltar. Ten rejs jak na wojnę mieli zbyt spokojny i zbyt przyjemny. Byli zawsze gotowi, teraz, jeśli Hanse przylecą, pewni są, że dadzą im w skórę. Na morzach zaczyna się im dziać coraz lepiej i na ostatni, jak gdyby „przyjemnościowy” rejs, zasłużyli sobie w zupełności czteroletnią, nieustanną walką o prawo pływania po morzach. Ich celem jest doprowadzenie statku w całości do portu przeznaczenia, o ile możliwe bez walki. W pierwszych latach wojny było jednak zawsze przeciwnie. Stawali wtedy często tylko do lichych karabinów maszynowych, ale za to z przeświadczeniem, że ich statek jest odrobiną ich ojczyzny, jeszcze wolnej. Kiedy niemiecki samolot lub okręt podwodny pokazywał się w zasięgu tych karabinów, wtedy chłopcy kuchenni, kucharze, marynarze, strzelali z prostą myślą: „My albo oni, dla jednych miejsca braknie”. Tak, przeszły już czasy, kiedy niemieckie samoloty mogły bezkarnie latać nad masztami konwojów i rzucać spokojnie bomby na statki, kiedy konwoje na angielskich wodach przybrzeżnych miały dziennie po dziesięć ataków



lotniczych. Dzisiaj każdy statek jest dobrze uzbrojony i rozporządza taką siłą ognia, że gdy doskonale niemieckie maszyny znajdą się w jego zasięgu, „rozsypują” się lub ładnym fajerwerkiem lecą w morze.

Hanse wiedzą o tym i teraz przeważnie atakują na zaskoczenie, najchętniej nocą albo wieczorem, lub rano, kiedy jest szaro i samolot się zlewa z niebem. Na pewno stać ich jeszcze na determinackie dzienne wypadki, nie są one już jednak bardzo groźne dla dobrze konwojowanych, zorganizowanych, uzbrojonych i czujnych konwojów.

Ostatni rejs mieli piękny. Od Gibraltaru płynęli w olbrzymim konwoju: jak okiem sięgnąć — statki — od horyzontu do horyzontu. Jedne przyłączały się do konwoju

34

płynąc z portów Afryki Północnej, drugie odchodziły, by tam zawinąć. Wiedzieli wtedy dobrze, że los Mussoliniego już przesądzony. Morze Śródziemne, jak Anglicy śmiesznie nazywają „jezioro Mussoliniego”, było dla nich gościnne, wyglądało jak olbrzymia, błękitna, kryształowa tafla. Marynarze widzą i cieszą się w duszy, że teraz coraz częściej będą tu przychodziły ich statki. Niedaleko Tunisu nad konwojem przeleciało w dzień pięćdziesiąt bombowców, lecących na Włochy. Przyjemnie było wtedy patrzeć na nie z myślą, że to przyjacielskie. Widzieli Cap Bon, jego osypiska piaszczyste z

nędznymi krzewami, miejsce smutnego finału wariackiej awantury Niemców. Przeszli blisko Pantelarii, która kiedyś zagradzała drogę statkom. Widzieli na horyzoncie bohaterską Malte. Tu konwój skręcił w lewo, ich statek z kilkunastu innymi odłączył się i szedł dalej brzegiem Afryki. Potem przyszedł Tobruk; tu nasi karpaccy Kopańskiego zawiązali braterstwo krwi z Australijczykami urządzając wspólne łowy na Hansów. Potem El Alamein, aż w końcu Port-Said. Tu wyładowali i w czasie dłuższego postoju opłukali z rdzy i malowali burty. Kiedy jeździli motorówką na ląd, z zadowoleniem spoglądali na ładną sylwetkę swojego statku. Każdy Arab w porcie go znał i w swoim języku dziwnie nazywał „Bolonia”, co miało znaczyć „Polska”. Potem byli w Palestynie, gdzie co drugi nie-Arab mówi, że jest z Polski, byli nawet i tacy, co piękną polszczyzną mówili, że są Polakami. Dobrze było między nimi marynarzom, nawet się przekonali, że tutaj w handlu Żydzi są naprawdę solidni.

W drodze powrotnej widzieli w Aleksandrii flotę włoską z kilku pancernikami, wyglądającymi wspaniale jak na pokaz. Kiwali wtedy głowami ze zdziwienia i mówili sobie, że my powinniśmy mieć taką flotę wojenną, umielibyśmy jej użyć na pewno lepiej. Z Aleksandrii konwój wziął kurs z dala od brzegów i tak już płynął kilka dni. Wszyscy interesują się wiadomościami z frontu, podawanymi przez

biją, a bolszewicy najmocniej. Kilku rozumie doskonale po niemiecku, więc słuchają radia niemieckiego, i o zgrozo, butne prusactwo, choć wykrętnie, przyznaje to samo. Czyżby Goebbelsa nie stać było na nową fajeczkę? Właśnie, że go nie stać. Wyczerpał się — „współbolewają” wszyscy.

— Wiecie — mówi cieśla okrętowy do chłopaków — najlepszą przeciwpropagandą jest więcej im dawać w skórę, to jedno, co im trafia do rozumu.

— Racja — wszyscy potwierdzają z uśmiechem.

Cieśla zna ich na wylot jak zły szeląg. Sam urodził się na Śląsku za Odrą. Serca mu nie wydarli i to jego serce płonie uzasadnioną nienawiścią do nich. Zna on ich ze wszystkich stron. Często wieczorami przychodzi na rufę, do załogi, i kiedy wszyscy są skorzy do żartów, opowiada im śmieszne kawały o Niemcach. Kiedy jest lekko zawiany, śpiewa najczystszy niemieckim językiem i to nie byle jak, sama Emma nie śpiewa Göringowi z większym wdziękiem. Śpiewa wybrane piosenki miłosne i na pewno, gdyby je słyszały rude Irmy i Matyldy o grubych biodrach, które Hitler podobno zupełnie wyzbył wstydu niewieściego, rżałyby z radości. Po wojnie cieśla powinien jechać do Niemiec, na pewno miałby tam duże powodzenie. Chłopaki nic o śpiewie jego nie mówią, parskają tylko raz po raz śmiechem. Najlepszy jego kawał polega na tym: pokazuje jak butne Prusaki wchodzą do Warszawy, sztywne, pewne, swoim zwykłym marszem; opuszczają — mówi — będą Warszawę szybko ci, którzy zostaną

przy całych i zdrowych nogach, tak że tych na pewno nie zobaczymy. Tak, marynarze umieją spędzać czas, czy to na lądzie, czy na statku, i smutno im nie jest.

Przy dobrej pogodzie konwój minął znajome już wyspy i brzegi Tunisu. Przed Algierem były niemieckie łodzie podwodne, kontrtorpedowce utrzymały je pod wodą bombami głębinowymi, nie wylazły na wierzch.

36

O lecącym przed godziną samolocie już nikt nie mówi. Wachta na mostku i przy działach jest czujna, a reszta, załogi zawsze może stanąć na alarm, dosłownie, w kilka sekund. Słońce wolno zachodzi i robi się szaro. „Na przedzie i z boków konwoju kontrtorpedowce puszczają zasłonę dymną. Konwój ścieśnia się więcej w kupę i idzie w zasłonie dymnej. Wachtowy, sprawdzający, czy statek jest dokładnie zaciemniony, czy gdzieś światło nie przebija na zewnątrz, widząc palących papierosy na rufie, zwraca im żartem uwagę. Każą mu iść precz, aby nie żartował z nich; jeszcze nie jest zupełnie ciemno. Przechodzące często obłoczki dymu gryzą ich w nos i oczy. Przyglądają się jeszcze konwojowi, widzą, że idzie bliżej od strony, spodziewającej się samolotów, patrzą jeszcze na Amerykanina, który wiezie jeńców niemieckich, rzucają niedopałki za burtę i idą do messy.

Rozpoczynają pokera. Jest to gra, która najczęściej trafia im do przekonania; lubią ją jak każdy hazard. Rozpoczynają ostrożnie małymi stawkami, powiększają

je w miarę wzrostu napięcia gry; gdy się rozegrają, przechodzą na funty. Grają bardzo uczciwie i po koleżeńsku, dla spędzenia czasu, jak sami mówią. W drugim kącie messy siadają ci, co nie lubią grać w karty.

Opowiadają sobie, jak spędzili czas w ostatnich portach. A więc mówią o kobietach, o niezłym palestyńskim winie, o widzianych filmach, o zakupionych arabskich osobliwościach, o wyrobach ze skóry, mówią o wielu innych rzeczach, nie związanych wcale z morzem i wojną. Otwierają się drzwi: to kucharz przyszedł również na pogawędkę.

— Pula! — krzyczą karciarze — Funt w puli!

Prowadzący rozmowę przerywają na chwilę, by zobaczyć teraz grę. Gracze w ciszy biorą karty, badawczo spoglądają jeden na drugiego. Na twarzach grających widać zadzierzyste skupienie. Kibice są również zainteresowani. Naraz wszyscy podnoszą głowy od kart, słyszą słabą syrenę

37

odległego statku, dołączają się do niej syreny innych statków. Teraz własny statek. Syreny wyją potężnie, przeciągle, przenikliwy alarm lotniczy.

Przerywają natychmiast grę w karty. Za chwilę rozpoczną inną grę, bardziej pociągającą, gdzie stawka jest zawsze niezmienna — życie. W pasach ratunkowych wybiegają na pokład, biegną do wieżyczek

przeciwlotniczych i na wyznaczone posterunki. Jest już dość ciemno, syreny jeszcze wyją. Całego konwoju nie widać, widać tylko najbliższe statki, płynące teraz blisko; syreny przestają wyć, jest cisza. Gryzące obłoczki zasłony dymnej stale przechodzą. W powietrzu słychać słaby szmer, podobny do tego, jaki wydają brzęczące komary.

— Są — mówią krótko przy działach do siebie.

Z prawej strony konwoju, naraz jednocześnie błyskają liczne ognie z luf dział, potem błyskają raz po raz, to okręt wojenny rozpoczął salwę i teraz bije częstym, nieregularnym ogniem. Powietrze uderza hukiem w uszy. Widać nisko wybuchające pociski z konwoju; płynące tam statki otworzyły również szybki ogień ze swoich dział. Wszystko to zlewa się w jeden nieprzerwany grzmot.

Równocześnie słychać silny, skoncentrowany ogień na tyłach konwoju z wszystkich rodzajów dział, działek i karabinów maszynowych. Tam na pewno chłopaki zwijają się szybko, jak mogą. Teraz widać pociski świecące; na czarno-granatowym niebie rysują się tysiącami swych torów. Pewne, że tam Hanse kierują swój główny atak. Dolatuje potężny syk; to setki rażących rakiet tworząc nieprzebytą ścianę lecą wężowo w górę. Są bardzo skuteczne, jeśli tylko strzelano w porę. Widać jak pękają promienistymi obłoczkami ognia; wyglądają przy tym jak wielkie gwiazdy. Długie języki świetlnych pocisków skupiają się w jednym punkcie; tam buchnął obłoczek jarzącego

się ognia, z którego leje się ognisty deszcz. Obłoczek płonie coraz jaśniej i powoli, pionowo opada w dół, aż zniknął w wodzie.

38

– Jednego już nie ma! — wołają głośno marynarze przy działach na tyle konwoju i znów widać tylko ciemnogramatowe niebo.

Statki z prawej strony konwoju ciągle strzelają. Teraz zaczęli prażyć z mniejszych działek, ogień dochodzi do największego nateżenia. Znów widać ich ogniste ślady; przecinają się w jednym miejscu i rozchodzą dalej. Miejsce, w którym się mijają, przesuwa się do środka konwoju.

Marynarze przy działkach rozpoczęli ogień. Teraz na nich kolej. Samolotu jeszcze nie widzą, strzelają w miejsce przecinania się pocisków. Pomagają kolegom, którzy go widzą.

Już go widzą, leci niewysoko nad masztami, przejdzie im chyba za rufą. Trzymają teraz długo mocno przyciśnięte spusty. Statek zionie ogniem.

Dwie bomby padają blisko prawej burty. Woda opryskała stojących na śródokręciu. To jeden z latających nad konwojem samolotów rzucił je na bardziej widoczny, strzelający statek.

Samolot leci coraz niżej. Oboramowują go pociski świetlne. Leci w nich jak w zajadłym roju śmiercionośnych owadów. Doszły go, biją w niego —

nie — już nie ujdzie. Wszyscy czekają na fajerwerki. Już buchnął płomieniem. Pociski biją teraz w ogień. Samolot leci jak ognista kometa, zaczął się nawet wznosić nad wodę, by zniknąć w niej po kilku sekundach.

W miejscu, gdzie wpadł, liznęły jeszcze płomienie resztki benzyny i zapadł mrok.

Na przedzie konwoju w jaśniejszej smudze, którą zostawiło już dawno zaszłe słońce, widać trzy samoloty-torpedowce. Dostają ognia z dział i zaraz chowają się za zasłonę dymną. Może wypatrują miejsca na skuteczne rzucenie torped. Nie udaje im się to. Konwój płynie w zasłonie dymnej, a na zewnątrz zasłony uganiają się liczne kontrtorpedowce i przeganiają je ogniem swoich dział.

39

Atak słabnie na sile. Pewno dwa zestrzelone samoloty trzymają Hansów na dość dużej wysokości. Latają ponad balonami, które ma większość statków.

Krążą wysoko — słychać je — rzucają bomby. Obok statku, z lewej strony płynącego, widać wysokie słupy wody, które przesłaniają go na chwilę. Gdy opadają, znów widać statek, płynie jak przedtem. Zenitówki strzelają ciągle. Nie bardzo im przyjemnie tam latać.

Powoli ogień słabnie, aż niknie zupełnie. W górze nie słychać brzęczących samolotów. Odleciały, skąd przyleciały — na pewno z Francji, z okolic Marsylii.



Wróciły jednak nie wszystkie.

Marynarze przy działach raczą się teraz rozmową. Obliczają, ile być mogło wszystkich samolotów. Wszyscy obstają przy dwudziestu.

Po kilku minutach alarm zostaje odwołany. Zostaje tylko wachta na mostku i przy działach. Reszta idzie na rufę.

W messie teraz wesoło, siedzą zadowoleni w kłębach, dymu z papierosów, fajek — piją herbatę.

– Do Anglii dojdziemy — słychać silny głos.

– Dojdziemy — odpowiadają mu wesołe głosy.

Anglia jest dla nich drogim krajem, drugą ojczyzną. Przecież Anglicy ich tak gościnnie przyjmują. Kochają tych krwistych chłopaków. Dziewczęta lubią ich i chętnie się z nimi spotykają.

– Dokąd idziemy? — zadaje ktoś dziwne pytanie.

Tego nikt nie wie, nawet sam kapitan. Dopiero na dzień przed Anglią przyjdzie korwetka do samej burty i poda im port przeznaczenia.

Przypuszczają — wymieniają — Glasgow, Liverpool, może Londyn. Każdy myśli przy tym o swojej Verze; przecież tak długo już jej nie widział.

Karciarze siadają, by dokończyć pokera. Inni rozchodzą się do swoich kabin.

## KAPITAN Z KURSKIEJ GUBERNI

Załoga na s/s „Chmurze” przypuszczała, że ich kapitan był polskim Białorusinem. Nazwisko jego kończyło się na „icz”; kiedy mówił, przeciągał śpiewnie na tamtejszą modłę, poza tym różnił się nawet od oficerów, ba — kapitan zawsze się wyróżnia, lecz on różnił się bardzo.

Kapitan z s/s „Chmury” miał zmęczoną twarz, z małymi, przekornie wyzywającymi oczami. Nie było w nich cieplejszego, ludzkiego uczucia, patrzył nimi na swoich ludzi, jakby ich nienawidził. Nikt go nie lubił. Nie śmiał się nigdy, a gdy czasami uśmiech wydobywał mu się na twarz, wyglądał jak przestraszony; było w tym coś komicznego. Zaraz się opanowywał spędzając uśmiech jak coś okropnego. Lubił mruzczyć; widać, uważał, że mu z tym bardziej do twarzy niż z uśmiechem.

Pewnego razu przechadzając się po mostku (kapitańskie miejsce), wdał się wyjątkowo w rozmowę z marynarzem, stojącym na „oku”; prawie nigdy tego nie robił. Ta nieszczęsna rozmowa obnażyła go zupełnie. Pan kapitan się rozczulił, gdy usłyszał, że majtek jest z Kurskiej guberni. Jak ziomkowi zwierzył mu się, że i on stamtąd pochodzi. Długo rozmawiali o swoich

rodzinnych stronach współczując sobie wzajemnie. Wspominali o dobrych carskich czasach, o majątkach, z których musieli uchodzić przed bolszewikami, i obrzucali ich za to obelgami. Pocie-

41

szali się wzajemnie, że wojnę bolszewicy przegrają i że będzie to dla nich zasłużona kara. Obaj jednak uznali ze smutkiem, że majątki przepadły.

Kiedy majtek na kubryku opowiadał kolegom o rozmowie z kapitanem, wszystkich aż zatkało, że się pomylili co do miejsca jego urodzenia. Parsknęli jednak śmiechem, gdy usłyszeli, że jest z Kurskiej guberni — podobało im się to bardzo.

— A widzicie — mówił były aktor warszawiak — zawsze mówiłem wam, że to bojar.

— Tak nawet wygląda — poprawili inni.

Kapitan był przesadnie obowiązkowy. Doglądał wszystkiego z chropowatą szorstkością. Byłby na pewno dobrym kapitanem przed stu laty, kiedy kapitan zawsze był tyranem, a zgraja (załoga) gięła się w posłuszeństwie. Dzisiaj zgraja jest mocno popsuta i tak zhardziała, że żąda, by i kapitan odnosił się do niej po ludzku. Obecnie ludzie morza nie chcą być zgłodniałymi wilkami, chcą być jak najbardziej podobni do ludzi.

Kapitan miał w sobie coś z wilka morskiego; kiedy w nocy ze skrzydła mostku obserwował boje świetlne,

urozmaicał liczenie dziwnymi pomrukami: „Jeden — hę”, „dwa — hę”, „trzy — hę”. Kiedy był w dobrym humorze, wydawał komendy (kochał się w nich) bardzo powoli i uroczyście, kiedy go coś bodło (zdarzało się to często), rzucał je z przerażającym rykiem.

W zasadzie uważał, że do załogi może zwracać się jak chce, ale załoga powinna odnosić się do niego miękko i układnie. Jak się sam przekonał, nie zawsze się to udawało. Sprawdzając kiedyś w nocy kurs na kompasie na pelengowym mostku spostrzegł, że jest o trzy stopnie za dużo.

— Panu się pewno w głowie pokręciło, hę? — krzyczał powoli i z ironią przez tubę do marynarza przy sterze.

— Panu kapitanowi się pewnie pokręciło — odpowiedział sternik.

42

— Co, mnie? — mówił w pasji. — Jak pan śmie?

Byłoby kiepsko ze sternikiem, gdyby oficer wachtowy nie wyjaśnił, że to on wydał polecenie. Inny by tak nie odpowiedział; ten był hardy; „pływał” już po wodzie, gdy jego kontrtorpedowiec utonął pod Narvikiem. Później był ranny na innym torpedowcu i jako niezdatny zwolniony. Znowu marynarze się weselili.

— Czy to wszyscy tacy z Kurskiej guberni? — pytał jeden drugiego.

— Gdzie tam, nie wszyscy, to carski niedobitek —

przekonywał ich socjalista.

Oficerowie mówili o nim, że nie ma taktu, więcej widocznie nie śmieli. A nie oszczędzał ich. Chodząc w nocy po mostku — nie spał prawie nigdy — pytał melodyjnie wachtowego oficera:

– Pro-szę pa-ana, czy idzie-emy na wszy-ystkich obro-tach?

Był rozbrajająco grzeczny przed każdym dociąganiem.

– Tak, panie kapitanie — odpowiedział oficer. Kapitan po rozmowie przez tubę z maszynistą od razu skoczył.

– Dlaczego pan nic nie wie? Jeszcze mogą dołożyć.

Oficer zaraz się wyniósł na górę mostku. Kapitan spacerował po skrzydłach śpiwnie mrując. Po pewnym czasie, widząc, że s/s „Chmura” za bardzo się zbliża do idącego przed nią statku, przycisnął dzwonek do maszyny, by odjęli szybkość. S/s „Chmura” jednak dalej się zbliżała, więc przycisnął jeszcze dwa razy. Aż tu nagle lecą oficerowie i marynarz z rufy, pytają, co się stało. Kapitan cofnął się o krok, miał już kazać im się wynosić, gdy majtek śmiało przerwał:

– Słyszeliśmy alarm, cała załoga nie śpi. Kapitan dopiero wtedy się połapał, że przycisnął niewłaściwy dzwonek.

– Ale oczy, to ma jak jastrząb — mówiono.

Rzeczywiście, wszystko widział. Znikający statek zawsze widział najdłużej, chociaż niektórzy o tym wątpili. Gdy marynarz zapytany, czy jeszcze widzi, odpowiadał, że nie, zaraz mówił:

– He — co z pana za marynarz?

Uznawał tylko jednego z załogi, równego mu wiekiem, wzrostem i szerokością w barach. Był to doskonały marynarz i bardzo spokojny chłopak, bardzo ambitny. Widać było po nim, że nie zniósłby złośliwego traktowania, jak się później przekonał jeden z jego kolegów. Z zawodu był bokserem.

Podczas sztormu na Atlantyku s/s „Chmura” ryła dziobem, wyrzucając słupy wody, rufa podnosiła się wysoko w górę z mielącą powietrze śrubą. Cały statek trząsał się nieprzyjemnie, skakał jak koń po dziesięć stopni w prawo lub w lewo.

Pan kapitan odejmował wtedy obroty. Aż tu nagle sternik krzyczy:

– Cała na burcie, nie słucha steru! Spojrzał na niego z bokowca; w jego przekonaniu sternik zawsze był winny.

– Cała na burcie, nie słucha steru — powtarzał głośnie — wynosić mi się ze steru! — krzyczał i wołał marynarza ze skrzydła, by go zastąpił.

Oficer skoczył do telegrafu, dając całą szybkość; było jednak za późno. Wiatr zepchnął już statek bokiem do fali — kładł się wtedy, aż burtami nabierał wody. Na

mostku każdy trzymał się, czego mógł, by nie wypaść za burtę. Potem statek wyprostował się powoli i wrócił na kurs.

– Ależ to zgraja — mrucał gniewnie.

– Za mała szybkość była, panie kapitanie — mówił oficer.

– Turyści, sportowcy, batiary, marynarze z ulicy.

– Zawsze tak było — mówił oficer. Sternik przytaknął mu głową z zadowolenia.

44

Na pewnej wachcie były artysta z Warszawy stojąc na mostku śpiewał: cicho, rzewnie, to smutno, to wesoło. Wszyscy, będący na wachcie, słuchali go w ciszy, słuchał go nawet oficer.

Aż wpadł kapitan.

– Panie, czyś pan zwariował! Tu nie teatr.

Śpiewak zamilkł. Smutno było wszystkim. Znalazł się cwaniak, radził mu, aby się wyuczył „pieśni burłaków”; przysięgał, że na pewno trafi w smak kapitanowi. Warszawiak jednak nie miał do niej serca.

Po długiej podróży s/s „Chmura” przyszła do Londynu. Ożywiła się załoga, że się ucieszy lądem, i naprawdę tak było. Steward powiedział, że wyda każdemu butelkę trunku, jaką kto chce, a że nikt nigdy nie pił słabego — więc każdy wziął wódkę.

Dziwili się wszyscy kapitańskiej hojności, że zezwala (załoga zawsze płaci sama), i snuli różne domysły. Gdy już niewiele zostało, dowiedzieli się w końcu od Anglika, radiotelegrafisty, że pan kapitan idzie na emeryturę żeniąc się w Szkocji z wielką lady.

– Zmięknie teraz — wtrącił któryś.

– Zrobi bardzo roztropnie — dodał drugi, po co ma męczyć siebie i innych?

– Powinien był to już dawno zrobić — powtarzali jeden za drugim.

## **NAJPIĘKNIEJSZY REJS**

Wiadomo — ludzie żyjący z dala od frontu, sypiający w miękkich łóżeczkach i mający dużo wolnego czasu, najbardziej interesują się wojną; wyjątek stanowią lekko-duchy, które w ogóle o niczym nie myślą.

Wojnę podobno „robią” panowie z grubą forszą w celu „zgaszenia,, takich samych panów, którzy za dużo im nos wścibiają w ich pieniądze. Nie zawsze to się im udaje tak, jakby chcieli — często ludzie, którymi posługują się na froncie, odgadują ich „patriotyczny cel” i karcą ich po skończonej wojnie, oczywiście — zawsze łagodniej niż byłoby trzeba.

Inaczej zainteresowani są wojną ludzie na froncie,



którzy sprowadzają ją do jednego słowa: zwycięstwo. Oczywiście, byłby to brzydki kawał, gdyby po wojnie panowie „z grubą forszą” zwyciężyli zwycięzców.

W podnieceniu wojennym ludzie na lądzie często się kłócą. Marynarze zbytnio nie wtrącają się do nich. Mają na to za mało czasu. Między rejsami, w czasie krótkich postojów statków w portach, zajęci są spijaniem ginu i piwa. Słodzą wtedy smutek kobiet i pocieszają dziewczęta. Niektóre są tak pocieszone, że smucą się na samą myśl o tym, iż koniec wojny będzie końcem ich szczęścia.

Ludzie przestali już gadać o drugim froncie, prawdopodobnie z wyczerpania, z beznadziejności w tej sprawie,

46

ale po dłuższej przerwie ze wzmożoną siłą zaczęli znów mówić o konieczności inwazji kontynentu. Był to olbrzymi krok naprzód. Lud żądał wysłania olbrzymiej ekspedycji i zmiążdżenia Hitlerii. Od wczesnej wiosny przewodnią myślą wszelkich rozmów była tylko inwazja. Myśl tę spotęgowały gazety, radio, plakaty, rewie, manifestacje, zebrania, zabawy i wszelkie igrzyska. Nastaly dobre czasy dla żołnierzy i marynarzy! Nie potrzebowali stawać w długich kolejkach na przystankach autobusowych, teatr i kino mieli za darmo, wszystkie inne zabawy i uciechy kosztowały ich tylko pół ceny. Komandosy wojowali na Piccadilly. Lotnicy zajęli trawniki w Hyde Parku. Mary-

narze tkwili w barach. Inne mniej ważne formacje nie mając szans zostały na peryferiach miasta. W parkach, skwerach i miejscach spacerowych każdemu rozkosznie zwisała z ramienia dorodna dziewczoja. Dziewczęta były dla nich słodkie, czułe i kochające. Cywilami nie były zainteresowane, odsunęły ich na później. Wtedy cywile naprawdę uwierzyli w możliwość inwazji tłumacząc sobie, że jeśli taki stan potrwa dłużej, żołdacy zbabieją.

Stara węglarka francuskiego pochodzenia, s/s „Wawel”, chodziła pieczołowicie przy brzegach angielskich wożąc z portu do portu szlachetny węgiel. Ku radości kapitana załoga sprawiła jej wiosenne malowanie od jablek masztów aż po linię wodną. Życie upływało na wyteżonej pracy i sielskim po niej spokoju. Gadania z lądu i kłótnie nie dochodziły tu wcale. Kiedy wiosenne słońce przygrzewało ciepiej, widać było oficerów w piżamach, którzy wlekli za sobą łapcie po śródokręciu, i marynarzy po wachcie, którzy bez koszul leżeli na ostatnim luku, czytali książki lub grali w karty. „Luftwaffe” odleciała na bolszewicki front, łodzie podwodne rdzewiały na dnach mórz i oceanów. Rdzewiały także i armaty na poczciwej węglarce.

Naraz jakby piorun trząśł w tę całą sielskość. Na pojedyncze pioruny marynarz tylko łypnie okiem i nic, wie, że nie robią mu one nigdy krzywdy, ale to była jakby burza

tropikalna, z deszczem piorunów. W słoneczne popo-

łudnie kapitan z białą kartką drukowanego papieru w ręce zszedł z mostu do czekającej go na ostatnim luku załogi. Stał szeroko w nogach, w środku załogi, dłuższą chwilę nie mówił nic, w palcach dłoni mocno ścisnął białą kartkę papieru, spokojnymi, upartymi oczyma kłuł stojących wokoło niego, narzucał im swoją wolę, a kiedy cisza zainteresowania doszła do punktu kulminacyjnego, naruszył ją prawie słodko:

– Pływaliśmy razem całą wojnę, było nam rozmaicie, źle i dobrze. W pierwszych latach wojny było piesko, sami zresztą wiecie. Pływamy jednak dalej. Wyżłopaliśmy sporo wódki, była tylko sama uciecha. Niektórzy się pożenili. Zapomnieliśmy, że jest wojna, armaty pordzewiały. Wydawało się, że tak będzie w nieskończoność — ale tak nie będzie.

Przestał mówić — z oczu mu zionął ogień. Gardłowo powoli wyrzucił:

– Teraz Niemcy będą się łupać. Niedługo jedziemy na kontynent. Inwazja musi się odbyć bez zgrzytów. W tym olbrzymim przedsięwzięciu jesteście maleńkim kółkiem — musimy być bardzo sprawnym kółkiem. Na przeciąg tego czasu żądają od nas, abyśmy się sami wyrzekli niektórych uprawnień.

Podniósł w górę trzymaną kartkę papieru i dodał:

– Pojadą tylko ci, którzy podpiszą tę deklarację inwazyjną.

Rozwinął papier i czytał punkt po punkcie powoli,

bardzo uroczyście. Kiedy skończył, ogarnął wszystkich oczami, czekał odpowiedzi.

Nikt nie chciał pierwszy mówić. Milczeli i pytająco zaglądali sobie w oczy. Stojący najbliżej kapitana wymówił z flegmą:

– Na co to wszystko? Po co? Byliśmy już na wielu inwazjach, wszystko szło składnie.

48

Kapitan uśmiechnął się, kiwnął znacząco głową i głosem ciętym, jak przedtem, odpowiedział:

– Ta inwazja przypuszczalnie będzie już ostatnia i dlatego musi być zupełnie pewna.

– Nie wolno ci odmustrować, kiedy chcesz — przecież nie jesteśmy jeszcze wojskiem — ktoś burknął. Inni mówili prawie razem:

– Robić dwadzieścia cztery godziny, nie nowina — ale bez zapłaty? Przydział do każdej pracy — dni wolne precz — urlopy precz — to trochę za wiele.

Jakiś stary wycedził:

– Jechać trzeba — ale dobrali nam się do skóry.

– Trzeba jechać — podjęli inni. — To już będzie koniec ze Szwabami, a potem do kraju.

Młodzi podpisywali na kolanach. Kiedy kartka obiegła wokoło, kapitan złożył ją na pół i rzekł:

– To już nie będzie tylko o Anglię, długo tu już nie będziemy.

Wzniósł kartkę w górę i odszedł.

Inwazję wszyscy przyjęli mocno. Gunnerzy zaraz wzięli się do czyszczenia armat i doprowadzili je do prawdziwej doskonałości. Wzięli amunicji więcej niż zawsze, zapasowe lufy do działek i inne części.

Marynarze wynieśli na ląd swoje świąteczne graty, elegancja poszła precz, po portach będą się obijali w dunkrach i w niebieskich koszulach, żywiołowo i swobodnie jak ich koledzy przed stu laty.

Żonom i kochankom nie powiedzieli ani słowa, by ominąć wszystkie pocieszne i smutne ceregiele. Nie wiedziały, kiedy opuścili Londyn. Dover przeszli nocą w rozwiniętym konwoju w dwu kolumnach. Było bardzo ciemno. Drobnny, gęsty deszcz jak mgła dopełniał ciemności. Woda gładka jak szkło. Idealne warunki dla niemieckich ścigaczy, ale nie pokazały się wcale, tak samo jak nie słyszeli armat z Cap de Gris. Konwój kierował się na zachód wzdłuż angielskiego brzegu. Deszcz padał lepki i nieprzyjemny. Następnego

49

dnia weszli do olbrzymiej zatoki w okolicy Portsmouth. Nie mieli teraz żadnej wątpliwości co do inwazji. W zatoce jak zbite w olbrzymim worku leżały na kotwicach statki inwazyjne. Wszystkie były małe, należały do pierwszej grupy uderzeniowej. Barki desantowe z

flagami angielskimi i amerykańskimi leżały całymi dywizjonami; wielka liczebnie flota najrozmaitszych przeznaczeń i różnych dziwnych konstrukcyj. Pilot na mostku mówił, że wszystkie zatoki w tej okolicy są tak zapchane.

Po kilku dniach pogoda się poprawiła, zrobiła się piękna i słoneczna. Samoloty niemieckie tylko na krótkie chwile przylatywały nocą, świeciły rakietami i uciekały. Armaty przeciwlotnicze odzywały się wszędzie.

Z prawej strony na brzegu było jedno wielkie lotnisko. W dzień myśliwce kołowały wyżej i wyżej, czwórkami, ósemkami, szesnastkami. Kiedy się zebrało takich grup z dziesięć, odlatywały na południe do Francji. W nocy bombowce zawodziły swoją muzykę.

Nastąpiły kłopoty, z żarciem. Nocne porcje znacznie zmniejszono. Często dochodziło do ostrych rozmów z oficerami. Ci mieli stale jedną odpowiedź:

– Przeszliśmy na wyżywienie do admiralicji angielskiej, więcej nam nie dają.

Dobra pogoda zawsze jest na statku skwapliwie wyzyskiwana. To trzeba poprawić takielunek, przygotować nowe cumy, pukać i skrobać rdzę albo znowu przychodzi malowanie. Porządki w każdym przedziale, i tak bez końca. Statek jest jak fabryka, robota na nim nigdy się nie kończy. Oficerowie pędzą wszystkich do pracy, sami przykładają się do niej jak nigdy przed wojną.

W czasie pracy i po pracy dochodzą nowe zajęcia. Organizowanie wszystkiego i zaprawa już jakby bojowa. Wachty, podwachty, rezerwowi strzelcy do działek. Najwięcej pracy pochłania przygotowanie się do akcji przeciwpożarowej. Różne pompy motorowe, ręczne, gaśnice,

50

aparaty tlenowe, kostiumy azbestowe, małe pompki, gaszenie pianą, piaskiem i wodą.

Kiedy oficer tłumaczył, jak okruchy bomby termitowej zasypywać piaskiem, przechodzący palacz uśmiechnął się swoją czarną twarzą i poprawił:

– A od razu na szufłę i za burtę, to nie lepiej ?

Wszyscy wybuchnęli śmiechem, obiecując sobie, że tak będą robili.

Ci z kuchni i stewardzi, jako delikatniejsi, zaprawiają się na doktorów. Pierwsza pomoc, opatrywanie rannych.

A potem jak reagować na atak lotniczy, łodzie podwodne, i na zakończenie opuszczanie szalup, najważniejsza rzecz, która powinna się odbywać w kilka sekund.

Niektórym się zdaje, że marynarz, to prosty drągal z krzepą. Tak nie jest. Większość tych drągali podoła dzisiejszej pracy biurowej, ale młodzieńcy z biur nigdy nie dadzą rady statkowi. Od marynarza wymaga się wszyst-

kiego ; aby z masztu nie zleciał, aby w wodzie nie tonął — i na dodatek dziesięć specjalności. Oczy jego muszą wszystko widzieć, od stóp aż do horyzontu wokoło. Uszy — umiejscawiać każdy szmer. Głowa.— szybko myśleć; ciało żbika gotowe temu wszystkiemu podołać.

W czasie postoju odwalono sporo roboty. Ćwiczenia wypadały zadowolająco. Prawie wszystkie statki, które tu stały, były załadowane. „Wawel” był pusty, toteż każdy wiedział, że odejdzie stąd i pójdzie dokądś po ładunek. Aż wyszedł pewnego wieczora, włączył się do przechodzącego konwoju i szedł z nim na zachód. Po opłynięciu Lands End skierował się na północo-wschód.

Do Swansea przybyli rano. Pierwszy oficer oznajmił, że wyjazdy są ograniczone do dwunastu godzin. Jeśli kto chce więcej, musi wziąć pozwolenie z admiralicji.

Na pustym nadbrzeżu zostali dwa dni. Po pracy szli do najbliższych barów. Bardziej wybredni jechali na obszerną plażę z rojem kąpiących się. Tak, Walijski są wspaniałe dziewczęta, bujniejsze i kwiecistsze od Angielek.

51

Z żarciem znowu kłopoty; po skąpych porcjach wszyscy z talerzami chodzą po nowe do kuchni. Kucharz starał się ich wypędzać, ale mu się to nie udało. Sprawa oparła się o kapitana. Kucharz zdradził tajemnicę. Na pięćdziesiąt funtów mięsa dostał połowę łoju. Nie mógł wydołać. Następnego dnia po krótkiej, ostrej rozmowie z kapitanem kucharz zszedł ze statku.



Steward i radiotelegrafista zaczęli gotować; dla użerającej się załogi mają tylko jedną odpowiedź: admiralicja więcej nie dała.

Aż przyszedł nowy kucharz, bardzo sprytny. Sprawę zaprowiantowania rozwiązał iście po angielsku, chociaż z pochodzenia był Walińczykiem. Zapędził wszystkich chłopaków z kuchni do tarcia kartofli. Piekł wspaniałe placki bez oleju, wypiekał nawet ciastka. Wszyscy chwali go. Robił nawet jakieś inne, trudne do określenia w naszej mowie bigosiki i gęste zupy, które miały zastąpić proste, pełne, stare racje żywnościowe. Chłopaki z początku zostawili go w spokoju, ale widząc, że już tak ma pozostać, zaatakowali i jego. Kucharz był porządnym chłopem. Skomplikowaną sprawę rozwiązał sam. Zapowiedział, że będzie dawał tyle, ile dawali przedtem, ale gdy się skończy zapas, nikt nic nie dostanie. Na to wszyscy wybuchnęli śmiechem i pogodzili się z losem.

Kiedy poszli pod bunkier, około wieczora przed samym ukończeniem pracy przyszedł telegram ze Związku Marynarzy do delegata załogi, wzywający go na doroczne walne zebranie delegatów, które miało się nazajutrz odbyć w Liverpoolu i trwać dwa dni.

Delegat zaraz poszedł do kapitana, pokazał telegram i poprosił, aby mu dano pismo do admiralicji w celu uzyskania pozwolenia na wyjazd.

Kapitan zbył go dwoma słowami.

Kiedy załoga dowiedziała się o tym, skłęła kapitana

żądając od delegata wyjazdu na zebranie. Delegat nie jedząc kolacji skoczył do biura admiralicji. Urzędujący tu kapitan nie mógł się zdecydować na wydanie zezwolenia.

52

Kazał mu następnego dnia przyjść do komandora, który był tam najtęższą głową. Po wyjściu z biura delegat zdecydował się szybko. Jutro rano o dziewiątej rozpoczyna się zebranie — skierował się prosto na stację. Uczestnictwo w zebraniu potraktował jako najwyższy obowiązek wobec współtowarzyszy pracy. Wiedział, że statek nie będzie prędzej załadowany niż za trzy dni, więc może odejść, a po dwóch dniach przecież wróci.

Gdy przyjechał po dwóch dniach, mile zaskoczyło go ładowanie armat i troków z amunicją. Po złożeniu załodze sprawozdania udał się do pierwszego oficera, ten odesłał go do kapitana. Kapitan łypnął na niego okiem i cedził:

— Bardzo źle — czekają go trzy miesiące — ale nie czas teraz na sądy — pojutrze wychodzimy.

Inwazja na serio, wszyscy są nią żywo przejęci. Po zakryciu luków i położeniu bałmów przychodzą na pokład żołnierze amerykańscy, artylerzyści, kierowcy, sanitariusze. Jest to mała jednostka, która może działać samodzielnie. Rozwijają olbrzymie brezenty nad każdym lukiem i usadawiają się pod nimi.

Wieczorem „Wawel” wychodzi. Marynarze na dziobie

i rufie zwijają się żywiej niż zwykle, są radośnie podnieceni, w uśmiechu wilczo szczerzą zęby jak przy ważniejszych zdarzeniach.

Na redzie leży na kotwicy kilkadziesiąt statków, „Wawel” rzuca przy nich kotwicę. W zachodzącym słońcu, z olbrzymimi namiotami na lukach, statki wyglądają jak olbrzymie gondole. Pokłady są wypełnione hałaśliwymi Amerykanami, którzy mówią, że jadą na piknik:

Pogoda się mocno psuje, w nocy pada deszcz, pada przez cały dzień. Żołnierze pochowali się pod brezenty, nie wysuwają nawet głowy. Kiedy deszcz przestaje padać, zrywa się taki wiatr, że oficer wachtowy z marynarzem parając się z wiatrem idą na dziób i rzucają drugą kotwicę. Gdy ustają porywy wiatru, wzmagają się ulewa. Robi się zimno

53

i mokro, wyje wichura. Żołnierze, zbici pod brezentami, drżą z zimna. Zdaje się, że pogoda się już ustaliła i że potrwa tak dłuższy czas. Wszystkich dręczy myśl, jak długo tu będą-tak bezcelowo stali i męczyli biednych żołnierzy. Długo, to trwać nie może, przecież zabraknie wody. Z powodu wiatru mniejsze statki poszły do portu. Rano, równo z brzaskiem, statki ciągną kotwicę i ustawiają się w kolumny. Konwój idzie przez poorane, białe, dymiące w szkwałach morze. Idzie powoli na południo-zachód, a więc w kierunku inwazji.

Po opłynięciu Lands End konwój wchodzi w kanał Angielski. Statki w wyciągniętych kolumnach idą na

wschód tuż przy brzegu angielskim. Na pokładzie z ust do ust. idzie wieść o upadku Rzymu. Dobra wiadomość.

Kapitan znów zebrał gunnerów na pogadankę. Chce im widocznie prawić morały, choć i tak są cięci jak osy i zawsze bojowo nastawieni, co im zjednywa największe poszanowanie na statku. Na nich zawieść się nie można, wytrwają zawsze.

Wieczorem konwój idzie bardzo wolno, jakby czegoś oczekiwał. Przed dwunastą w nocy silny wybuch podrywa wszystkich na nogi. To drugi statek, idący z tyłu w tej samej kolumnie, co s/s „Wawel”, wylatuje w powietrze. Rozlega się silne granie samolotu. To Niemiec znurkował cicho z czarnej nocy w górze, rzucił torpedę i ucieka teraz, ile wlezie.

Rano każdy się budzi z wiadomością, że inwazja rozpoczęta. Spadochroniarze i komandosi wylądowali we Francji. Wśród marynarzy dzika radość. Żołnierze czują się znacznie lepiej. Pogoda wciąż okropna, nie przygnębia ich jednak teraz wcale. W głowach wszystkich mocno siedzi: to nie wypad, ani żadne Dieppe, ale początek końca Hitlerii.

Następują teraz wszelkie rodzaje próbnych alarmów. Kapitan ciągle na mostku, stara się wszystko przewidzieć. W rozmowie z oficerami wypowiada się jasno, zwięźle

i bardzo zrozumiale. Kiedy się go słucha, wydaje się, że

ta olbrzymia robota jest niezmiernie łatwa.

Wszędzie widać żołnierzy z pełnymi garściami nowych, szeleszczących banknotów francuskich, drukowanych w Ameryce. Liczą, przekładają je z garści do garści, oglądają lubieżnie półnagie, pełne wdzięku obrazki nagich kobiet, mdlawo różowe, niebieskawe, zielonkawe. Podobają im się jak reklamy kabaretów francuskich.

Żołnierze urządzają się na statku jak najlepiej. Zajmują wszystkie miejsca, zostawiają tylko mostek i miejsca przy działkach. Jest ich pełno w kuchni, w salonie, w messach, w kabinach, na pokładzie, wchodzą nawet na rusztowania tratw. Deszcz już nie pada. Wszyscy jedzą, piją, grają w karty, żywo rozmawiają, słyszeć śpiewy, okrzyki, widać dużo hałaśliwej radości. Z pokładu szalupowego, przez otwarty bulaj, z kabiny gunnerów, z radia drze się amerykański jazz. Amerykanie w takt do niego dygocą. Niewiele się interesują wiadomościami z frontu. Są bardzo koleżeńscy, chętnie częstują i dzielą się z załogą smakołykami, które jedzą chętnie jak dzieci.

Przechodzące nisko chmury sprzyjały atakowi niemieckich samolotów; nie pokazują się one jednak wcale. Nad konwojem przelatują przyjacielskie samoloty; krążą w zwartych formacjach i luźno, setkami, dziesiątkami i pojedynczo, z północy na południe i z południa na północ. Jak na popisach lotniczych mkną oszalałe Mustangi, Spitfire'y, Fortece, transportowce i dziesięć innych typów.

Przy latrynach żołnierze czekają w kolejce, by zająć miejsce. Przebywających tam zbyt długo wypędzają wcale nieskomplikowanymi słowami. Opornych nie ma. Załatwiają się śmiesznie szybko i wychodzą z paskami na karkach, kłócąc się jeszcze nadal nieśmiało.

Krótko przed zachodem słońca konwój skręca prosto na południe. Na kubryku pełno żołnierzy. Marynarze częstują ich herbatą, wszyscy palą papierosy. Siedzą w chmurze dymu, zadowoleni i weseli. W łózkach tych, którzy

55

poszli na wachtę, chrapią Amerykanie polskiego pochodzenia. Swój ciągnie do swego.

Ściemnia się. Okręty wojenne, idące wokoło pierścieniem, często „morsują” w swoim oganiani konwoju. Żołnierze śpią przed krwawą robotą, która ich czeka. Noc przechodzi bez jednego wystrzału.

Robi się widno. Jest już drugi dzień inwazji. Niebo pokryły bure chmury. Na horyzoncie w tyle i z lewej strony, widać inne konwoje, płynące w jednym kierunku. Z południa dochodzą głucho grzmoty artyleryjskie. Konwój przechodzi pierścień okrętów wojennych, goniących tam i z powrotem jak psy stado. Przed dziobem widać statki i statki, stojące na kotwicach. Morze wrzyna się płytkim półkolem w ląd. Jest tu największe zgrupowanie statków. Pełno ich wszędzie, okalają brzeg z obu stron, aż giną za horyzontem. Z lewej strony jaśnieje żółty brzeg, w

oddali widać ciemną zieleń drzew. Z prawej strony wysoki, rudy brzeg spada pionowo w morze. Wystaje tu on jak cypel, dymią na nim upadające niemieckie pociski artyleryjskie. Za cyplem woda i w dali jak przez mgłę widać półwysep normandzki. Milę od brzegu stoją na kotwicach wielkie amerykańskie monitory, strzelające dwoma olbrzymimi działami. Za nimi widać krążowniki i pancerniki! jest podobno „Nelson” i „Rodney”. Wszystkie strzelają w stronę lądu. Olbrzymie kłęby ognia wykwitają za lufami. Strzelają ponad głowami Amerykanów, którzy są o sześć mil od brzegu. Chłopaki szukają „Dragona”, jednak nie mogą go znaleźć.

Z lewej strony, gdzie morze wchodzi łagodnie na piasek, idą aż na suchy ląd barki desantowe, krypy, łodzie płaskodenne i inne maleństwa. Ludzie biegają tam jak kraby po piasku.

Przychodzi pochmurna noc z deszczem. Statki stoją bez świateł. Z leżących bliżej brzegu, widać skąpe światła; wyładowują przy nich. Robi się czarno. Krążowniki jeszcze zioną ogniem.

56

Po dwunastej zrywa się nagle grzmiący rechot, zlewa się w jeden ciągły grzmot intensywnego strzelania.

Z kubryku wszyscy wyskakują na pokład. Ze wschodniej strony widać jasno żgające światło rakiet i słup ognia wzlatujących w górę pocisków. Strzelanie przechodzi wzdłuż brzegu na zachód, a za nim rakiety

oświetlające. Strzelają coraz to inne statki, aż wszystko znika tak nagle, jak przyszło. Pozostały tylko rakiety, wolno spływające z góry. Amerykanie mówią „big show” i zasypiają.

Po dwóch godzinach ogień znów się zrywa z jeszcze większą siłą. Przy samym brzegu powstaje z świecących pocisków jak z pajęczyny tkany, olbrzymi włok, a nad nim pękają promienistym ogniem pociski większych kalibrów.

„Wawel” stoi prawie o dwie mile od brzegu i nie otwiera ognia. W środku ognistego włoku widać dwie opadające w dół większe plamy ognia. Wyglądają jak dwie złote muszki, które zaryzykowały. Hansy nie nawalają. Za nimi, dalej na wschód, spadł trzeci, przy zetknięciu z ziemią sypie falą ognia. Tej nocy strącono dwadzieścia pięć samolotów niemieckich.

W tym czasie od strony morza widać rakiety świetlne. Oświetlają pociskami stojące bliżej kontrtorpedowce. Wszystkie okręty wojenne, będące w pobliżu, koncentrują tam ogień. To pokazały się ścigacze niemieckie, po to chyba, by odbyć ostatni swój rejs. Nie mają żadnej szansy przejścia.

Ogień przeciwlotniczy przy brzegu cichnie. Strzelają za ścigaczami. Przelatują jeszcze pociski oświetlające i znów cisza. Nie długo trwa, przerywa ją ochrypła syrena „Wawelu”, która dziwnie i nienormalnie, z przerwami powtarza sygnał.

– Wzywa lekarza — mówią marynarze.



Po chwili się dowiadują: większy odłamek z pocisku złamał nogę żołnierzowi, a drugiemu porwał palce u dłoni. Po chwili przyszła motorówka i wzięła rannych.

57

Rano „Wawel” idzie pod brzeg. Mijają liczne statki. Między statkami przepływają liczne krypy, wiozące żołnierzy i różny sprzęt na brzeg. Szybkie motorówki i ścigacze patrolowe pełnią tu służbę łącznikową uwijając się między statkami. Na masztach sygnalizacyjnych widać różne flagi.

Podchodzą pod sam brzeg. Marynarze śmieją się, że „papierowa ściana Goebbelsa” pękła. Były tu potworne zasieki z drutów kolczastych, groźne bunkry, ale już ich nie ma. Wśród drzew, otaczających piękne wille bogaczy, tylko ruiny. W prawo, o kilka mil, widać zgliszcza jakiejś wioski z ocalałą wieżą kościelną. Na linii brzegu i w miejscu, gdzie wyładowują statki, jest dużo balonów zaporowych. Dalej od brzegu statki nie mają balonów, aby nie przeszkadzały przyjacielskim samolotom. Na piaszczysty brzeg wyjeżdżają z wody samochody-amfibie; na lądzie z miejsca biorą większą szybkość. Amerykanie nazywają je kaczkami; naprawdę wyglądają śmiesznie, jak kaczki. Na piasku leży kilkanaście barek desantowych, niektóre są niemniejsze od „Wawelu” (2000 ton). Z przypływem zejda z powrotem w wodę. Mniejsze statki Czerwonego Krzyża bielą się między szarymi. Ciężko naładowane szarpkami holownikami, także amerykańskie; czyżby i one przeszły Atlantyk? Olbrzymie pontony cementowe, w

kształcie doków pływających, które nawet dla marynarzy były zagadką, zatopione na dnie, tworzą łamacze fal i forty z działami. Osłaniają statki przed przyborem fal i w zasięgu swoich dział przed Niemcami. Platformy pływają jak nadbrzeża, pływają własnym napędem, zabierają ładunek i żołnierzy. Na samym brzegu wrze praca. Setki żołnierzy, podzielonych na brygady, wyładowuje platformy i barki. Czołgi i samochody zjeżdżają na ląd. Armaty ciągną własne ciągniki. Na brzegu wszystko to formuje się w kolumny, rozjeżdża się świeżo zbudowanymi drogami i ginie za wysokim brzegiem. Inne brygady budują drogi, posługują się buldożerami i często dynamitem. Po

58

niebie nad balonami latają w koło samoloty. Siedzą jeden drugiemu na ogonie. Oszalałe szybkością i pragnieniem, krwi grzmią niesamowicie silnikami. Luftwaffe nie przychodzi, nie miałaby zresztą szans. Przed południem padło jeszcze kilkadziesiąt pocisków na cypel z prawej strony. Po południu jest spokój. To Kanadyjczycy przepędzili Niemców, oni mają ten odcinek.

Okolo drugiej przyszła barka i platforma, uwiązały się z obu stron statku. Przednie dwie ładownie, podobnie jak tylne, mają usunięte dzielące je grodzie. Przez otwarte luki, drugi i trzeci, bałmy ciągną ładunek z połączonych ładowni. Amerykanie pracują w ładowniach i na pokładzie, marynarze stoją przy

windach. Armaty i troki wjeżdżają w ładowniach na siatki stalowe, w których idą w górę aż na barcę. Odbywa się to z początku z największą ostrożnością. Ciężar maksymalny, jaki bałmy mogą unieść. Stalowe liny były sprawdzane i niektóre wymieniane na, nowe. Windy są okropnie stare, rozklekotane, z połamanymi zębami trybów. Są bardzo marne i nie chcą ruszać z miejsca. Często stają, trzeba wtedy dać odwrotny bieg, a kiedy ruszy — przełączyć, zaraz na właściwy.. W trokach jest amunicja i dlatego wszyscy są tacy czuli. Troki i armaty idą w górę, początkowo wolno, potem coraz szybciej. Stojący przy windach nabierają niezwykłego wyczucia tych starych gruchotów i znów jeżdżą jak opętani. Oficerowie często przywołują ich do wolniejszej jazdy. Windy zgrzytają, wałą całym luzem i połamanymi zębami, pocą się każdym uszczelnieniem. Kłęby pary zasłaniają stojących przy nich chłopaków, którym podoba się ta prawdziwa męska robota. Na twarzach ich maluje się diabelna pewność siebie i spokojnie kurzą papierosy. Kiedy wyładowali, żegnają, schodzących Amerykanów życząc im powodzenia.

„Wawel” opustoszał, zrobiło się cicho, po żołnierzach został tylko zaśmiecony pokład. Po zakryciu luków i ułożeniu bałmów kotwica idzie w górę. Wyszli z ciżby statków,

59

minęli stojące dalej, weszli do formującego się konwoju pustych statków, które szły do Anglii. Minęli ze-strzelony balon, który stał dziwnie, podparty ogonem o

wodę, gaz zeń widocznie uchodził.

Po uporządkowaniu statku marynarze znów się zebrali na ostatnim luku. Nie było im żal, że nie wyszli na ląd w tym kraju wina i pięknych kobiet.

Myślami byli w swoim kraju.

– Piękny rejs — odezwał się któryś.

– Najpiękniejszy — dodał drugi.

– To już i do kraju niedługo — wybuchnęli wszyscy zgodnie.

Tak, był to ich najpiękniejszy rejs, który im wlał w serca moc do dalszej walki — na wszystko — a później do kraju.

60

**„P O L E”**

– Pole, koło — mówił szturman półgłosem tuż przy nim.

Przestał patrzeć się na wodę, odwrócił głowę. Było ciemno. „Czas na ster” — pomyślał sobie. Kiedy było widno, szturman często nie wymawiał nawet krótkich słów. Porozumiewali się doskonale oczami lub ruchem głowy.

Wszedł do sterówki. Marynarz, stojący przy kole, urągał śmiesznie.

– Idzie jak tramwaj — powiedział wyraźnie kurs i wypadł na skrzydło.

Położył dłoń na najwyższej szprysze koła. Na kompasie kurs się zgadzał. Wbił wzrok w czarną szybę, słabo było widać cień idącego przed nimi okrętu. Sterował na kompas, statek dobrze słuchał steru. Gdy potrzeba było, wolno przekładał z ręki do ręki szprychy koła.

W sterówce nie było zupełnie ciemno. Tarcza biegów na telegrafie, lichy oświetlona, rzucała skąpe smugi światła na ścianę, podłogę i sufit. Smugi odbijały się od nich rozpraszając ciemność i tworząc mrok, w którym oczy łatwo się orientują. Okapturzony kompas mdławo oświecał spokojną twarz. Oczy, zawsze pełne życia, żarzyły się teraz marzącym spokojem. Były jednak uważne, pilnowały biegu statku. Średnio wysokie czoło pogrążone było

61

w myślach, orli, drapieżny, ale wesoły, nos nadawał twarzy nieuchwytną, wyzywającą śmiałość. Szczeka nieduża, była jednak twarda, męska.

Wiatr zatrzęsł szybami. Podniósł głowę, ogarnął oczami sterówkę i znów patrzył w kompas. Wiatr wzmagął się coraz mocniej. Statek ożył, pochylał się lekko na burty i szumiał wiatrem. Za szybami ciemność

ustąpiła. Od czasu do czasu pokazywało się światło księżycy, po czym rozlewało się na wodę. Księżyc przez szyby oświetlał podłogę sterówki, czasami się chował, przysłonięty większą chmurą.

Sterował teraz na idący przed nim okręt, który doskonale widział wraz z całą kolumną. Z boku słyszał szturmana:

— Po co ten księżyc wylazł?

— Obyłoby się bez niego — odpowiedział. — Romansu nie będziemy odstawiać.

Od przodu, z boku konwoju, doszły ich odgłosy wybuchu bomb głębinowych, później odczuli drgnienia statku.

Szturman wyszedł na skrzydło od zewnętrznej strony konwoju, skąd dochodziły wybuchy.

Księżyc pięknie przyświecał, był jednakowo obojętny, czy przyświecał rozkochanej parze, czy tragedii.

Szturman po chwili wszedł do środka i zajrzał w kompas mówiąc:

— Inwazja dobrze idzie, Amerykanie posuwają się w stronę półwyspu normandzkiego.

— Za wolno idzie — odpowiedział mu. — Przecież są już dwa tygodnie, a ciągle prawie stoją w jednym miejscu.

Ale szturman, Anglik, był zupełnie zadowolony z

osiągnięć.

Obejrzał się, szturmana już nie było w sterówce.

Myślał o Peggy. Żegnając się z nim całowała go mówiąc: „Przyjdź do mnie, kiedy wrócisz”. Miła mała Peggy. Kochała go i żądała tylko wzajemności. Kiedy sterował – dobrze mu było myśleć o niej.

62

Do Anglików przyszedł, aby się od nich nauczyć roboty i zrozumieć, co to jest szczur morski. Przekonał się jednak, że był od nich zręczniejszy w tym fachu. Myśląc o Anglikach mówił: „Przeżyli się”. Anglicy z nielicznymi wyjątkami traktowali statek jak fabrykę. Spełniali swoje obowiązki; w porcie po pracy ubrani na modłę lądową, zmieszani z tłumem ludzi, zamieszkujących okolice portu, stapiali się z nim i ginęli. Pobłażliwie traktowali statek jako rzecz nieżywą, podrzędną. On — przeciwnie. Statek był zawsze jego przyjacielem, dbał o niego wiedząc, że nie spotka się z obojętnością. Nigdy nie było mu obojętne, na jakim statku się znajdował. Statek pokraczny, brudny i głupio skomplikowany w robocie, szybko porzucał śmiejąc się z niego jak z niezdarności ludzkiej. Zgrabny i o ładnej linii, czysty i prosty (nie dbał wiele o szybkość), był jego dumą i szczęściem. Trzymał się zawsze długo takiego statku. Często Anglicy hamowali go mówiąc z flegmą: „Bierz wolno”. On — przeciwnie — szalał, jak gdyby nigdy nie miał czasu. Wiedział, że Anglicy umieją tonąć spokojnie i cicho; i on by tak potrafił, ale

kiedy miał świadomość życia, żył. Czasami kpił sobie mówiąc do Anglików: „Gdy utonę, żadna inna ryba nie odważy się mnie zjeść, tylko rekin”. Będzie więc częścią rekina. „Nie będę was oczywiście wtedy zjadał” — śmiał się. „Tylko żywych, pływających w wodzie Niemców, aby nie szli już na żaden inny statek”.

Życie w nim kipsiało. W jego pojęciu marynarz był żywiołem. Kiedy wychodził na brzeg, nie starał się udawać człowieka z lądu. Nie gardził ani dunkrami, ani niebieską koszulą. Idąc tak ulicami miasta niósł z sobą powiew morza. Szedł lekko po nieruchomym cemencie chodnika, przyglądał się kształtnym łydkom dziewcząt, piękne biodra budziły w nim pożądanie. Z uśmiechem zaglądał kobietom w oczy; niektóre były oburzone, częściej uśmiechały się do niego. Z przechodniów, niechętnie przyglądających się tym zaczepkom, nic sobie nie robił. Nie zbierał żadnych

63

pamiętek i nie nosił żadnych ozdób. Ale raz w Liverpoolu, w knajpie, zobaczył u marynarza Norwega złoty, ciężki łańcuch z przyczepioną maleńką kotwicą i sercem. Norweg miał szerokie dunkry, był w wypłowiałej, niebieskiej koszuli, rozchełstanej pod szyją. Z podwiniętych za łokcie rękawów wychodziły ręce jak manile. Nosił ten łańcuch swobodnie i z dumą przy lewym napiętku. Rzezimieszki z otwartymi gębami nienawistnie przyglądali mu się mierząc swe siły, myśląc o zdobyczy. Nie mieli żadnych szans. Norweg był beztrosko pewny siebie. Podobał mu się, a



jeszcze bardziej jego łańcuch. Po przepiciu kilku kolejek, kupił łańcuch za dwadzieścia funtów. Odtąd nosił go na lewej ręce podobnie jak tamten. Na pięknym, maleńkim sercu kazał wyryć: „Polak, Bohdan Wrona”.

Nigdy się z nim później nie rozstawał. Był to jakby jego dowód i dokument. Niektórzy marynarze na wypadek śmierci nosili przy napiętku na tasiemce blaszkę z nazwiskiem i adresem. Zawsze się z nich wyśmiewał, a teraz poszedł w ich ślady. Pełen wesołości szedł w dunkrach, nawet na tańce; był to zuchwały nietakt w stosunku do eleganckiego świata. Skutek był jednak taki, że panny nie obrażały się, ale bardziej lgnęły do niego. Był beztroski, często wpadał w szaloną radość, swawolił. Wtedy nie było dla niego niemożliwości. Często przeholowywał. Rzadko jednak raził ludzi; przeważnie dokoła niego nie było widać smutnej twarzy.

Prócz Niemców kochał wszystko. Gdyby Niemców nie było, byłby szczęśliwy. Kiedy słyszał o zwycięstwach Niemców, śmiał się jak potępieniec. Niechby sto niemieckich samolotów przyleciało, miałyby wtedy do czego strzelać. A strzelał nieźle. Pod Londynem, kiedy wszystkim dech w piersiach zapierało, trafił do nurkującego do nich samolotu tak dokładnie, że wszyscy radośnie odsapnęli nie wiedząc, jak to się stało. Samolot nie przestając nurkować wbił się w wodę tuż przy nich. Blisko Scapa Flow na redzie, gdy Heinkel po storpedowaniu statku uciekał

tuż nad wodą na wszystkich obrotach, rozbił go tak, że zostały po nim tylko pływaki. Potem kapitan nazywał go „swoim szczęściem” i śmiesznie dodawał, że jeśli porzuci jego statek, to i on pójdzie precz. Kiedy ludzie narzekali na wojnę, wcale ich nie słuchał. Wiedział, że Niemcy postanowili bezwzględnie wytępić jego rodaków. Przyjął to bez tragedii, ale z szaleńczą determinacją — choćby jeden na wszystkich. Odkąd to pojął, wojna stała się jego żywiołem. Gdy myślał o milionach pomordowanych Polaków, odczuwał ich ból. Ból tych ludzi gasił wartość jego życia, był między nimi. Lecz on żył. Miał w sobie świadomość życia. Zemsta przeżarła mu mózg, krew zamieniała się w jad, który zabijał. Wojna była spuścizną tych którzy polegli. Sumiennie wypełniał ich wolę i dlatego był szczęśliwy.

Był koleżeński. Wspomagał kolegów swoją radą i siłą. W bójce pięść jego smagała celnie. Pieniądz nie stanowił celu jego życia. Jego szeroka natura, zda się, ogarniała wszystko. Lubił czytać książki. Często mówił Anglikom o ich morskiej historii. Umiał pracować, szło mu to lekko i zręcznie. Szturmani mówili, że jest doskonałym marynarzem.

Sterował jedną ręką, już nie myślał o Peggy. Spojrzał na zegar, dochodziła dwunasta. Nucił cicho piosenkę o księżycu, którą słyszał w ostatnim porcie. Ze schodów doszły go odgłosy kroków następnej wachty. Do sterówki wszedł hałaśliwie marynarz. Powiesił kurtkę na haku rzucił pas ratunkowy tuż przy kompasie i sapiąc jak człowiek, zbudzony ze snu, stanął przy kole.

Zdał mu kurs i wyszedł.

Szedł wolno po rozświeconym pokładzie. Zatrzymał się na chwilę na śródookręciu. Księżyc świecił jasno. Patrzył na równe kolumny statków, nie dymiły prawie wcale. Z przodu doszło go kilkanaście słabych wybuchów, słabo się odbiły o burty. Patrzył na zewnętrzną stronę: szli z lewej strony konwoju w pierwszej kolumnie jak bufor.

65

Konrtorpedowiec, idący blisko, wykręcił się do nich rufą i pomknął szybko zostawiając za sobą pianę. Wszedł do messy.

W messie Anglicy klnąc Niemców mówili co drugie słowo o inwazji.

— Hej, „Pole”! — krzyknął jeden — nie będzie już teraz długo do powrotu do twego kraju.

Nie zdziwiło go to wcale, mówili mu tak przynajmniej raz dziennie przez całe pięć lat. Uśmiechnął się, teraz się nie mylili. Słuchając ich rozmowy wypił kubek gorącej herbaty, potem poszedł do kabiny, zanurzył się w swoją koję i zasnął.

Anglicy także wkrótce opuścili messę idąc do swoich koi. Na rufie zrobiło się cicho.

Statki płynęły w ściśniętych kolumnach powoli, zuchwale idąc w stronę Francji. Księżyc zaszedł. Konwój szedł, przysłonięty nocą, tuż przy brzegu Francji.

Bomby głębinowe odzywały się jeszcze z lewej od strony brzegu nie przeszkadzając wcale śpiącym pod pokładem. Przyzwyczajeni do tych odgłosów spali twardo.

Nagle podrywają się wszyscy. Dzwonki dźwięczą na alarm.

Zerwał się z koi, chwycił pas ratunkowy i wybiegł z kabiny. Na pokładzie uderzył go w oczy jarzący blask, to okręt idący przed nimi wystrzelił dwie rakiety. Skoczył na trap wiodący na gun-deck; gdy biegł do działa, zatrzymał go na chwilę huk eksplozji i wstrząs. Przytrzymał się poręczy. Z przodu statku wystrzelił w górę słup wody i dymu. Trafiła ich torpeda. Z gun-decku zagrzmiało działo dwa razy, raz po raz. Wbiegł pędem. Widział usuwających się na pokład Anglików. Skoczył i przyłgnął do podstawy działa. Pociski głucho biły w żelazo jęcząc piekielnie, leciały na wszystkie strony. Poczł nagły ból w lewym obojczyku, ukąsiło go, ale ręką mógł ruszać. Wychylił oczy; ścigacz z rykiem leciał niedaleko nich bijąc ze wszystkich działek i karabinów maszynowych. Za ścigaczem

66

z boku, naprzeciw ich kursu, zabieliła się woda. Wyszedł z niej kiosk łodzi podwodnej żłobiąc białą bruzdę. Cały pokład jej był pod wodą. Działo z kiosku, skręcone w ich stronę, ziało ogniem. Dwa pociski trafiły. Mostek przestał istnieć. Spojrzał na leżących Anglików i ryknął:

– Hej, który może odpalić?

Wstał jeden jak cień, przycisnął ręką brzuch, przysunął się do zamka działa.

„Pole” załadował w jednej chwili. Przez celownik wczepił wzrok w kiosk. Podchodzi coraz bliżej.

– Tak, teraz.

– Ognia! — krzyknął silniej, zmuszając półżywego kolegę do ostatniego wysiłku.

Działo drgnęło. Pocisk pękł ogniem w kiosku znosząc go doszczętnie. Anglik osunął się tuż przy zamku na pokład przyciskając brzuch obydwiema rękami. Pokład łodzi wynurzył się z wody. Stał w miejscu całą swoją długością.

Obejrzał się. Śródkręcie jego statku było pod wodą. Przytrzymując pas skoczył do morza. Szybko zgarniał wodę ręką i nogami odpływając od tonącego statku.

– Dzielny mały stateczek — rzucił mu na pożegnanie.

Ostatnia rufa szła w wodę wraz jego kolegami, leżącymi pokotem przy dziale.

Najbliższe statki grzmiały wszystkim ogniem dobijając łódź podwodną. Miały łatwy cel, lekką robotę.

Kiedy uniósł się z falą, nie widział już łodzi podwodnej. Statki wstrzymały ogień i było cicho. Wolno spływały rakiety oświetlając ciągle płynący tym samym kursem konwój.

Dokręcił szkło lampki. Czerwone światełko nie wyblęskło.

– Do diabła! — zaklął. — Przecież od tego lichego światełka może zależne jest moje życie.

Statki przepływały z dala nie widząc go. Nie krzyczał. Szły za daleko, by go usłyszeć. Nie miał do nich najmniejszej

67

urazy. Cieszył się, widząc je, że wciąż płyną załadowane i groźne. Jedna łódź podwodna nie będzie już więcej słała im torped. Uśmiechnął się do siebie. Tak, konwój musi dopłynąć do Francji, na zgubę Niemcom. On, ranny, płynący w wodzie, cieszył się tym wszystkim. Konwój go minął i zniknął. Dochodziły go jeszcze wybuchy bomb głębinowych. Słabe uderzenia wody odczuł na własnym ciele, aż i one ustały i zrobiło się zupełnie cicho. Wiatr tylko wiał i szumiały fale. Nigdy nie czuł się tak samotny jak teraz. Zdany był na łaskę fal i wiatru. Pas ratunkowy doskonale go nosił; gdyby woda była ciepła, byłoby mu nawet przyjemnie. Ale ani fale, ani wiatr nie były dla niego łaskawe. Dął północno-wschodni wiatr i chłostał go po twarzy. Woda była przejmująco zimna i gorzka. Ciągłe zalewała mu twarz. „Może i lepiej” — myślał. Krew mu zakrzepnie na obojczyku. Czuł się dobrze. Gdy było bardziej zimno, przez głowę mu przechodziło: „Odpłacę ja im — z naddatkiem”. Był pewien, że gdy słońce wzejdzie i zrobi się widno, zobaczy go jakiś okręt przyjacielski lub

samolot. Odpocznie sobie wtedy trochę i z powrotem wróci na statek. Przypomniała mu się Peggy i ciepłe łóżko. Zawsze rano przynosiła mu filiżankę gorącej herbaty, całowała go i szła do pracy. „Dobra, mała Peggy. Wrócę do niej i będzie mi po stokroć lepiej”. Na chwilę zza wystrzępionych chmur pokazały się gwiazdy. Było jaśniej. Potem w zbitej powłoce przysłyły chmury, zrobiło się czarno. Woda zlewała się z powietrzem. Zdawało mu się, że płynie zawieszony ni to w wodzie, ni to w powietrzu. Czarna maź była pod nim i nad nim. Czasami fala błysnęła w załamaniu tuż przy nim. Zimno mu było, czuł, że słabnie. „Tak jest chyba w piekle” — pomyślał sobie, „tylko nie tak zimno”. Nie lubił nigdy samotności, kochał ludzi i stale był między nimi. Czuł znowu, że słabnie. Wokoło pustka, ani okrętu, ani samolotu. Wiatr dał silniejszy. Śmiał się ze swojej komicznej obawy, by wiatr go nie zepchnął do Francji w ręce Niemców. „Żeby wytrzymać

68

tylko do wschodu słońca!” — nie wychodziło mu z głowy. Znow ukazały się gwiazdy. Wiatr pędził chmury nisko nad wodą. Na wschodzie czarno-granatowe niebo zaczęło sinieć. „Słońce wzejdzie niedługo” — pocieszał się. Całe ciało miał zimne. Czuł, że drętwieje. Woda zalała go kilka razy. Pił ją zimną jak lód i dusił się. Nie odczuwał teraz ani zimna, ani bólu w obojczyku. Głowa mu drętwiała i robiła się ciężka. Na wschodzie niebo coraz bardziej jaśniało i chmury były już w jaskrawej

czzerwieni. Słońce wychodziło z wody powoli, ogromne, czerwone jak krew. Patrzył na nie. „Tam jest mój kraj” — zaświtało mu w głowie. Przed oczami miał blask, jaskrawy, czerwony, oślepiający. Przez przymknięte oczy ciągle widział blask. Buchnął ogień biały, oślepiający, jak w nocy z olbrzymiego działa. Powoli ciemniał, aż zgasł.

Słońce szło coraz wyżej pieszcząc fale złotem przesycając powietrze ciepłem. Morze teraz było przyjemne i żywe, jasne i rozświecone wokół horyzontu. Wysokie fale łamiące się na czubach, błyszcząły słońcem. Wiatr był teraz łagodniejszy i ciepły. Spędzone chmury odsłoniły czysty, poranny błękit nieba. Nie było widać żadnego samolotu i okrętu na horyzoncie. Płynął sobie sam w tej pozornej pustce. Chwilami fale wyrzucały go do połowy, pokazując głowę i pierś w rozpiętej, niebieskiej koszuli, spiętej pasem ratunkowym. Włosy zlepily mu się przylegając do czaszki. Kiedy zanurzał się w wodzie, jaśniała tylko blada twarz z sinymi oczodołami, nieruchoma, ostra, jak gdyby było w niej utajone życie. Miłość i nienawiść, ożywione walką, wyrzeźbiły mu twarz teraz w formie ostatecznej; śmierć ukazała istotny sens jego życia.

Twarz, która jednych mogłaby roztkliwiać i pobudzać do miłości całego rodzaju ludzkiego, innych przerażać siłą wyrazu zawartej w niej woli walki. Widzieliby w niej pogardę i nienawiść. Rozpoznawaliby w nim swego wroga, którego śmierć uczyniła niezłomnym, nieprzejednanym, groźnym i strasznym.



Okolo południa płynął wzdłuż francuskiego brzegu. Mijał okręty przyjacielskie, strzelające w stronę lądu. Później fale zepchnęły go w ciżbę tysiąca inwazyjnych statków. Płynął wśród przyjaciół. Marynarze zwijali się jak opętani wyrzucając ładunek na krypy i barki. Nie słyszał ich ani nie widział. Przepłynął blisko statków z jego konwoju. Zobaczyli go. Marynarze zbiegli się przy burcie przyglądając mu się. Płynął jak na inspekcji. W spokoju przyjmował ostatnią, uroczystą, pożegnalną defiladę. Marynarze widzieli wiele pływających trupów, nie widzieli jednak takiego jak on. Patrząc na niego nieruchomieli w zupełnej ciszy odprowadzając go wzrokiem. Nie odzywali się do siebie ani słowem.

Kiedy przepływał obok polskiego statku, najmłodszy chłopak pokładowy krzyknął:

– Patrzcie, on żyje — i skoczył po trap chcąc go wyciągnąć z wody.

Pierwszy oficer nie chcąc mieć trupa na pokładzie pohamował go słowami:

– Zostaw go. Jemu już nic nie trzeba.

Chłopak zaniechał zamiaru, stanął jak wryty i wczepił oczy w jego twarz. Kiedy odpłynął daleko, chłopak ryknął:

– Przysięgam, że on żyje — takim głosem, że oficer nie wiedząc, czy miał słuszność, czy chłopak zwariował, szybko odszedł.

Płynąc obok szpitalnego statku znów odbierał ostatnią ciszę pożegnalną. Z górnego pokładu, pochylone nad poręczą, przyglądały mu się pielęgniarki. Kiedy był blisko, jedna z nich wyszeptała głęboko:

– Patrzcie, co za twarz, na pewno jakaś dziewczyna go kocha i serce jej pękło. Mój chłopiec jest marynarzem. Na myśl, że i on tak może pływać — nie, wtedy chyba umrę.

Była jednak dzielna. Z szeroko otwartymi oczami obdarzyła go swą miłością. Czuła, że oddech jej się zatrzymuje

70

i że cała drętwieje. Przykryła oczy rękami usuwając się na leżak. Inne wolno odchodziły.

Kiedy odpłynął dalej i fale go już zasłoniły, dziewczyna znów wyszeptała cicho:

– Tej twarzy nigdy nie zapomnę.

Znów płynął sam. Zostawił za sobą przyjacielskie statki i płynął przy brzegu, zajęтым przez Niemców. Słońce z wysoka ciepłem pieściło mu twarz. Morze kołysało jak matka. Przecież dobrze go znało. Oddawał mu prawie pogańską cześć żyjąc jak żywioł, jak jego syn.

Pod wieczór, kiedy słońce było już blisko horyzontu, podpłynął do niego niemiecki ścigacz patrolowy. Jeden z marynarzy uchwycił go za pas ratunkowy na piersiach

i uniósł z wody. Patrzyli na jego nogi, zgięte w kolanach, na ręce, zgięte w łokciach i zaciśnięte w kułak dłonie. Przyglądając się twarzy doznali wstrząsu. Inny marynarz podniósł lewą rękę z wody, obejrzał złoty łańcuch badając dokładnie jego wartość. Po chwili wyczytał cicho:

– Polak.

Wypuścił zimną rękę, która z powrotem zanurzyła się w wodzie, i błędnym wzrokiem błędził po twarzach kolegów. Ci zastygli nieruchomo nie mogąc oderwać oczu od tej twarzy.

Wojował jeszcze po śmierci, jak gdyby za żywota miał walki za mało. A teraz niesamowitym spokojem drwił sobie z nich. Miał dla nich okropną pogardę, paraliżował im mózgi. Dławił i ciągnął za sobą, jakby mówił: „Nie przebaczam”.

Za dużo bólu zadali mu za życia.

– Puść go — charknął oficer nie każąc nawet szukać dokumentów. Ścigacz zaryczał i pomknął. Oficer wrzasnął:

– Przeklęty naród. Straszą nawet po śmierci!

– Nawet Hansowi odechciało się rabować — podtrzymał drugi. — Co to było, miedź? — ciągnął dalej.

– Nie żadna miedź, szczere złoto.

– Dlaczegoś nie ściągnął, idioto?

– Mogłeś ty.

Oglądali się za siebie — nieswojo im było.

Fale go niosły. Posiniał na twarzy jakby z gniewu. Ciemność znów go spowiła, jak ubiegłej nocy. Kiedy księżyc wszedł na niebo, był już blisko, przy cyplu półwyspu normandzkiego. Tu fala wyrzuciła go na zasieki z drutów kolczastych, ogmatwanych wokół pali wbitych w wodzie. Do pasa był wynurzony z wody z jedną ręką wzniesioną, w górę.

Przechodzący brzegiem wartownik wziął go za żywego. Wygarnął cały magazyn zabijając go po raz drugi.

Kiedy przybiegł patrol — już go nie było. Silniejsza fala zdjęła go z drutów i niosła dalej.

Płynął teraz na otwarty Atlantyk. Wolny jak marynarz. Wierny swemu żywiołowi, który mu dawał życie i wolę do walki, a teraz przyjął go do siebie jak wiernego syna.

72

**S E A R A T S**

Knajpa drżała i trzęsła się od śpiewu. Okna, przemyśl-

nie zasłonięte grubymi dyktami, skutecznie chroniły przed wydęciem szyb. Budynek musiał być solidny, nie zwałił się i nie pogrzebał żywiołowych śpiewaków. Pijących, marynarzy i dziewczęta chwyciła pasja śpiewu. Śpiewali wszyscy razem marynarską piosenkę. Kiedy dochodziły ich pojedyncze eksplozje lub przeciągłe, głuche wybuchy (jak gdyby kto z worka sypał bomby), śpiew zrywał się w ryk huraganu tłumiąc następne wybuchy. Na twarzach śpiewaków nie było widać strachu. Rozradowani śpiewem — pełnymi płucami, byli tak nim pochłonięci, że nie słyszeli słabszych detonacji. Potężny śpiew zdawał się ich chronić przed tonowymi bombami. Popijali w trakcie śpiewu, uśmiechali się do dziewcząt, niektórzy nawet krzyżąc sobie w ucho prowadzili dyskusje, na pewno nie o wojnie. Przy bliższych wybuchach szczęśliwcy mocniej obejmowali swoje panny osłaniając je męsko. Podnosili wtedy wyżej głowy rzucając wyzwanie bombom i całemu piekłu. Strach śmierci dla tych ludzi nie istniał. Dla normalnych ludzi byłoby to niepojęte. Gdyby spokojny człowiek, który wiódł przed wojną uczciwe życie, tak od razu, bez żadnych przygotowawczych przejść, tu się znalazł, zdawałoby mu się, że jest na samym dnie piekła, i prawdopodobnie by oszalał. Marynarze, którzy tu byli, znali to

73

wszystko doskonale. Ileż to razy, kiedy niecelne bomby sypały się na ich statki, poprawiali ze śmiechem Niemców posyłając im w nagrodę długie serie z działek.

Przed wojną byli zepchnięci przez szanujących się ludzi do ostatniej kategorii stworów, teraz te ułamki okrzyknęły ich bohaterami. Naprawdę, obłuda oswojonych hipokrytów jest tak samo głupia jak oni sami. Poetom każą tworzyć bohaterów, wiecznie cierpiących i umierających za nich, czystych jak łza matki — potworne oszustwa wzięte za dobrą monetę tylko przez wariatów. Na szczęście marynarze nie są głupcami. Wojnę przyjęli ze zrozumieniem uczciwych ludzi, że wszystkim dobrym i biednym ludziom dzieje się krzywda. Na pohybel możliwym i rządzącym tym światem! Oni biją się o nowy świat i ludzkość nie może się na nich zawieść. Wiadomo, marynarze są grzeszni jak wszyscy ludzie, a bardziej krwiści od innych. Bardziej kochają życie. Wojna wyrwała ich z monotonnego bytowania. W szaleństwie życia i walki zadrwili sobie jeszcze raz z ludzi z ładu.

Śpiew był teraz czystszy i przyjemniejszy. Nietędy śpiewacy przycichli, jakby zrozumieli, że słuchając wchłaniają jeszcze jedną radość. Niedługo się tym cieszyli, bliski wybuch wstrząsnął barem. Niektórym szklanki z piwem wyleciały z rąk. Z pobliskich domów szyby leciały z brzękiem na ulicę. W barze umilkły rozmowy, jedni przyglądali się drugim, ale mała dziewczyna śpiewała dalej. Wybuchnęli śmiechem, radosnym śmiechem, że jeszcze raz ich minęło. Dziewczyna przestała śpiewać, zaśmiała się razem z wszystkimi. Niektórzy ruszyli do lady, gdzie widniał duży napis: „Podczas bombardowania interes jak zwykle”. Za ladą trzy starsze kobiety szybko napełniały

puste szklanki.

W barach na Aldgate wrzała wojenna uciecha. Pełno w nich było pijących, podczas gdy nad Londynem trwał blitz. Wiele barów wtedy zniknęło z powierzchni ziemi, lecz nikt o tym nie myślał.

74

Śpiewu wszyscy mieli widocznie już dosyć. Na sali wrzała teraz rozmowa.

– Napijesz się panna jeszcze? — pytał zachęcająco marynarz w mundurze marynarki wojennej.

Ładna, wiotka brunetka przymrużyła czarne oczy na zgodę.

Pochylił się nad ladą i rzucił:

– Dwa podwójne giny.

Maczając usta w szklankach wpatrywali się w siebie w swawolnym uśmiechu.

– A panna masz przyjaciela? Zaprzeczyła kusząco głową.

– To może dzisiaj pójdiesz ze mną?

– Ja za nic nie chodzę.

– Dobrze — zapłacę. Jesteś tak samo nieprzyzwoita jak ładna.

– „Nie trzyma”. Boję się ciebie, żebyś mi nie zepsuł

figury. Ja potrzebuję jakiegoś staruszka, może być kapitan — inżynier.

– Jesteś starsza od spraw portfelowych niż ja — marynarz. Napijesz się jeszcze?

Zaśmiała się z jego naiwności i przymrużyła oczy.

– Dwa podwójne giny — rzucił przyciężkawej kobiecie za ladą. Wsunął jej szklankę w dłonie i ujął swoją.

– Powodzenia — powiedział na pożegnanie i odszedł wolno do kolegów siedzących po drugiej stronie sali.

– Co, smutno ci ? — zagadnął go nigdy nie nadskakujący Wacek.

Pozostali koledzy uśmiechali się, jakby mówiąc: „Na dobre ci to wyjdzie”.

Nie odpowiedział. Przysunął krzesło — usiadł i spokojnie patrzył na pijących słuchając ich rozmowy.

– Co tak siedzisz? — prześladował go dalej Wacek — może byś coś zagrał.

75

– Wiesz, masz rację — wstrząsnął się — ale jak Zygmus zatańczy.

Po długich naleganiach, w ustawicznym śmiechu, zmusili Zygmuś, by im obiecał ku ich radości jeden taniec.

Julek wyjął z kieszeni organki, stuknął o udo i przy-



łożył do ust. Niepozorny instrument chował mu się całkowicie w dłoni. Urznął polkę, która rwała kaskadą radości. Pijane dziewczęta zaczęły tupać, potem wzięły się za ręce i skakały szkocki taniec. Wtedy Zygmus jak zgrabny niedźwiedź, z rozwartymi ramionami wysunął się do tańczących. Wpadła mu w ramiona najwyższa. Przycisnął ją. Dziewczyna, mająca tylko taniec w głowie, odepchnęła go z hałasem.

— To nie tak — na odległość.

Zygmus był niedźwiedziem szybkiej orientacji, uchwycił ją teraz przyzwoicie tylko za dłonie i rozpoczął siarczystego zbójnickiego.

Pijących wokoło zatchnęło.

— Toż to Szkot! — dały się słyszeć głosy.

Julek zachłysnął się, mało nie połknął organków, potem parsknął śmiechem. Siedzący wokoło zawtórowali mu. Nie wiadomo, czy się śmiali z Zygmunta, czy udzielił się im zaraźliwy śmiech Julka.

— Graj dalej — nalegał roztańczony Zygmus.

Przekorny Julek dał teraz cudownie „La comparsite”, która była najpiękniejszym tonem Wacka i Romusia. Zawsze mówili, że mogliby jej słuchać przez całą noc, ba — całe życie. Poderwali się szybko z krzeseł i jak w natchnieniu szli do dziewcząt. Opasali je ramionami, że prawie wcale nie było ich widać, i przyzwoicie ugniatali, jak się należy w tangu. Nie tańczące panny patrzyły zazdrośnie z żalem. Odważniejsza przysunęła

się do Zygmunta, nie dał się jednak skusić; nie chcąc więcej śmieszyć ludzi usiadł koło Julka i zapalił fajkę.

76

Julek teraz musiał grać, raz po raz z małymi przerwami. Na sali coraz więcej marynarzy i dziewcząt podrywało się do tańca.

– Przestań już grać, pójdziemy — mówił nie tańczący Zygmunt.

– Dobrze — jeszcze im tylko zagram „Shepherd Serenadę”.

Kiedy grał serenadę, tańczący stanęli w miejscach i z przejęciem ładnie śpiewali. Kiedy śpiew zagłuszył jego organki, schował je do kieszeni. Ci prości ludzie, jak może żadni inni, odczuwali piękno tej pokojowej piosenki. Po skończeniu przez chwilę trwała jeszcze cisza. Julek wstał z krzesła mówiąc:

– Chodźcie, idziemy już.

– Grajcie jeszcze! — wołały rozbawione dziewczęta.

– Musimy już iść — odpowiedział Julek — mamy daleko na statek. Chodźcie z nami.

Zdziwione spoglądały na siebie czekając na odważniejszą.

– Z wami? Jesteście gorsi od Amerykanów — odpowiedziała najroślejsza.

– Do widzenia! — krzyknęli i jeden za drugim szli do drzwi.

– Przyjdźcie jutro! — słyszeli za sobą piskliwe głosy.

Na dworze było ciemno. Reflektory omiatały czarne niebo, z którego dochodził często słaby szmer warkotu samolotów. Zenitówki biły szybko wysokimi jękami. Od czasu do czasu słychać było dudniące, dalekie eksplozje bomb. Julek grał na organkach. Szli wesołym, szybkim krokiem do autobusu, beztrosko, szeroko, po pustym prawie chodniku. Ludzie pochowali się do bezpieczniejszych miejsc. Naraz przeszył powietrze wysoki gwizd. Podmuch powietrza przylepił ich do muru domu. Kiedy się ocknęli, zauważyli, że nie ma Julka. Zaczęli go głośno wołać.

77

– Nie krzyczcie tak głośno, do pioruna! — usłyszeli głos z okna jakiegoś już dawno opuszczonego sklepu.

– Co tu robisz? — pytał śmiejąc się Romuś.

– Nie pytaj głupio — lepiej poświeć, nie mogę znaleźć organków.

– Czekaj, Wacek ma lampkę.

Po chwili Wacek przyświecił i znalazł organki w kupie śmieci.

– Nic ci nie jest? — pytali go śmiesznie.

– Co, myślicie, że ze skorupy jestem?

– No, masz szczęście — powiedział mu Zygmunt — że szyby w tym oknie nie było.

– A ja myślałem, że będę was widział przylepionych do muru jak muchy do muchołapki — odgryzał się.

Szli szybko. Julek sprawdził organki, cieszył się, że się im nic nie stało. Schował je do kieszeni. Przeszli koło rozwalonego budynku. Nie słychać było z niego głosów, wołających o pomoc. Mieszkańcy byli w bezpiecznych schronach. Po dłuższej chwili przyszedli na główną ulicę, do przystanku autobusowego. Hałaśliwa gromada marynarzy i dziewcząt czekała na autobus. Autobus długo nie zajeżdżał. Przejeżdżający wojskowy trok zgrzytnął hamulcami i zatrzymał się. Żołnierz z szoferki wołał wesoło:

– Wsiadajcie, podwiozę was!

Gromada zaszumiała radośnie. Dziewczęta z pomocą chłopców chętnie wchodziły do góry. Ciasno im było, ale wesoło. Chłodny pęd powietrza dobrze chłodził rozpalone głowy. Amerykańscy Murzyni smutnie śpiewali bluesa. „Missisipi River”. Biedni czarni nie byli weseli, na pewno było im smutno tego wieczora, za to teraz pięknie śpiewali. Kobiety, czułe na każdy smutek, słuchały ich piosenki i tkliwie patrzyły na nich. Widać one były powodem ich smutku. Czarni czując się zupełnie samotni wspominali w piosence swoją ojczyznę.

– Tu wysiadziemy — mówił Wacek.

Grzmotnął pięścią kilka razy w dach sterówki. Trok zatrzymał się. Zeskoczyli przez boczne ściany na ulicę. Skręcili w prawo; czarne gmachy bloków wyglądały jak wymarłe. Na ulicy nie było prócz nich żywej duszy. Przy ciemnej latarni zobaczyli sylwetkę policjanta. Zrobił kilka kroków w ich stronę, by ich lepiej zobaczyć. Kiedy przechodzili obok niego, zagadnął po baciarsku:

– Co tak późno? — nie śpicie dzisiaj w mieście?

– Musimy wracać na statek — jutro idziemy z konwojem.

Szli teraz w milczeniu — zeszli na jezdnię. Zenitówki gdzieś w pobliżu znów zaczęły jęczeć. Odłamki pocisków odbijały się cienkimi głosikami o domy, spadały na ulicę. Przyśpieszyli kroku — przed nimi rozległo się kilka słabych wybuchów z jarzącym się, błyskającym żarem ognia bomb zapalających. Szczęściem nie upadły na domy, tylko na jezdnię. Wymijali je uważnie, by im nie opryskały butów. Zenitówki ucichły. Znów szli ciemną ulicą, słysząc tylko miarowy stuk butów. Romuś, idący w tyle, śpiewał sobie cicho jakąś piosenkę ludową. Słuchali nie przeszkadzając mu—Przed nimi słysząc było kroki spóźnionego przechodnia, który szedł naprzeciw nich. Zatrzymali się.

– Dziewczyna — wymówił cicho Julek. Dziewczyna zatrzymała się, by ich wyminąć.

– Nie boisz się tak panna sama? — pytał najbliższy Julek.

– Co się mam bać podłych Niemców? — odpowiedziała odważnie.

– A może cię odprowadzić? — nalegał chętnie.

– Sama pójdę, mam już stąd niedaleko.

Julek podszedł blisko i zajrzał jej w śmiejącą się twarz.

– Odważna jesteś — pozwól tylko; raz cię pocałuję.

– O, o, nie — odparła śmiejąc się.

79

– Słuchaj, byliśmy dzisiaj tak samotni i nieszczęśliwi jak Murzyni. Jutro mój statek idzie w morze. Tylko raz jeden, na szczęście.

Przysunęła się blisko niego, śmiało zadarła głowę w górę. Objął ją rękami i całował mocno i długo. Wypuścił ją z rąk dopiero, kiedy uczył kułak w plecach. Za nim stał Romuś i śmiejąc się mówił:

– To ja też tylko raz. Przysunęła się do niego.

Kiedy ją pocałowali wszyscy po razie, zdyszana strząsnęła włosy.

– Powodzenia, wróćcie! — mówiła słodko. Zaśmiała się głośno i pobiegła pędem w swoją drogę. Stali wszyscy zdziwieni.

– Morowa dziewczucha — mówił Julek jakby sam do siebie.

– Ale z was dranie.

– Z ciebie największy — odpowiedział skromny Zygmus.

Szli teraz rażno a wesoło. Z prawej strony były już doki i widać było stojące u brzegu statki. Przeszli przez bramę obok pilnującego policjanta. Zatrzymali się przy trapie trampa.

– Czy to „Agnieszka”? — krzyknął niepewny Romus.

– Właż, właż! — odpowiedział mu wachtowy z pokładu.

– Nie udawaj Anglika. Widać, żeś wypił tylko pinta. Wtoczyli się na trap.

– Pierwszy oficer pytał o was — mówił spokojnie wachtowy.

– Co tam pierwszy oficer — rzekł Julek. — Nasze życie należy do morza a ląd do naszego życia.

Wachtowy odpowiedział im głośnym śmiechem.

Cicho weszli na pokład szalupowy, gdzie w nadbudówce była ich kabina.

„Anna” wraz z innymi statkami wychodziła z Londynu w biały dzień otwarcie, by przyjąć walkę zaraz przy ujściu

rzeki. Było to koniecznością. Przejście nocą wąskim kanałem wśród płytkich wód, z minami zrzuconymi z nocy przez samoloty niemieckie, było jeszcze większym ryzykiem niż walka w dzień. W miejscu, gdzie się kończyły baterie nadbrzeżne, „Luftwaffe” czekała prawie na każdy konwój. Rano trawlerzy oczyściły przejścia z min, konwój sunął na wschód. W szerokiej zatoce uformował się w trzy kolumny. Dzień był piękny i słoneczny, wysoko płynęły nieliczne, kłębiaste chmury.

Wacek z Romkiem stali na mostku przy orlikonach. Julek z Zygmuntem na rufie. Działka, załadowane i sprawdzone dziesięć razy, czekały, by się do nich tylko przytulić i splunąć długim ogniem. Julek z Zygmuntem oglądając dokładnie niebo prowadzili przerywaną rozmowę. Wacek z Romkiem stali samotnie na skrzydłach mostku w ciszy kontrolując skrupulatnie przechodzące chmury, by nie wypadła z nich wprost im na głowę jakaś nieprzyjemna niespodzianka.

– Mówisz, że mi pożyczysz funta na następny port — mówił słodko Julek do Zygmutusa.

– Ale, gdzież tam, wcale nie mówię.

– Paskudny jesteś, niekoleżeński — przekonywał.

– Jak ci mogę pożyczyć, przecież jesteś mi już winien pięć funtów.

– Dziwny wariat jesteś — oszczędzasz. Patrz, z tej



chmurki może wypaść Stuka i diabli nas wezmą na samo dno piekła.

Zygmund wiedział, że pyskatemu Julkowi nie da rady. Przyłożył lornetkę do oczu i oglądał niebo na wschodzie.

– Mówisz, że pożyczysz — nalegał Julek.

Zygmunt nie odpowiadał, tylko dalej patrzył w niebo. Przez chwilę skupił się i patrzył w jedno miejsce. Szybko odłożył lornetkę od oczu, ujął Julka w pół lewą ręką, prawą wymierzył na kierunek mówiąc:

– Patrz.

81

Wsunął mu szkła w dłonie, obrócił się, podniósł słuchawkę telefonu, przekręcił maleńką korbę. Po chwili mówił:

– Od wschodu bardzo wysoko lecą w szyku prawdopodobnie niemieckie samoloty.

Położył słuchawkę i obrócił się do Julka.

– No co, widzisz?

– To są myśliwce, nie tak źle, postrzelamy.

Na masztach statku już wisiał sygnał: „Samolot nieprzyjacielski”.

Zygmunt stanął przy działku. Z mostku Wacek i

Romek kiwali mu głowami, że widzą.

Z prawej strony od lądu dały w górę prosto na Niemców Spitfire'y. Nieprawdopodobnie stromo i szybko szły w górę.

– Gdyby to byli nasi — mówił cedząc Julek — daliby im; sam Göring by już ich drugi raz nie poderwał.

– Nie wiadomo, może nasi. Dobrze idą, prosto na Niemców.

Spitfire'y złączyły się w trzy trójki, skupiły — leciały na liczniejszych, wysoko lecących Niemców.

Niemcy widząc je skierowali się w lewo i schowali się za gęste chmury. Spitfire'y wleciały w chmury za nimi.

– Szkoda — mówił Julek — mielibyśmy ładny pokaz. Po chwili widać było między chmurami szaloną gonitwę samolotów i dał się słyszeć rechot strzelania.

– Doskonale — mówił Zygmunt sam do siebie. — Rozpędzili ich, a teraz będą wybijali pojedynczo.

Od czasu do czasu, rycząc jak potępieniec, robiąc olbrzymi łuk, przepływał wysoko samolot, a za nim tuż, blisko na ogonie, drugi — lecąc tym samym torem jak jego nieodstępny, śmiertelny cień. Ze statku w ogóle nie można było rozeznać, kto kogo goni, czy Niemcy Spitfire'y, czy Spitfire'y Niemców.

82

– Patrz Zygmuś — mówił Julek — jeden zestrzelony.

Jeden samolot pikował w dół jak kula w sam środek konwoju, a za nim jedną linią drugi, waląc do niego krótkimi seriami. W pierwszych sekundach nie można było rozeznaczyć, kto kogo goni. Wydawało się, że jakiś nieszczęśliwy alianc mając Niemca na ogonie chytrze go naprowadzał na ogień statków w konwoju.

— To Niemiec w dole — mówił radośnie Zygmunt. — Widocznie już nie miał wyjścia, chciał spikować i uciec nad wodą.

Messerschmitt zdarł prawie nad masztami statków lecąc za nim tym samym półkolem, sprzymierzeniec zdarł jak rakietą na wschód. Statki prażyły do pierwszego całym ogniem. Zdawało się jednak, że ucieknie. Przeleciał już konwój. Został mu na drodze tylko mały słupek eskortujący. Słupek otworzył ogień. Messerschmitt bluznął w wodę rozbijając się na miazgę, resztki pokryła woda.

Spitfire zdarł w górę prawie prostopadle i po chwili znikł w chmurach.

— Ładnie — wymówił wolno Julek.

Konwój wciąż szedł jednym kursem. Nie widać teraz było samolotów. Wysoko ponad chmurami toczył się zjadły bój.

Mały słupek wydarł się w prawo, skręcił o 90° w lewo i zaczął strzelać z działek po wodzie. Statkami wstrząsnęła eksplozja. Za słupem biała woda wyrywała w górę jak olbrzymia lilia, mająca w środku

ciemniejszy odcień.

– Mina — wymówił Julek.

– Tak — odpowiedział spokojnie Zygmunt. Chmury spłynęły z nieba, słońce wznosiło się coraz wyżej przyjemnie grzejąc. Żelazne pokłady statków dyszały żarem. Na przybliżających się statkach widać było przy działkach gunnerów, ubranych w strój kąpielowy. Liczne mewy latały za rufami statków, uważne, pilnujące. Na masztach statków widać było ciągle zmieniające się sygnały.

83

Na śródokręciu chłopak z pokładu niósł ostrożnie wielką tacę z mięsem. Pod pachą miał podłużny chleb.

– Już obiad, idź, przynieś Julek! — mówił Zygmunt.

Julek bez słowa szybko zszedł z wieżyczki. Kiedy przyniósł obiad do kabiny, rozłożył na stole talerze, łyżki i widelce. Nie skąpiąc sobie jadł pierwszy. Zastąpił potem na rufie Zygmunta i pozostałych kolegów. Kiedy się wszyscy najedli, pomył naczynia i ułożył w szafce. Zapalił papierosa i znów poszedł na rufę nastawać na Zygmunta o pożyczkę. W końcu nieporadny Zygmunt musiał mu obiecać. Wtedy Julek zamilkł i koleżeńsko pozwolił mu odetchnąć. Zadzierali teraz obaj głowy w górę i spoglądali na niebo.

Konwój skręcił w lewo i szedł wzdłuż boi przy brzegu. Zalany słońcem brzeg zielenił się drzewami i uprawnymi polami. Mijali wioski i mniejsze liczne

miasta.

Nie bardzo wysoko znad brzegu leciało w ich stronę kilkanaście samolotów dwusilnikowych. Wszyscy byli pewni, że Anglicy lecą bombardować Niemców, ale korwetka, płynąca najbliżej, otworzyła zajadły ogień.

Zygmunt przytulił się do działka. Odbezpieczył i wodził lufą za nimi. Na skrzydłach mostu Wacek i Romuś, przyczajeni jak rysie, także kierowali lufami.

Samoloty zaszły od tyłu konwoju, rozdzieliły się w sznury jak gęsi i zaczęły nurkować wybierając większe statki. Pierwszego dopadły Szweda, idącego blisko z lewej strony „Anny”. Zygmunt z rufy i Wacek z lewego skrzydła otworzyli ogień. Jeden samolot rzucił dwie bomby. Upadły z prawej strony burty przesłaniając częściowo Szweda. Samolot zaraz zdarł w górę zakręcając od tyłu. Drugi znów rzucił dwie bomby, upadły z drugiej strony, samolot zaraz zdarł i poszedł za pierwszym. Poczciwy, bezbronny Szwed nie miał czym strzelać, płynął jednak dalej, choć woda mu się lała w komin. Wyżej lecący przeszedł Szweda, trzy bomby odczepiły mu się od brzucha i z gwizdem poszły w dół. Wybuch wstrząsnął powietrzem.

84

Chmura pyłu węglowego przesłoniła trafiony statek. Kiedy wiatr ją zgarnął, biedak już kładł się na bok. Marynarze szybko spuszczaali łódki, gunnerzy stali jeszcze przy działkach. Samoloty teraz lazły natarczywie i rzucały bomby na upatrzonych. Licho

uzbrojone statki były wszystkim ogniem. Dwa samoloty, które pierwsze uderzyły na Szweda, znów lały na niego bez obawy. Wacek i Zygmus otworzyli ogień. Kiedy już dochodził bezbronnego i miał rzucić bomby, zadymił — wybłysnął ogniem — złamał się wpół i runął w wodę.

Zygmus zaryczał jak nie-człowiek z diabelskiej radości.

Następny samolot, idący za pierwszym, widząc w kurzu swego poprzednika, rzucił bomby za wcześnie, zdarł, skręcił i zawrócił.

Z przodu konwoju duży statek wykręcił się i szedł prosto do lądu, był trafiony — chciał dojść do mielizny.

Większość samolotów po zrzuceniu bomb leciała pojedynczo w stronę Holandii. Ostatni samolot natknął się na kontrtorpedowiec, i ten go wykończył.

Statki, idące w tyle, wymijały okaleczony okręt. Miał wyrwany ostatni luk, a nadbudówki na rufie zupełnie strzaskane. Konwój go minął, został sam. Mielizny nie dosięgnął. Ostatnie statki z konwoju sygnalizowały komodorowi, że poszedł na dno — zostały po nim tylko dwie szalupy.

Szwed podszedł bliżej „Anny” i sygnalizował morsem radosne podziękowanie, że go obroniła.

Konwój znów płynął spokojnie, jakby w ogóle nie spotkało go żadne zdarzenie. Złote słońce wolno chowało się za horyzont rozświecając w tym miejscu

niebo, które na wschodzie zaczęło przechodzić w ciemny granat. Aż całe poczerniało. Wybłysnęły na nim jarzące się gwiazdy; ciepła, przyjazna, ciemna noc zakryła konwój czarną osłoną.

Stali teraz przy działkach, Julek na rufie, Roman na prawym skrzydle. Z lewej strony mógł w każdej chwili

85

obsłużyć działko marynarz wachtowy lub w wielkiej potrzebie nawet szturman.

Wacek z Zygmuntem leżąc w kojach rozmawiali jeszcze śmiejąc się z ostatniego dnia, aż usnęli.

Rano o czwartej, dobrze wyspani, poszli zmienić kolegów. Słońce już zeszło, było jeszcze zimno. Orzeźwiająca, chmurna powietrze rozbudziło ich zupełnie.

– O, spłoszyłeś ptaszka — mówił Wacek do nadchodzącego ciężko Romana.

– No to co? — odpowiedział tępo zaspany.

– Nic — rzekł śmiejąc się Wacek. — Przyleciał ci tu i usiadł na końcu lufy, trząśł ogonkiem i podśpiewywał. Przyglądał mi się jak oswojony wróbel z Hyde Parku. Myślę, że to dobrze — będziemy mieli pomyślny rejs.

Roman obrócił orlikonem, spojrzął na załadownie i mówił z flegmą:

– To już nie tak źle. Pamiętasz, wczesną wiosną, jak

żeśmy szli kanałem do Plymouth? Wtedy było sporo roboty. W dzień samoloty, w nocy wypadały na nas przyczajone za bojami ścigacze, strzelały torpedy, potem jak zwariowane leciały przez pola minowe wśród szalonych wybuchów. Ale to było życie — w Plymouth zapomniałiśmy o wszystkim. Piękne tam są panny, co?

Wacek uśmiechnął się tylko na wspomnienie.

— No to zostań — mówił Wacek — wszystko w porządku — i poszedł do kabiny.

— Roman zakopał ręce w wojłokowej szubie, spojrzął na słońce i dokładnie oglądał niebo. Ładny dzień będzie — osądził i przyglądał się statkom. Szły równo w kolumnach kryjąc idące przed nimi, nie odstając za bardzo ani nie wchodząc na siebie. Jeden kontrtorpedowiec szedł na przodzie konwoju, drugi w tyle, z boków korwetki i maleńki słup tuż przy nich.

Do Middleborough przyszli tak, jak przewidywał Wacek, bez żadnych dalszych przygód. Julek z Romkiem wycierali działko, by je potem grubiej naoliwić na dłuższy

86

postój, gdy podeszła do ich burty motorówka z pilotem. Julek rzucił robotę i wytrzeszczał oczy w tę stronę.

— Wycieraj, nie stój! — popędzał go Roman.

— Co wycieraj, patrz teraz!

Roman przysunął się do niego i znalazł powód nierób-



stwa Julka. Przy sterze siedziała Wrenka w granatowych, szerokich spodniach i w białej bluzce. Była skupiona, spoglądała na statek, mierzyła oczami odległość i odpowiednio kręciła kołem.

Julek nie mógł wytrzymać i po wariacku gwizdnął głośno.

Zadarła głowę w górę, zobaczyła ich i uśmiechnęła się opaloną buzią.

Julek gwizdnął wtedy jeszcze raz z uciechy i machał do niej ręką.

Podniosła wolną rękę i odpowiedziała mu.

— Ale zadziata! — mówił ostro Julek.

Motorówka zbliżyła się do samej burty i schowała się za nią.

Po chwili przyszedł na mostek pilot śmiejąc się do nich wyrozumiale.

Motorówka zacumowała do burty i szła razem z „Anną”.

— Czekaj, przyniosę pakuł — powiedział Julek i odszedł.

Poszedł do kabiny i wziął butelkę szkockiej, która należała do Romka. (Romuś lubił sobie popić, kiedy grał w pokera.) Butelkę wsadził głęboko w kieszeń i zszedł na pokład, w miejscu, gdzie była zacumowana motorówka. Nachylił się nad poręczą, patrzył w dół na

motorówkę, nie było widać nikogo.

– Hej, panny! — krzyknął głośno.

Spod cockpitu kabiny wyjrzały trzy okrągłe, śmiejące się buzie.

Przesadził nogę przez poręcz i schodził wolno po trapie. Śmiało wszedł do kabiny i usiadł swobodnie na ławie. Widząc, że dziewczyny są zdziwione, a nawet przestraszone, zaczął mówić łagodnie:

87

– Tu jest dobrze, nie będą mnie widzieli ze statku.

Uroczyście, wolno wyjmował butelkę. Trzymając ją w dłoni patrzył na nie śmiejącymi się oczami i przyjacielsko dalej mówił.

– Napijcie się, tak troszkę dla rozgrzewki. Znajoma, która sterowała, udając zdziwioną, odpowiedziała mu takim samym tonem jak on:

– Przecież jest ciepło.

– No, ale tak — mówił nieśmiało — dla rozgrzewki w okolicy serca.

Wybuchnęły wszystkie głośnym śmiechem. Najtęższa z nich, o wyglądzie marynarskim, postawiła szklanę na małym stoliku mówiąc kobieco:

– Ale tylko trochę.

Przechylił za mocno butelkę i od razu wleciało z pół

szklanki. Wybuchnęły wszystkie piskliwym śmiechem. Ta o wyglądzie marynarskim ujęła nieźle szklankę w dłoń, popatrzała, powąchała. Koleżanki zaraziły się jej śmiechem. Julek uciszał je bojąc się, by nie zleciał się cały statek. Zachęcona badaniem umaczała delikatnie usta. Twarz jej rozjaśniła się w uśmiechu. Koleżanki podbiegły do niej, jedna wyrwała jej szklankę, stanęła szerzej w nogach, wyprostowała się, podniosła szklankę w górę i wychyliła. Znajoma Julka, która sterowała, wydarła jej już pustą szklankę.

— Pijecie panny z fasonem — mówił Julek grubym głosem. — Przyjemnie się z wami napić.

— Jeszcze tylko ja — wyciągnęła rękę z pustą szklanką znajoma, która mu się podobała od pierwszego wejrzenia.

— Ależ naturalnie — upewniał ją Julek i znów za bardzo pochylił butelkę, i znów nalał pół szklanki. Z pokładu „Anny” słychać było głośnie wołanie:

— Julek! Julek!

— Kto to jest? — pytały przestraszone Wrenki.

— No wyłaź! — szedł głos z pokładu. — Przecież nigdzie nie jesteś, tylko tam.

88

— Co on mówi? — pytały słysząc niezrozumiałą mowę.

— To jakiś gbur — odpowiedział wymijająco Julek. — Powiedźcie, że mnie tu nie ma.

Jedna wychyliła główkę i mówiła śpiewająco:

– Tu go nie ma.

Z góry dochodził szmer schodzącego po trapie. Po chwili Romuś wszedł prosto do kabiny. Z uśmiechem patrzył się na Julka mówiąc:

– No widzisz, pijesz wódkę, i to moją, a ja wyczyściłem już działko.

– Poczekaj, napijesz się i ty — mówił łagodząco — tylko ta jedna wypije.

– Co wy mówicie? — pytała znajoma Julka.

– To po chińsku, on chce się też napić, tylko musi poczekać na szklankę.

Gdy Romuś gołnął sobie nie lichy łyk, zapomniał, że sam wyczyścił działko i że to piją jego wódkę.

– Roman, Roman! — słychać było znów wołanie z „Anny”.

– Powiedz, że mnie nie ma — mówił Roman żartobliwie.

Mimo zapewnień, że go tu nie ma, do kabiny wtoczył się największy, Zygmus. Zły był, że tu są, a jeszcze mają do oczyszczenia duże działko na rufie.

– To jest nasz bankier — przedstawiał go Julek — ma prawdziwych sto funtów.

Wrenki przyglądały mu się z podziwem.

– No, ale napijesz się?

– No, pewno — odpowiedział spokojnie.

W dłoni Zygmunta szklanka chowała się jak naparstek. Dziewczęta przyglądały mu się z szacunkiem. Do kabiny cicho wszedł Wacek, ze słowami:

– Wiedziałem, że tu jesteście.

– Po coś tu przyszedł? — wymawiał mu Zygmunt.

– Przykrzy mi się bez was — odpowiedział skromny Wacek.

89

W kabinie powstała cisza. Dziewczęta ze zdziwieniem przyglądały się tym obcym i niepojętym dla nich ludziom.

– Patrzcie — mówił do nich Julek — ten skromniś, co wlaźł ostatni, i ten niedźwiedź rozłupali przedwczoraj niemiecki samolot, który na pewno by zatopił bezbronny szwedzki statek.

Dziewczęta zaśmiały się nie wierząc mu wiele.

– Co, nie wierzycie?! — zaśmiał się razem z nimi. Dziewczęta zawtórowały głośniej.

– Jeśli to nieprawda, niech mnie morze pochłonie! — krzyknął i rznął czapkę o ziemię.

– Ty uważaj, przecież jest z orzełkiem — napomniał

go cicho Wacek.

– Wiesz — mówił łagodnie Zygmunt — jeśliby to zrobił ktoś inny, cisnąłbym nim jak ty czapką.

– Macie rację — powiedział popędliwy Julek. — Ja bym z nim zrobił to samo.

Dziewczęta przelewały się. Myślały, że skończy się bijatyka. Widząc ich jednak swobodnie wesołych, bez żadnej ukrytej urazy, nabierały więcej zaufania do tych szczerych chłopaków. Uśmiechały się do nich.

– Ładne są — mówił cicho Zygmunt po polsku. Odpowiedzieli mu łagodnym uśmiechem.

– Panny — mówił wesoło Julek — którego sobie z nas wybieriecie, jest wasz. Ja godzę się na każdą. Słodko wyglądacie i na buziach też.

Umiejąca pić z fasonem wymówiła:

– Wyście wszyscy prawie jednacy. Zbliżyła się do skromnego Wacka, pocałowała go w usta dodając:

– To za strącony samolot.

Ta o marynarskim wyglądzie podeszła do Zygmunta, brakło jej jednak odwagi. Obsypywała go uśmiechem, jakim kobiety darzą zwycięzców.

90

Julek przysiadł się do znajomej ze steru, w kabinie teraz słychać było ciche szepty. Roman zabierał się do

odejścia. Z pokładu „Anny” dochodziło:

– Chodźcie, pierwszy oficer chce, byście pomogli mu przy dobijaniu.

Poderwali się wszyscy do wyjścia.

– Kiedy się spotkamy? — spytał pamiętający o wszystkim Julek.

– Przyjdźcie dziś późnym wieczorem do nocnego klubu „Blue Lagoon”.

– Doskonale — odpowiedzieli i zaraz poczuli się piąć w górę.

Późnym wieczorem ubrani w najszerze spodnie i najładniejsze kołnierze schodzili lekko po trapie nie dotykając rękami brudnych lin. Poza wyjściem z portu wypili w barze po podwójnym ginie, wskoczyli do taksówki i kazali się wieść do „Blue Lagoon”.

„Blue Lagoon” oczarował ich. Sufit, koloru nieba w nocy, pokryty był gwiazdami. Podłogę jak biały piasek okalały ściany, na których były malowane palmy, morze i skrawki nieba. Ukryte lampy zalewały to wszystko bladoniebieskim światłem.

– Artystyczny „szmer” mają nasze panny — wymówił cicho zachwycony Roman.

– Trochę jak atol koralowy — poprawił śmiejąc się Zygmus.

– Ładnie by było, gdyby która dzikuska zatańczyła

hula-hula.

Pijąc piwo przyglądali się wszystkim szczegółom.

Przy orkiestrze siedziała gromada Amerykanów; rozmawiali głośno i swawolili z wydekoltowanymi kobietami. Dalej siedzący Anglicy przyglądali się im z chińską obojętnością. Dwie kobietki ująwszy długie suknie w dłonie popłynęły do chłopców. Obeszły wolno kilka razy salę. Zatrzymały się przy Julku uśmiechając się do niego bardzo zachęcająco.

91

– A, pogniewałyście się na Amerykanów — mówił rozmowny Julek.

– Oni są okropni — żaliła się jedna.

– Wątpię, byście ich nie lubiły, to są chłopaki do rzeczy.

– Nudny jesteś — odpowiedziała, pociągnęła za sobą swoją towarzyszkę i odeszły.

Przy wejściu pokazały się znajome z jeszcze jedną koleżanką. Stały obejmując wzrokiem rozbawione towarzystwo.

Julek wstał i podprowadził je do stolika.

– Patrzcie na Romka — mówił Julek — jaką ma rozjaśnioną twarz.

Wesoły Romek posadził swoją nieznajomą przy sobie.



Amerykanie spoglądali na nich teraz często, panny się im podobały.

Po chwili wszyscy poszli tańczyć, został tylko Zygmus z swoją — o marynarskim wyglądzie. Przyglądali się tańczącym. Rozochoceni Amerykanie dawali niespotykany pokaz swego gibattong wywijając pannami ponad głowami tańczących.

Kiedy po tańcu przyszli do stolika, Julek znów mówił:

— Te Amerykany, to przyjemne alianty. Tańczą wcale niczego. Jak nie tarło, to figurowe akrobacje. Jeden tak rzucił swoją pannę we mnie, że myślałem, iż szuka sparring-partnera. Chciałem mu się już przedstawić, że Słoma jestem, ale taki był z niego przyjemny chłopaczek.

— Panowie, bez szumu — mówił poważny Zygmus — przecież to wszystko są przyjaciele.

Niebieskie światło ściemniło się zmuszając siedzących do bezruchu. Pary wolno płynęły w tańcu. Amerykanie zaprzestali akrobacji, było za ciemno, łatwo mogliby komu kark skręcić.

Julek nie gadał więcej. Przytuloną do siebie Wrenkę obejmował ramieniem, jakby ją chciał wchłonąć w siebie. Koledzy naśladowali go. Wstali, kiedy orkiestra grała „God Save the King”

92

Wychodząc Julek mówił:

– Nie mam wcale do nich urazy, że tu nie zagrali „Mazurka Dąbrowskiego”.

Noc była ciepła, spokojna. Wyiskrzzone gwiazdami niebo rozświecało mrok. Szli parami. Dziewczęta zwisały im bezwładnie u ramion, śpiewały o miłości. Wsłuchani w ich ciepło-tkliwe głosy nieśli je prawie na rękach.

– Zaśpiewajcie co po polsku! — wołała idąca na końcu z Zygmuśkiem.

– Julek, Julek ładnie śpiewa — odsyłali je do niego. Julek zaczął z werwą kujawiaka (w tekście ludowym). Koledzy jego parskali raz po raz śmiechem. Dziewczęta, nie rozumiejąc słów były zdziwione, dlaczego się śmieją z tej pięknej, żywej piosenki.

– Co za przyjemne dziewczynki — mówił Julek. — Gdybyś tak której z Powiśla zaśpiewała, na pewno byłaby tak urażona, żeby ci aż spuchła twarz. Te panienki mają artystyczny smak, wiedzą, co ładne.

Idąca z Julkiem powtórzyła melodyjnie dwa słowa piosenki.

Parsknęli śmiechem, potem czapki uniosły się im na włosach, zdziwione, że taka pojętna.

Zabronili jej tak mówić, tłumacząc, że to są brzydkie słowa, a Julek jest skończony drań.

Rzuciła się z piąstkami na Julka. Wywinął się jednak, wydobył z kieszeni organki.

– To dla Zygmunta! — krzyknął i zagrał polkę.

Zygmunt jak tresowany niedźwiedź zaczął się wdzięczyć do swojej panny o marynarskim wyglądzie. Tańczyli w trzy pary. Przechodzący ludzie zatrzymywali się, podobała im się ich zabawa na ulicy.

Gdy się natanęli, znów szli wolno w stronę portu. Panny mieszkały w hotelu tuż przy samym porcie. Na pożegnanie ucałowali je delikatnie.

Idąc na statek rozmawiali o miłych dziewczętkach.

93

Następnego dnia po południu wyświeżeni, w ubraniach w kant, szli na ląd. Spoceni, spracowani marynarze zadzierali głowy z pokładu życząc im wesołej zabawy.

Szczęśliwi gunnerzy nie mając wiele roboty w porcie wybrali się do parku. Idąc ulicą zaglądali przez olbrzymie szyby do pięknej kawiarni. Goście siedzieli i pili różne napoje z uroczystością księży, odprawiających mszę.

– Wejdziemy tu — zachęcał skromny Wacek.

– Nie lubię tego — mówił basem Zygmunt.

– To wszystko sztywne i dlatego głupie. Podli, nie chcą nawet wiedzieć, iż gdyby nie my, pijacy i łotry, z głodu by wyzdychali albo Hitler zrobiłby z nich Murzynów. Prałbym ich po pyskach, tak ich nie lubię.

Przechodzili koło zbombardowanych domów. Całe centrum miasta było w ruinie. Niektóre domy stały opuszczone z powyrywanymi futrynami drzwi i okien, z innych zostały tylko słabe mury.

W parku legli na miękkiej, pachnącej trawie zapadając w drzemkę.

Gdy się obudzili, patrzyli na bujną trawę, rozrosłe drzewa i kwiaty, mieniające się wszystkimi barwami. Jak głodni wchłaniali to wszystko w siebie. Przechodzące dziewczęta przyglądały się ich orzełkom.

– Zbieraczki souvenirów — zaśmiał się Zygmus.

– Chcesz, to cię podaruję której wraz z orzełkiem i z twoimi stu funtami — rzucił Romus.

– To niemożliwe — mówił Julek. — Wiesz przecież, że książeczkę oszczędnościową przybił gwoździem do ściany.

Spokojny Zygmus nie gniewał się za ich kpiny.

Julek, wesoły drań, był zawsze goły. Mówił, że tak się czuje najszczęśliwiej.

Roman przegrywał w karty łudząc się zawsze dużą wygraną.

Wacek kupował wszędzie pamiątki, by je zawieźć po wojnie do kraju.

Gdy słońce złościło się już przez konary drzew, rozeszli się wszyscy na spotkania.

W nocy Julek i Roman wrócili do portu. Przechodzili wzdłuż statków — czarnych, olbrzymich cieni.

– To „Agnieszka”.

– Tak — odpowiedział Roman.

W kabinie rozebrali się i położyli. Po chwili przyszedł Wacek. Spali już wszyscy trzej, a Zygmus się nie zjawiał.

Zygmus zajechał taksówką pod statek następnego dnia. Opowiadał im potem dziwną historię. Jego przyjaciółka wzięła go do domu. Ojciec jej kiedyś był szturmanem; rozmawiali przeważnie obydwaj o morzu. Córka z matką nasłuchawszy się do syta poszły spać. Został z ojcem popijając; słuchał całą noc jego opowiadań o jego bohaterskich przeżyciach.

Tak minęło kilka pięknych dni, aż wezwał ich kapitan. Przyszli do niego zdziwieni. Kapitan mówił spokojnie:

– Przygotować działa, uzupełnić wszystkie braki. Jutro idziemy w morze. Czy amunicji macie dość?

– Jest jeszcze dużo — odpowiedział Zygmus.

– Patrzcie, jak marynarze pracują — mówił kapitan.  
— Wy jako turyści może byście im pomogli.

– Dobrze, panie kapitanie — odpowiedział Zygmus za wszystkich i wyszli.

Dzień im zeszedł na wytężonej pracy. Obnażeni do pasa, pocili się razem z marynarzami. Szturmani zaśmiewali się teraz z nich. Opowiadali im szczerząc zęby, że gdy byli na okrętach wojennych, oficerowie mówili, że są zdolni tylko do pływania na trampach. Mieli dużo pracy, robili wszystko nie jak gunnerzy, ale jak marynarze, przykrywali luki, spuszczały balmy, pokrywali luki brezentami. Śmieci na pokładzie zgarnęli w kupy pod burtami. Po skończonej pracy odpoczywali brudni i spoceni siedząc na ostatnim luku i paląc bosmańskie papierosy. Patrzyli jak Julek jeszcze lazał na tylny maszt, by założyć antenę. Marynarze

95

zbuntowali się widząc radiotelegrafistę zawsze czystego i nic nie robiącego.

— Radio należy do radiowego — mówili i zostawili mu jego robotę.

Radiotelegrafista był młody, jednak tak niedołączny, że bał się wejść na maszt. Dziwili się chęci Julka i dalej patrzyli na niego. Julek umocował antenę na samym szczycie masztu i wolno złaził.

— Coś taki chętny? — pytał go Roman.

— Wcale nie chętny — odpowiedział. — To kosztuje niedołągę butelkę wódki.

Julek szedł teraz do komina; antena nie chcąc przejść zawadziła o kołnierz komina. Wdrapał się po drabince do samego szczytu, zabrakło mu jednak ręki, by

przerzucić drut przez olbrzymie brzuszysko komina. Wlazł na sam szczyt, siadł na kominie okrakiem i tak dosunął się do miejsca, gdzie się drut zaczepił. Szybko laźł z powrotem, parząc się od gorąca. Na twarz mu buchał żar z komina i dym. Odkaszlnął kilka razy schodząc na dół. Potem dociągnął antenę na sztram przy tylnym maszcie, zapalił papierosa i przysiadł się do siedzących na luku marynarzy i gunnerów. Siedzieli jeszcze przez chwilę, potem poszli się myć.

Wyjście na ląd zostało wstrzymane. Pozostali w kabinie słuchali muzyki z radia, czytali książki. Ich własny, czarny kot, którego zawsze zabierali z sobą, kiedy zmieniali statek, stęsknił się za nimi nie widząc ich długo na postoju. Wyprężony na łapach, ze wzniesionym w górę ogonem, spozierał na nich żółtymi źrenicami. Gdy go wołali — odpowiadał im krótkim miauczeniem. Ocierał się im o nogi, wskakiwał na kolana zaglądając do książek.

W czas rano „Anna” wyszła na redę i stanęła na kotwicy przy innych statkach.

Po śniadaniu obchodząc i sprawdzając działka wspominali swoje dziewczęta. Żal im było, że odjeżdżali bez pożegnania. Na redzie zebrało się kilkanaście statków,

96

inne wychodziły wciąż z portu. Między nimi jak maleńki żuk uwijała się mała motorówka; Julek wpatrywał się w nią i po chwili powiedział:

– Patrz, one.

– Ty zawsze pierwszy zobaczysz — śmiał się z niego Roman.

Przyglądali się i obaj zgodnie stwierdzili, że ta sama motorówka.

– Poznają przecież naszą „Agnieszkę”. Pojadą — mówił pewnie Julek.

Stało się rzeczywiście tak, jak Julek mówił. Motorówka pędziła wprost na nich; gdy była już blisko, gwizdnął po dawnemu.

Odpowiedziały mu podniesione ręce i roześmiane twarze.

Roman krzyknął na Zygmunta i Wacka. Wypadli obaj z kabiny jak na alarm.

Przyjechały wolno pod samą burtę. Szczęśliwe i roześmiane życzyły im szczęścia. Za dziobem „Anny” motorówka zaryczała i leciała dalej.

Stali w miejscu. Patrzyli na nią, aż zniknęła między statkami. Zaraz potem na masztach statków pojawiły się wywieszane numery. Kotwice szły w górę. Statki wolno kierowały się na północ. Kiedy ustawiły się w kolumny, wzięły normalną szybkość.

Chodzili teraz na wachtę po dwóch, zmieniając się. Wacek zastępował przy sterze chorego marynarza. W wolnych chwilach Romuś chodził do marynarzy na rufę przegrywać pieniądze.



Julek uczył się angielskiego pisząc dziesiątki listów do swoich przyjaciółek. Każdy napisany list czytał na głos kolegom wśród ryków śmiechu. Czego w nich nie było: miłość, zuchwałe pożądanie aż do obrazy, rozśmieszanie do łez, różne zawiłości, które przeżywał z odbiorczynią listu, rozprawy naukowe, nawet polityka. Listy były w. różnych tonach, od poezji aż do najzuchwalszego bez-

97

wstydu, a z wszystkich przebijała prawdziwa i potężna miłość.

Z Wacka się śmiali i dziwili nazywając go armatorem. Dłubał scyzorykiem z drzewa piękne, maleńkie żaglowce i wsadzał je tylko jemu wiadomą sztuką do butelek. Przyglądając się jego arcydziełu można by nawet uwierzyć w przejście woła przez ucho igielne. Miał już całą flotyllę. Od chińskiej dżonki aż po fregatę. Julek widząc pracującego Wacka popędzał Romka, by szybciej pił gin.

Najspokojniejszy był Zygmus. Prócz oszczędzania pieniędzy miał jeszcze tę wadę, że lubił czytać książki. Chodził po statku, zbierał wszystkie książki i gazety, i drukowane kartki. Czytał potem zawsze i wszędzie. Czytał nawet przy działku na wachcie, tłumaczył się bardzo prosto, że tu są bezpieczne wody.

Raz późno w nocy pijany jak bela Romus przyszedł z rufy od marynarzy. Stał przy stole jak kolumna i patrzył na kolegów jak kapitan. Wszystkim zaparło

oddech. Czyżby się pobił? Romuś uśmiechnął się hojnie jak dziewica, wyjął z jednej kieszeni grubą garść funtów i rzucił niedbale na stół. Teraz już nie myśleli o pobiciu, ale o zbrodni. Czyżby wariat włamał się do kasy okrętowej? Romuś nic nie mówiąc łagodnie wsunął lewą dłoń w kieszeń, wyjął napęczniałą srebrem i miedziakami i wysypał koło papierowych. Po kilkakrotnym zanurzeniu dłoni opróżnił kieszeń i zgarnął wszystko w kupę.

— Liczcie! — rzucił rozkazująco kolegom. Usłuchali go w ciszy i zaczęli liczyć.

— Sto trzydzieści siedem i sześć pensów — oznajmił najbieglejszy Julek.

Za liczenie dał każdemu po funcie, resztę zabrał, włożył do szafki i zamknął na klucz.

— A widzicie, raz się odegrałem — mówił, zemściłem się. Ograłem całą rufę z wszystkich pieniędzy.

— No to co, Roman, teraz nie będziesz miał z kim grać — mówił mu współczująco Julek.

98

— Tak to nie, pograć trzeba, pożyczę im.

— Wacek się ucieszy, będzie miał dużo pustych butelek od ginu — mówił Julek. — A ty, wariacie — zwrócił się do Zygmunta, — zbierasz przez całą wojnę i masz tylko sto. Patrz, on przez jeden wieczór ma więcej.

– Cieszę się — odpowiedział Zygmunt ze szczęściem w oczach — będziesz miał teraz jednego więcej do pożyczania.

Konwój wciąż szedł na północ. Pewnego popołudnia — szli teraz przy brzegach Szkocji — Julek zastąpił na rufie Zygmunta. Ten nie ciesząc się, że już koniec jego wachty, wciąż wpatrywał się przez lornetkę w wodę. Bez słowa cisnął szkła i wskazał kierunek. Julek znów utkwiał wzrok patrząc długo.

– No, co widzisz?

– Wygląda jak peryskop.

– Nie znika?

– Nie. — Zakręcił telefon i mówił na mostek: — Z lewej strony dziobu peryskop albo jakiś kołek. — Poczekaj, jeszcze nie jestem pewien — wymówił ostro i wydarł lornetkę Julkowi.

Wpatrywał się. Powoli jego natężenie zniknęło, odłożył z uśmiechem szkła.

– Nie, to jakiś kołek.

Kołek przybliżał się coraz bardziej do nich. Po chwili zobaczyli pływający w wodzie stół, z dwiema tylko nogami. Błat pływał zanurzony w wodzie, jedna noga wystawała cała, drugą było widać do połowy.

Roześmiali się głośno.

Kiedy minęli Buchan Ness, pogoda się popsuła,

zrobiło się zimno. Często teraz padał deszcz. Brzeg został za nimi, szli na północo-zachód. W nocy, kiedy przechodzili między wysuniętymi na północ brzegami Szkocji a Orkadami, poprzedzający ich statek zaczął bić na prawą burtę z orlikonów, wystrzelił dwie rakiety i zmienił kurs w lewo. Potem strzelał z rufy z wielkiego działa. Pociski bijąc przelatowały

99

z prawej strony mostka i zarywały się w wodę między dwoma płynącymi kolumnami statków. Przestrzeń między dwiema kolumnami w nocy jest tak mała, że było niezwykłym szczęściem, iż żaden statek nie został trafiony. Płynące w pobliżu statki rzucały rakiety. Na powierzchni, pofałdowanej falami czarnej wody, nie było nic widać. Czyżby znów noga od stołu? — myśleli. Noc zeszła im spokojnie. Nie było żadnych śladów łodzi podwodnych. Rano konwój zmienił kurs na zachód. Płynął wzdłuż brunatnego, skalnego brzegu, porośłego mchami i lichą trawą, urwisto wpadającego do morza. Słońce teraz prawie się nie pokazywało. Deszcz był gęstszy. Stojąc na wachtach okapturzeni, w wołokowych płaszczach, oparci o osłony działek, z obrzydzeniem patrzyli na niebo, pokryte brudną powłoką i w szaro-niebieską, zimną wodę. W tej pustce nie było nawet mew. Po wachtach miło im było siedzieć w ciepłej kabinie i oddawać się swoim zajęciom. Roman znów chodził na rufę do marynarzy wygrzywać jeszcze raz swoje wygrane pieniądze. Kiedy minęli północny brzeg Szkocji, wzięli kurs na południe. Często

przepływali koło licznych skalistych wysp, pokrytych lasem na szczytach wysokich pagórków. Widzieli małe domki nad brzegiem morza lub przylepione do skał. Na przyległych łąkach pasły się stada owiec. Przechodziły blisko nich kutry rybackie z chmurami mew nad nimi. Wiatr tu był słabszy i fala mniejsza. Dzień przed Liverpoolem od samego rana zabrali się żywo do czyszczenia broni. W Liverpoolu czekał ich przegląd wszystkiej broni przez rusznikarzy z angielskiej marynarki. Najprzód doprowadzili do doskonałości wszystkie działka przeciwlotnicze. Uporządkowali amunicję i miejsca przy działkach. Po ukończeniu tej roboty zabrali się do dużego działka na rufie. Było nieczyszczone gruntownie od kilku miesięcy, więc wiedzieli, że teraz będzie ich kosztowało dużo pracy. Będą musieli z godzinę szorować lufę wyciorem. Pomysłowy Julek przekonał ich do swojego pomysłu. Wziął stary koc ze

100

swojej koi i rozdarł go na pół. Jedną połówkę złożył, zwinął, dobrze naoliwił i uwiązał do mocnej liny. Koniec przewlekł przez lufę. Wycior z koca był bardzo pękaty i nieprawdopodobieństwem było, by przeszedł przez lufy. Julek zadziwiał ich dalej.

— Tylko trzy razy przejdzie — mówił zdziwionym i lufa, jak kryształ.

Pobiegł do windy z drugim końcem liny. Otworzył parę i zaczął wolno ciągnąć windą.

Z radością patrzyli, jak połowa koca ze zgrzytem schowała się w lufę. Dalej nie szło. Lufa odsunęła się w tył aż do końca odrzutu.

– Powoli, powoli! — krzyczeli mu do windy.

Zawsze mają pietra — pomyślał i bardziej odkręcił parę.

Armata zadrżała w posadzie. Lina trzasła i lufa skoczyła do przodu. Zaniemówili wszyscy. Gdzież tam, tylko jeden Julek wiedział, co robi. Związał z uśmiechem linę i wziął z powrotem na windę. Marynarze po wachcie przyglądali się z podziwem temu maszynowemu czyszczeniu.

– Hej, czy wy nie z „Nelsona”? — krzyknął jeden w ich stronę.

Wszyscy stojący przy armacie nawet nie uśmiechnęli się z tego żartu, wpatrywali się tylko w Julka.

Julek wiedział, że teraz już za późno się cofnąć. Odkręcał wolno parę — stawał — czekał i znowu wolno odkręcał.

– Idzie, idzie, wolno, wolno! — krzyczeli od armaty. Naraz stanęło, odkręcił więcej pary. Lina trzasła.

Julek szedł do nich z urwanym końcem chcąc związać po raz trzeci. Nie miał jednak do czego. Lina urwała się w zamku. Patrzący marynarze wybuchnęli śmiechem.

– Z drugiej strony teraz ciągnij — radzili mu.

Pomysł był dobry, nie było jednak do czego ucześcić liny. Wszyscy czterej wpatrywali się w armatę w niemym zdumieniu.

101

Zabrali się teraz do wzgardzonego wyciora, pchali wszyscy czterej z obu stron — bez żadnego skutku.

– Przestrzelić — mówił Julek z niesłabnącym humorem.

– Ostrożnie — powstrzymywali go — może rozsadzić lufę.

Wszystkim, stanął przed oczyma angielski oficer, patrzący w ich armatę.

– Zostawimy — mówił rozsądny Zygmunt — niech rusznikarze się męczą.

– Ale będzie chryja — dodawał Romuś.

Zaśmiali się wesoło i bez słowa udali się do kabiny.

Julek zaraz wymknął się i poszedł z powrotem do armaty. Otworzył zamek, wsunął rękę. Zbita na kamień połówka koca była tuż przed komorą pocisku. Urznął urwany koniec liny przy samym kocu. Załadował łuskę z prochem. Wykręcił lufę i wypalił bez namysłu. Z lufy wyleciał dymiący kurz. Huk rozległ się po całym konwoju.

Z mostka zadzwonił telefon. Podniósł słuchawkę do ucha:

– Co jest? — pytał szturman.

– Peryskop — odpowiedział krótko i odłożył słuchawkę.

Na masztach statków pojawiły się sygnały: „Łódź podwodna”. Konwój płynął teraz z największą ostrożnością. Kiedy minęło „niebezpieczeństwo”, Julek ciężko musiał się tłumaczyć kapitanowi, a cały statek ryczał ze śmiechu.

Inspekcja broni w Liverpoolu odbyła się szczęśliwie. Nawet dostali pochwałę. Oficer przeglądający armatę zachwycał się lufą. Wszystko to dzięki Wariackiemu pomysłowi Julka.

W przygotowanych na morzu i wyczyszczonych do przesady ubraniach znów szli czwórką na znienawidzony pod koniec każdego postoju ląd. Był zmierzch pięknego, słonecznego dnia; ludzie bez pośpiechu szli ulicą, poprawnie i normalnie aż do obrzydzenia. Niektórzy przystawali i oglądali się za nimi. Rwali sprężystym krokiem, nie szybko, ale równo, harmonijnie, zmuszeni mięśniami, które

102

żądały od nich ruchu i życia. Cieszyli się, że żyją, że słońce świeci. Ta wartka natura łamała wszystkie smutki i zło. Na widok pięknej kobiety wpadali w zachwyt. Kochali wszystkie dziewczyny. Kierowali się na Limę Street. Któż tam z marynarzy nie idzie? Spacerujące tam dziewczęta tak odważnie ujawniają



chęć obsypywania czarami swych wdzięków. Zawsze mówią, że najwięcej kochają marynarzy. Ich angielscy koledzy brzydko się z nich śmieją mówiąc, że jeśli przejdzie tędy dziewczica, to dwa olbrzymie kamienne lwy, leżące przy wielkim, ciężkim gmachu, zaryczą. Kamienne lwy nie ryczały i nie ryczą, a twórca tego dowcipu był na pewno skończonym łajdakiem. Idące przed nimi cztery dziewczątka odwracały główki do nich mrużyły oczy i zaśmiewały się. Zrównali się z nimi i zaczęli rozmawiać. Zaprosili je na piwo — nie odmówiły. Przepisnęli się do lady baru. Tu spotkało ich nieszczęście. Dziewczątka spotkały znajomych Amerykanów. Przeprosiły ich zostając grzecznie z Amerykanami. Julkowi twarz się wydłużyła. Koledzy Julka nie przejmowali się tłumacząc, że wobec tego nie warto żałować, chodzi widać o gotówkę

— Patrz Julek — mówił Romuś — ta pulchna blondyna patrzy na ciebie.

— Wygląda wcale bujnie — ochoczo odpowiedział. — Ma nawet lepszy smak, wargi macza w winie. Dostyc, że Amerykanie ją zostawili samą.

— Widać jest za mądra dla nich — nie jest w ich, guście — odpowiedział Roman. — Patrz, Holendrzy, siedzący blisko niej, pokazują jej, że ją lubią. Wygląda, przyciężkawo jak Holenderka.

Blondyna odwróciła głowę, spotkała się z oczami Julka uśmiechnęła się zachęcająco.

Julek: wziął piwo w garść. Sunął do niej, stał przez

chwilę coś mówiąc. Usiadł. Dziewczyna była zadowolona, Przyniósł jej jeszcze jedno wino i usiadł blisko niej. Wiele nie rozmawiali, oglądali się wzajemnie.

103

Holendrzy byli urażeni, że im sprzed nosa zabrał ładną pannę. Wpatrywali się teraz w niego tępo i wyzywająco.

Julek widząc to zrobił się bardziej dowcipny i wesoły. Często zaśmiewali się oboje radośnie i długo. Chciało mu się mocno śmiać z czterech gburów, dybiących na jedną pannę.

Nie patrzyli teraz na niego jakby nie istniał. Oczy wlepili w nią próbując się uśmiechać. Kiedy odwróciła głowę w ich stronę, jeden śmiało przemówił:

—Może napijesz się z nami, panna.

Odwróciła głowę, do Julka mówiąc:

—Pomylili się, za kogo oni mnie biorą?

— No nie udawaj, od kiedy się zrobiłaś skromna — mówił dalej ten sam.

Zawstydzona panna podniosła się chcąc uciec.

Julek lekko przycisnął ją do krzesła mówiąc radośnie:

—Zostań.

Usiadła spokojnie patrząc Julkowi w krawat.

– Patrz jak go lubi— zaśmiali się wszyscy.

– Hej stop — krzyknął Julek wesoło.

Jeden z Holendrów wstał z krzesła i szedł wolno do ich stolika mówiąc tępo:

– Co to znaczy „stop”?...

Julek poczerwieniał. Kopnął na bok przegradzający ich stolik. Sfrunął z siedzenia i wyrznął Holendra z całą siłą w ucho. Gbur upadł i rozpląszczył się na podłodze.

Widząc to pozostali poderwali się z siedzeń. Wacek ruszył od lady w ich stronę.

– Zostań! — krzyknął Zygmusz — on sam ich wykończy.

Julek skoczył do najbliższego, smagnął go dwa razy; nim inni wyszli z za stolika, ten już leżał. Białe zęby dziwnie mu błyszcząły, na twarzy płonął — młodniał. Nie czekając skoczył do dwóch. Walił w nich razem. Często czując pięść na swojej twarzy, uprzedzał ich, smagał szybciej niż oni. Szli jednak za nim na środek sali. Ludzie uciekali,

104

odważniejsi stawali pod ścianami. Szalonym przypływem siły skoczył na jednego z odwiniętym ramieniem bijąc go w szczękę. Ten zatrzepotał oczami i padł na ziemię. Od zamachu Julek przechylił się mocno, potknął się o leżącego i upadł na rękę. Skoczył z ziemi jak kot. Ale czwarty cofał się tyłem w stronę drzwi.

Leżący podnosili się z ziemi oszołomieni, bez najmniejszej chęci do dalszej walki. Julek rozglądał się za swoją panną. Nigdzie jej nie było. W drzwiach pokazał się, policjant kiwając na Julka zakrzywionym palcem.

– Jak to było? — pytał twardo.

Julek sapiąc wstrząsnął ramionami i powiódł oczami po widzach.

– Niech oni mówią — odpowiedział.

Policjant po wysłuchaniu świadków poklepał Julka po ramieniu mówiąc, że się zachował jak gentleman. Pałką spędził pobitych i wyprowadził ich.

Stojący pod ścianą podnosili stoliki. Usiedli przy nich zadowoleni z niebywałego widowiska.

– No, spisałeś się przyzwoicie — mówił niedźwiedziowaty Zygmus.

– Masz tu „double'a” ginu — mówił miękko Romus podając mu szklankę.

Wziął spokojnie szklankę, wyjął chustkę i obcierał krew z twarzy, która mu się sączyła z podobdzieranej skóry.

Obok nich angielscy marynarze nazywali ich „sea rats”

Julek obrócił się, jakby ich liczył.

– Słyszycie, nazywają nas szczurami,

– Ty wariacie — mówił czytający książki Zygmunt — ciesz się, to jedyna prawdziwa pochwała dla porządnych marynarzy. Kiedyś za Morgana i Drake'a piraci tak się sami przezywali.

– Porządne chłopaczki — mówił Romuś. — Napijemy się z nimi. Stawiam wszystkim.

Po chwili wsadzał każdemu „double'a”. Zmieszali się z Anglikami żartując.

105

– No, ale panna uciekła — mówił niepocieszony Julek.

– Odbili ci — podkreślał niedźwiedziowaty Zygmunt.

Po chwili opuścili ze śpiewem bar. Julkowi nie chciało się teraz grać. Zeszli na pusty, wysypany żwirem plac. Była piękna, ciepła noc. Księżyc zalewał wszystko srebrem.

– Chyba jeszcze nie pojedziemy na statek — mówił Wacek.

Usiedli na stopniu przy dużym, kamiennym lwie.

– Co będziemy robili — mówił Romuś — jak się wojna skończy?

– Nie chcielibyśmy mieć nic nieprzyjemnego z Japończykami — mówił Zygmunt — ale ponieważ się zadają

z Niemcami, to ich odwiedzimy. Oj, Juluś — mówił — poznasz jeszcze prawdziwą Chinkę w Szanghaju, najcudownie ubraną w jedwab. Zapiętą skromnie pod szyją z zapiętymi rękawami przy dłoniach. Obciśniętą jak lalka; od piersi aż do bioder, z dwoma przecięciami z przodu od stóp aż do bioder, tak że kiedy idzie, całe gołe nogi będziesz widział.

— O, to warto tam jechać — zaśmiał się Julek. — A co później?

— Później pojedziemy do Polski, nauczymy się pracować i będziemy żyli jak uczciwi ludzie.

— O mnie nie chodzi — odpowiedział Julek. — Ja mogę całe życie stać przy dziale, jeśli mnie bomba nie rozerwie. Tylko chciałbym, aby wszyscy, inni w Polsce żyli spokojnie, bez strachu przed wojną.

106

## JEGO MALEŃKA VERA

Przebudził się w jedną sekundę. Całym ciałem odczuł raptowny, kruszący wstrząs. Przez uszy poczuł w głowie ukłucie, które trwało przez chwilę. Zdawało mu się że słyszy jeszcze końcowy grzmot detonacji.

Oprzytomniał zupełnie. Z głębi luku, przy którym

była jego kabina, słyszał wyraźnie łomot i wstrząsy jak podczas wielkich sztormów, gdy wywracał się źle ułożony ładunek.

Nagle poczuł na sobie ciężar przygniatający całe ciało. Ach to ta cholerna górna koja, która często spadała mu na głowę — pomyślał i zaklął okropnie.

Tak — to była torpeda — przemknęło mu nagle przez głowę. Podniósł rękami przygniatającą go koję i wysunął się spod niej. Czuł, że podłoga kabiny układa mu się stromo pod nogami. Rufa zarzuciła w bok, pchnięta potężną siłą. Namacał kontakt, przycisnął kilka razy. Bez rezultatu.

W zupełnej ciemności szukał teraz rękami ubrania, które zawsze kładł na ławie. Ubrania nie było. Sięgnął po lampę, którą miał zawsze pod poduszką. Zaświecił. Z podłogi podniósł ubranie, buty, pas ratunkowy i szybko wybiegł z kabiny.

Świecąc stale, biegł do schodów. Ze schodów nagle jakby ktoś sfrunął w dół i zatrzymał się tuż przy nim.

— Joe — to ty? — słyszał pocziwy głos Stylianosa.

107

— Tak, to ja — odpowiedział mu spokojnie.

— Chodź szybko! „Safona” tonie rufą...

Pobiegli szybko po schodach w górę. Stylianos pociągnął go za rękaw.

– Pójdziemy prawą burzą!..

Torpeda uderzyła w przedostatni luk z lewej. Biegli przy sobie jak koty po wznoszącym się w górę pokładzie. Tak — rufa szybko szła w wodę. Gdy wydostali się na pokład szalupowy, szalupy z prawej burty już nie było. Widzieli ją o pięćdziesiąt metrów szczelnie zapełnioną i wolno pływającą pod wiosłami.

– Chodź, spuścimy sami lewą!...

Stylianos już biegł tam, wyprzedzając jego końcowe słowa. Pochylił się nad linami, przyciągającymi szalupę mocno do burty. Szarpał kołek chcąc go wyciągnąć i zwolnić szalupę. W kołek jakby diabeł wlaź, siedział jak zamurowany.

Nie namyślając się wyjął nóż i rznął liny. Zwijali się jak opętani. Aż szalupa odskoczyła od burty. Zachybotła się i zawisała na taliach. Stylianos pierwszy wyrwał kołek.

Skoczyli teraz do talii. Joe grzmotnął jak długi zaplątując nogę w linach. Syknął, poczuł nieznośny ból w prawej dłoni, na którą upadł.

Zebrał się natychmiast. Odwinął talię z polera i puszczając równocześnie ze Stylianosem. Kiedy nie czuł już ciężaru w rękach, wiedział, że szalupa osiadła na wodzie. Będąc tylko w spodenkach i w pasie ratunkowym, rzucił teraz do szalupy dunkry, kurtkę zamszową i buty i w ślad za Stylianosem skoczył na linę. Ledwie zawisł na linie, uczuł okropny ból w



prawej dłoni. Przełożył lewą rękę niżej. Czuł, że leci w dół, podchwycił szybko lewą.

Tak — prawa ręka była do niczego. Pomagając sobie nogami, tylko na lewej ręce zsunął się do szalupy.

Stylianos odepchnął szalupę silnie wiosłem od burty statku i wziął się do wiosłowania. Joe ubierał się.

– Patrz! Patrz! To już koniec!...

108

Odwrócił się. Olbrzymi dziób szybko wznosił się w górę. Stał pionowo. Mostek jeszcze był nad wodą. Przedni maszt dziwnie się kładł równoległe z wodą. Dziób kiwał się teraz mocno w tył i szybko wsunął się w wodę. W miejscu, gdzie zniknął, woda wygładziła się. Tylko srebrzyste łuski drgały lekko w bladej poświacie księżyca.

„Safona” przestała istnieć.

Stylianos nic nie mówił. Nie wiosłował. Jego piękna grecka twarz znieruchomiała. Może myślał o krótkim życiu „Safony”, o banderze, której już nigdy nie będzie nosiła

Joe nie był Grekiem. Dlatego nie odczuwał jak Stylianos utonięcia „Safony”. Dla niego było obojętne, jaką statek miał banderę, był tylko miejscem pracy i psiego życia.

W ostatnich czasach tak się zagubił w świecie i zmieszał z ludźmi, iż przestał na to zwracać uwagę. Po

ostatnich dwóch torpedowaniach zbydłęciał zupełnie. Zrobił się szorstki i żył tylko zwierzęcym instynktem samozachowawczym. Żył po to, by odpierać lub odczuwać na własnej skórze razy, jakie mu zadawali ludzie oraz okoliczności w jakich się znajdował.

Walka z morzem była dla niego zupełnie zrozumiała. Podłości ludzkiej nie starał się nawet zrozumieć wiedząc, że jest to zupełnie niemożliwe. Kiedyś — już dawno postanowił walczyć z nią bezwzględnie, całym swym bystrym umysłem, odwagą i siłą potężnych ramion.

Nie żał mu było „Safony”, że utonęła. Żał mu było Stylianosa, na którego twarzy osiadł smutek. Tak, Stylianos był jego przyjacielem.

Wtem doszedł ich słaby odgłos wybuchów bomb głębinowych z tej strony, w którą poszedł konwój.

Stylianos włożył wiosła do szalupy. Wiosłowanie było zupełnie bezcelowe. Ustawił maszt, postawili żagiel i z wiatrem z prawej szalupa sunęła ku wschodowi.

Joe wziął ster zdrową ręką. Wiedział, że północna Irlandia jest na wschodzie, około 400 mil od nich. Dzielił się swoimi przypuszczeniami ze Stylianosem. Sterował we-

dług gwiazd, migocących na bezchmurnym prawie niebie. Był już maj i wiatr mieli mocno z południa, więc nie odczuwali zimna.

Stylianos wyjął lampę naftową z dziobu. Łatwo odkręcił odkrywkę blaszanego pudła. Wyciągnął kilka rakiet i przygotował je sobie pod ręką.

– Wystrzelimy jedna — co?...

– Warto — może jaki wojenny nawróci...

– Nie myślę, za dużo roboty mają, jest więcej łodzi podwodnych niż wojennych...

Na przekór własnym słowom podświecił jedną. Rakietą z sykiem strzeliła w górę, zakreśliła na niebie nierówne półkole i spadła w wodę.

Patrzyli uważnie wokoło, nikt im nie odpowiadał. Byli zupełnie sami. Stylianos długo nic nie mówił, może zapadł w drzemkę aż ocknął się i zamamrotał:

– Gdy się zmęczysz, obudź mnie. Nie spałem już od 24 godzin.

Potem wcisnął się między ławki na podłogę szalupy.

Joe sterował na wschód. Chmury nie przesłaniały mu zupełnie gwiazd. Po dłuższym czasie zauważył, że niektóre gwiazdy zmieniły położenie. Wiatr się nie zmieniał. Sterowanie nie męczyło go.

– „Piękna pogoda” — cieszył się jak dziecko. ..Tydzień tylko takiej — i jesteśmy w Irlandii. Gorzej jeśli przyjdzie sztorm, przewróci nam szalupę i zepchnie potem na północ, gdzie ani statki nie chodzą, ani ludzie nie żyją”.

Wypatrywał wokoło jakichś świateł lub cieni, nie zobaczył nic. Woda aż do horyzontu szła małymi falami z wiatrem. Księżyc był już blisko wody, ostrym sierpem świecił jasno, ścieląc aż do szalupy srebrzystą smugę.

Za godzinę zajdzie — myślał sobie — no, ale i tak zostaną gwiazdy. Spod ławek dochodziło głośnie chrapanie Stylianosa. Plecami oparł się o rumpel i tak sterując oglądał zranioną dłoń. Zauważył, że każdy ruch w napiętku jest bardzo bolesny. Przy zamknięciu dłoni wymacał coś

110

jakby duży nabrzmiały mięsień, którego przedtem nigdy nie miał. Skończywszy szczegółowe badania, z powrotem ujął ster zdrową ręką. Nie czuł zmęczenia, było to raczej znużenie wskutek jednostajności siedzenia i patrzenia w te same gwiazdy, w horyzont i wodę. Pół drzemiąc, świadomie czy podświadomie utrzymywał kierunek. Oczy mu się zamykały czasami na dłuższą chwilę. Zauważył wtedy że może kierunek wyczuwać parciem steru. Kiedy otwierał oczy, zawsze kierunek był ten sam.

Naraz wyczuł dziwne kiwanie. Usłyszał łopot żagla. Otworzył oczy, zobaczył, że szalupa wyszła pod wiatr, który ją popychał. Za długo widocznie drzemał. Potrząsnął głową. Skoczył do żagla, chwycił wiatr i znów usiadł przy sterze. Spod ławek rozlegało się coraz silniejsze chrapanie. Wystawił twarz na wiatr. Czuł się nieźle po małej drzemce, odczuwał świeżość w całym

ciele. Odwrócił się za siebie. Księżyc był już prawie nad samym horyzontem. Dłuższą chwilę wpatrywał się w jego kształt. Z boku wychodziły czarne chmury. Zmiana pogody... — przemknęło mu przez głowę. Obserwował je z pewnym niepokojem chcąc zgadnąć, co one przyniosą.

Naraz dojrzał ciemniejszą plamkę, podobną do znanych na morzu sylwetek.

Czyżby statek?...

Wpatrując się z zapartym tchem upewniał się w swoim przypuszczeniu widząc, że dziwny cień przesuwa się w jego stronę. Po dziesięciu minutach przysięgał sam sobie, że to statek idący zygzakiem. Wolno puścił ster. Skoczył między ławki, gdzie leżał Stylianos. Szarpiąc go za ramię krzyczał w radosnym podnieceniu.

— Wstawaj! Jakiś statek!... O... tam!... Stylianos od razu skoczył na obie nogi. Wystrzelił natychmiast dwie rakiety, jedną po drugiej. Ze statku nie pokazało się żadne światło.

Czyżby nie zauważyli?—myśleli sobie.

111

— Musimy za wszelką cenę przybliżyć się jak najszybciej do jego kursu — mówił Joe.

Nie spuszczał statku z oka, starał mu się wleźć na kurs...

Na szczęście statek szedł prosto na nich.

Stylianos chwycił za lampkę elektryczną. Słał im teraz światłem S. O. S. raz po raz. Statek był już blisko. Na mostku dojrzeli małe niebieskie światełko. Zobaczyli ich widocznie. Takież światełko pokazało się tuż przy burcie. Słyszeli jak marynarze wyrzucali trap. Statek stawał prawie na miejscu. Z wysokiego dziobu ktoś krzyczał do nich basem po angielsku:

– Łapcie linę!

Zrozumieli w mig.

Stylianos uwiązał linę do przedniej ławki. Statek wciąż szedł dosyć szybko. Pęknie — myślał — jeśli na statku łagodnie nie popuszczą. Śruba pracowała „całą wstecz”, aż słychać było drzenie statku.

Na statku myśleli tak samo jak Stylianos. Popuścili łagodnie. Mocna rzutka wyprężyła się stopniowo, naciągnęła jak struna, jednak nie pękła. Szalupa wzięła wcale nie wolny bieg statku i przysłała mu pod samą burtę. Wyrzucony trap był daleko w przodzie. Na pokładzie kilku marynarzy, przechylonych na relingu, wpatrywało się w nich.

Lekki trap zleciał im do szalupy. Stylianos chwycił go w powietrzu i biegiem wspiął się w górę. Joe bardzo wolno szedł za nim. Podciągał się lewą ręką, prawą, nie zważając na ból, nieco sobie pomagał. Gdy podszedł do relingu, uczył, że ktoś schwycił go za kołnierz, inni — pod ramiona i w powietrzu przesadzili przez reling.

— Czy to wszyscy już? — posłyszał ostry głos tuż przy sobie.

— Wszyscy! — odpowiedział wyraźnie.

Po chwili siedzieli w salonie. Pili gorącą herbatę i jedli olbrzymie kawały szynki. Odpowiadali oficerom na sto najrozmaitszych pytań. Trzeci oficer ściągnął bandażem

112

chorą rękę Joe'a i steward zaprowadził ich do kabiny zapasowej.

Bez rozmowy rozbierali się i kładli w koje. Po całonocnej walce położyli się na miękkich materacach, niczym zawieszeni w powietrzu, przykrywając się białymi, włóchatymi kocami.

Tak — Stylianos mógł sobie chrapać teraz, a Joe śmiać się ze spadającej mu na głowę koi.

\*

Następnego dnia około południa nie spali już, kiedy przyszedł steward.

— Co, dobrze się leży? — przywitał ich. — Może wam przynieść obiad?

Po obiedzie Stylianos zniknął. Pewno już coś robi — jak to Grek. Joe zapalił papierosa, nachylił się na relingu, patrzył w wodę. Zdziwił się, statek sunął niczym pasażer — szesnaście na pewno robi. Zrozumiał

teraz, dlaczego chodził sam. Objął wzrokiem cały statek; ładny i dobry, odczuł z zadowoleniem. Na gaflu wisiała norweska bandera, za rufą kołowało kilkanaście mew, czekały na obiad. Szedł powoli na rufę. Czuł się w tej chwili szczęśliwy. Ręka go nie bolała, gdyż nią nie ruszał. Zjadł obiad, jakiego już nie jadł od kilku miesięcy. W całym ciele czuł siłę; tak, siła nie opuszczała go nigdy. Warto by się zabrać do jakiejś pracy, gdyby nie ta podła ręka. Przed wejściem do messy popatrzył jeszcze na statek. Słońce grzało, czuł przez chwilę ciepły wiatr z południa.

Trzej grający w karty przyjacielsko spojrzeli na niego. Przy nich siedział Stylianos, zupełnie pochłonięty grą.

– Nie masz kilku szylingów lub dolarów? — spytał z przejęciem.

– Nie mam żadnych pieniędzy, zresztą czekaj, mam — wyjął maleńki polski grosz.

Norwedzy oglądali go ciekawie i zwrócili bezwartościowy pieniądz. Troskliwie odebrał go i z powrotem włożył do kieszeni.

113

– Idź ty ze swoim śmiesznym pieniążkiem! — szydził Stylianos wychodząc z messy.

Odpowiedział mu przyjacielskim uśmiechem i patrzył w karty grających. Grali w remi, oczywiście na pieniądze. Byli tak zajęci grą, że zaraz zabrał się do wyjścia. W samych drzwiach marynarz rzucił mu



paczkę papierosów. Podziękował i wyszedł.

Szedł teraz przeciwną burtą przyglądając się wszystkiemu uważnie na pokładzie. Na dziobie widział Stylianosa, wynoszącego na pokład liny. Wiedział na pewno, że chce zarobić kilka szylingów, aby potem zagrać w karty. Tak rzeczywiście było; na drugi dzień Stylianos był najbogatszy z załogi i tak wesoły, jakby zupełnie zapomniał „Safonę”. A kiedy następnego wieczora przyszli do Liverpoolu, obdarzył wszystkich gorącym uściskiem dłoni i szybko z Joem zeszedł na ląd.

Pili cały wieczór z licznymi przyjaciółmi i przyjaciółkami, jak gdyby się z nimi znali sto lat. Kiedy zamykali bar, jedna z najgorętszych, która najwięcej piła, trochę przyciężkawych kształtów, ujęła kobieco Stylianosa pod ramię i wyszła z nim.

Wyszedł za nimi, krzyknął im: „Dobranoc!” i poszedł do

domu marynarza.

Nie wiedział jak długo leżał. Palił papierosy, by jakoś wypełnić bezsenny czas, aż w końcu wytrzeźwiał. Teraz, odczuł najgłębiej zupełną samotność. Myślami sięgnął wstecz. Przeszło trzy lata temu pierwszy statek szwedzki „Blankoholm” — już na dnie. Następnie Holendry: „Somesdyk”, „Palenbang”, ostatni na dnie, w końcu „Safona”. Nieraz odczuwał samotność między obcymi ludźmi, lecz teraz tak dotkliwie jak jeszcze nigdy. Lepiej by poszedł z którąś z przyjaciółek z baru

— nie. Znał je przecież, chodził z nimi kilka razy i zawsze pozostawała potem jeszcze większą pustką i zubożeniem. Przez głowę przechodziły mu strzępy chaotycznych myśli, obrazów i ludzi, aż zasnął. Nie, to nie był sen, raczej zupełne odrętwienie.

114

Gdy się przebudził, pierwszą jego myślą była tęsknota do swoich. Tak bardzo chciało mu się rozmawiać swoim językiem, słyszeć swoją mowę, patrzeć w oczy bliskim ludziom i czuć zupełną bezpośredniość, jaką się odczuwa w stosunkach z krewnymi.

Po śniadaniu dowiedział się w biurze o adresie Polskiego Domu Marynarza. Trudno mu było wprost w to uwierzyć.

Teraz przedostał się na drugą stronę rzeki. Przejechał autobusem całe miasto. Jechał wśród ulic pełnych drzew, których gałęzie często drapały dach autobusu. Po stronach ciągnęły się piękne ogrody, parki z małymi willami. Konduktor skinął mu głową. To tu. Szybko wyskoczył na chodnik, przeszedł parę kroków i stanął, gdzie się przecinały wyasfaltowane ulice. Zdawało mu się, że znalazł się w parku. Wszędzie dookoła zielone drzewa. Głową dotykał gałęzi. Przez żelazne pręty płotów widział trawę, klomby, kwiaty. Wszystko tchnęło wiosną. Powietrze przesycone wonią, uderzało mu do głowy. Pięknie tu — myślał.

Kilku żołnierzy z dziewczętami czekało na autobus. Podeszedł do nich i pytał o Waterford Road.

Odpowiedzieli mu z wesołym uśmiechem, jakby już znali takich jak on.

Czuł się jak w parku. Skręcił dwa razy i od razu rzuciła mu się w oczy łopocąca nad drzewami bandera z orłem. Przyśpieszył kroku. W ogrodzie, pełnym drzew, stała wielka willa ze skąpanym w słońcu dachem, pełnym załamania. Z ogrodów rozlegały się głosy i śpiewy ptaków. Z bramy wielkiego żywopłotu wybiegł olbrzymi bernardyn. Obwąchiwał go i przepuścił do środka.

W wielkim hallu poczekalni żywo rozmawiali marynarze, łowił każde ich słowo. Coś się w nim działo; dokonywała się jakaś przemiana. Całe ciało rozprężało się, odczuwał ulgę. Oddychał z taką swobodą jak nigdy przedtem. Jego wilcza dusza stawała się ludzka. Chował pazury i zęby czując dla wszystkich niezmierną życzliwość.

115

W kancelarii kapitan po uważnym przejrzeniu strzępków jego dokumentów kłuł go oczami, jak to potrafi tylko kapitan starając się ocenić wartość żeglarską marynarza.

– Chce pan pływać na polskich statkach? — pytał nie spuszczając z niego wzroku.

– Po to tu przyszedłem — odpowiedział spokojnie.

– Dobrze, ja już to załatwię. Przyjdzie pan po swoje papiery za godzinę. O jedenastej zgłosi się pan u

lekarza na pierwszym piętrze.

– Dziękuję — odpowiedział i wyszedł.

Przez chwilę przyglądał się grającym w ping-ponga, po czym wszedł do następnej sali. Zrobił kilka kroków po dywanie, stanął i rozglądał się wokoło. W wygodnych fotelach i na sofach siedzieli różnego wieku i różnie ubrani marynarze. Czytali polskie gazety i książki. Wokoło stołu bilardowego krążyło z kijami dwóch młodych chłopaków. Przy jednym stole grano w karty, przy innym pisano listy. Przez radio rozbrzmiewał piękny mazurek. Kilku siedzących skoczyło na nogi, przytupywali i przyśpiewując słuchali.

Jak tu żywo, bo swojo — pomyślał.

O jedenastej lekarz zbadał go szczegółowo. Był zadowolony. Po zbadaniu powiedział wesoło:

– Ta ręka, to drobnostka. Na dwa tygodnie pojedzie pan sobie już dzisiaj do Rugby a potem na statek.

W kantynie na stacji kolejowej wypił garnczek herbaty i zjadł sandwicza. Zegar na ścianie wskazywał dziesięć po dwunastej. Za dwanaście minut miał pociąg. Przepchnął się przez zbitą cizbę żołnierzy i wyszedł na stację. Z nielicznych lamp skąpe światło lichy uwidaczniało różnorodny tłum oczekujących. W ogromnej większości byli to żołnierze wszystkich rodzajów broni, szarż, wszystkich narodów zjednoczonych. Zmieszani byli jakby dla łatwiejszego

znoszenia trudów wojennych z umundurowanymi dziewczętami z A.T.S., W.A.F., V. R. N., Land Army i z innych formacyj.

116

Staął przy swoim peronie, w pięćdziesięciometrowym ogonie kolejki oczekujących pociągu. Nie było tu smutnych czy samotnych. Parami swobodnie siedzieli na swoich walizkach, wciśnięci w siebie, w zupełnej ciszy. Większe gromadki, podniecone podróżą, żywo dyskutowały, dziewczęta śmiały się beztrosko. Zawiani piwem żołnierze śpiewali miłosne piosenki. Tylko on był zupełnie sam jak kołek.

Szczęśliwi ludzie – myślał. Widocznie wojna zagrzała krew zimnym Anglikom i nauczyła ich żyć. Tak, wojna złamała sztywność i dławiący wstyd. Żony były pełne słodyczy dla swoich mężów i w ciągłej obawie o nich. Dziewczęta kochały swoich kochanków z szaleńczą pasją młodości.

Pociąg wtoczył się na pusty peron. Wszyscy śpiesznie szli do wagonów. Poszedł aż do końca, do samej lokomotywy. Nie śpieszyło mu się. Dla siebie samego zawsze znajdzie jakieś miejsce. Kiedy wrócił, wszystkie wagony były już zapchane. Przez otwarte drzwi wszedł do wagonu bagażowego i położył się na jakichś pakach, zupełnie zadowolony ze swego miejsca. Po chwili za jego przykładem do wagonu weszli i inni żołnierze. Pociąg ruszył wolno, potem w miarowym, pełnym biegu, aż uśpił go.

Widno już było, kiedy pociąg zatrzymał się na stacji w Rugby. Uczesał się i wyszedł z wagonu. Ze stacji tchnęła pustka. Wsiadło kilku żołnierzy, na ich miejsce weszło do tych samych wagonów kilku marynarzy, młodych chłopaków w czapkach niedbale zsuniętych na tył głowy, spod których wichrzyły się płowe czupryny.

Raźno szedł przez puste ulice wzdłuż małych domków, nad którymi wisiało różowe słońce. W rannej ciszy wsłuchiwał się w swój sprężysty chód przyśpieszając kroku. Uczuł radość na wspomnienie straconej na „Safonie” walizki, z którą teraz by się pocił. Łatwo trafił do domu marynarza. Przy wejściu wisiała wielka tablica w języku angielskim. Frontowe drzwi były zamknięte. Kiedy stał

117

namyślając się, czy dzwonić, przybiegł w podskokach mały owczarek. Wywijał przyjacielsko ogonem łasząc mu się tuż przy samych nogach. Żywymi, mądrymi ślepiami radośnie patrzył mu w oczy. Joe pogłaskał go po kudłatym łbie i ten jak sprężyna skoczył w górę. Chciał go jeszcze pogłaskać. Chlusnął w górę niczym ryba, radośnie poszczekując, omiatał go wokoło, cwałując w żywiołowym biegu. Poczciwa, przyjacielska dusza — pomyślał. Nie pobudzał już jego radości, by szczekaniem nie zbudził śpiących. Obszedł wokoło dom. Nacisnął klamkę, drzwi oszklonej werandy były otwarte. Przez następne odchylone drzwi wszedł na palcach do drugiego wypoczynkowego pokoju. Zamknął drzwi. Nastawił cicho radio na dobrą muzykę i

usiadł wygodnie w fotelu.

Około ósmej rano weszło kilku kuracjuszy, takich samych jak on marynarzy. Szybko się z nimi zapoznał. Słuchali opowiadania o storpedowaniu bez żadnej emocji, podobnie jak ludzie z lądu słuchają uwag o pogodzie.

Po śniadaniu przyjął go jak w Birkenhead lekarz i mający pieczę nad domem, i postawił taką samą diagnozę. Czas schodził mu na rozmowie z miejscowymi chorymi. Ale zaszła tu zmiana. Joe z powrotem został Józkiem, jak przed trzema laty, zanim zaczął pływać na obcych statkach, i tak go już teraz wszyscy nazywali.

Następnego dnia wałęsał się po ulicach nie mając nic do roboty. Przyglądał się przechodzącym ludziom, ale wszyscy byli mu zupełnie obojętni. Zdawało mu się, że przestrasza ich swoją osobą, zachowaniem się i wzrokiem. Kiedy młode dziewczęta spoglądały na niego, przyśpieszały kroku; widocznie uważały go za człowieka niebezpiecznego i ordynarnego. Mężczyźni mieli dla niego respekt jak dla kogoś, kogo nie można obrażać. Mając dość spaceru wrócił do domu.

Wieczorem urządzili sobie wspólną pijatykę w pobliskim barze. Pili dużo i bardzo rozmaicie. Oczywiście nie obyło się bez śpiewu. Kiedy śpiewali: „Góralu, czy ci nie żal”,

mieli takie smutne i uroczyste miny, że niektórzy

Anglicy powstali myśląc, że śpiewają swój hymn. Joe nie brał jednak pełnego udziału w zabawie. Zadowolili się tylko picciem i mętnym przyglądaniem się pijącym. Samotne dziewczęta zwracały na nich oczy ze znaczącym uśmiechem. Ładne były i warte męskiego towarzystwa. Podobały mu się nawet, lecz odczuwał kompletne zubożenie, po prostu martwość.

Następnego dnia wstał z łóżka około południa. Czuł się jeszcze odurzony wczorajszym pijaństwem, toteż po południu wybrał się do parku z Tadkiem, chłopakiem jak on, z którym zaprzyjaźnili się. Spacerowali pięknymi alejami prowadząc lekką rozmowę. O chorą rękę nie troszczył się wcale, wystarczyło, że miał ją obwiązaną i że nie musiał pracować. Usiedli w słońcu na ławce, osłonięci drzewami od wiatru. Czuł się znacznie lepiej. Odurzenie już przeszło pozostawiając po sobie przyjemne osłabienie. Starał się patrzeć łagodnym wzrokiem na ludzi, którzy przechodzili, na psy goniące wokoło po dużym trawniku. Czuł w sobie dziwną niemoc; nie chciało mu się o niczym myśleć, wystarczało mu tylko, że żył. Przymknął oczy. Przy zbiegu dwóch alei dziewczyna schodziła z roweru. Za nią przejeżdżała tuż obok niego druga. Zahamowała i zręcznie zsiadła.

Otworzył szeroko oczy. Obie były w szerokich spodniach, opiętych na biodrach. Mniejsza w zielonym swetrze, uwidaczniającym jej dziewczęce kształty. Patrzyła przez chwilę na niego. Widział jej śmiejące się oczy, pełne żaru, maleńki nosek pięknie zaokrąglony,



rozchylone, pełne, czerwone wargi, równe, białe ząbki. Była zarumieniona od pędu jazdy. Bujne włosy, w nieładzie obramowywały jej twarz.

Piękna dziewczyna — przeszło mu przez głowę. Uosobienie młodości, radości. Czuł, że krew w nim szybciej krąży i uderza do głowy, że wstanie natychmiast i pójdzie prosto do niej. Zrozumiał, że dziewczęta rozmawiają przed

119

rozejściem się, że każdej chwili mogą odjechać w szybkim pędzie, i co wtedy zrobi? Odczuł głęboki smutek.

Poderwał się na nogi, podciągnął spodnie i poprawił zamszową kurtkę. Złapał Tadka za ramię.

– Chodź, musimy porozmawiać z nimi.

– Obejdzie się — odpowiedział tamten niedbale.

Odwrócił się i lekko kołysząc się w ramionach szedł do dziewczyny.

Nie starał się robić żadnych kawałów, być interesującym, nie układał żadnych planów. Dlaczego szedł do niej, nie wiedział. Po prostu czuł, że tak musi zrobić, chociażby się temu przyglądało tysiące ludzi. Lekko zatrzymał się przed nią. Tej drugiej jakby wcale nie widział.

Patrząc jej miękko w oczy mówił najlepszym językiem angielskim, na jaki tylko mógł się zdobyć:

– Piękny masz rower.

Nie odpowiadała mu. Spojrzała na rower i roześmiała się dźwięcznie.

Rower był stary i wyglądał nie najlepiej.

Teraz śmiejąc się pytał:

– Jak ci na imię?

Odgarnęła włosy — zadarła głowę do góry. Oczy jej mocno błyszczały. W odpowiedzi na jego zuchwałość w jej żywej twarzy odbiło się zdziwienie i obrażona duma.

Zajrzała mu głęboko w oczy, uśmiechnęła się.

– Vera — odpowiedziała swobodnie.

– Vero, jesteś najpiękniejszą dziewczyną, jaką kiedykolwiek widziałem na pięciu kontynentach i wszystkich wyspach.

– Jesteś marynarzem — mówiła nie mogąc powstrzymać śmiechu, aż oczy jej zwilgotniały. — A jak ci na imię?

– Joe.

– Słuchaj Joe, musimy już jechać.

Zrobił krok, jakby chciał ją zatrzymać.

– Vera, muszę się z tobą spotkać. Umrę, jeśli cię nie zobaczę.

Jaki on śmieszny — myślała wybuchając śmiechem.

— Może dzisiaj?

— Dobrze, tu w tym miejscu o wpół do siódmej.

— Na pewno?

— Na pewno.

Z wdziękiem przełożyła nogę przez rower. Nacisnęła pedał, za nią koleżanka. Uśmiechnęła się jeszcze do niego i obie szybko wyjechały z parku.

Tadek wstał z ławki i obaj poszli w przeciwną stronę. Kręcąc się po domu miał stale w głowie Verę. Warto żyć dla takiej dziewczyny — myślał sobie. Spokojniej można potem umrzeć.

Zjadł prędko kolację i poszedł do parku. Usiadł na ławce i czekał. Po kilku minutach ogarnął go dziwny niepokój — może nie przyjdzie. Przeszła wolno jakaś para, spleciona ramionami. Patrzyli na niego. Uczuł wstyd; czyżby wiedzieli, że czeka na dziewczynę, która wcale nie przyjdzie? Wstał, by przejść się. Odczuł okropną pustkę w sercu. Był bez czucia, bez żadnego pragnienia. I nagle w jednej chwili wszystko zmieniło się.

Szła środkiem alei swobodnie, lekko kołysząc się w biodrach, jakby w takt jakiejś słodkiej melodii. Śmiała się zarumienioną twarzą. Podeszła blisko. Patrzyła na niego z miną dziecka, które coś zbroiło.

– Myślałem, że nie przyjdiesz.

– Miałam wcale nie przyjść. Patrzę na zegar, widzę wpół do siódmej. Wybiegłam, no i jestem — mówiła przyznając się do winy.

Ujął jej dłoń i tak szli obok siebie. Rozmawiali o tym, co im na myśl przyszło. Wszystko było dla nich interesujące i zabawne.

Zatrzymała się przed kwitnącymi goździkami.

– Jakie to piękne, prawda?

Schylił się, urwał czerwony goździk i wsunął jej w rękę.

121

Przyjęła go z wystraszoną miną. Obejrzała się wokoło, było pusto. Czy zawsze robi to, czego nie wolno? — myślała.

Obeszli park kilka razy, czasami idąc obok siebie dłuższą chwilę w milczeniu. Przyglądali się sobie pochłaniając się oczami.

Zdawało mu się, że ona była z innego świata niż on. Patrząc na nią odczuwał radość. Obawiał się, by nie zrobić jej jakiejś krzywdy. Mówiąc do niej pilnował się, by nie używać słów, których często używał na statku. Bał się patrzeć na nią długo. Przypominały mu się okropne sceny ze statków. Kiedy stawał mu na drodze marynarz jak on, przeszywali się wzajemnie oczami z zaciekłością, której nie miały nawet zwierzęta. Potem

szczepiali się jak żbiki bijąc się, targając, szarpiąc do utraty przytomności. Tak, gdyby ona wiedziała, jaki czasami bywał, uciekłaby na pewno ze strachu.

Nie bała go się. Domyślała się, że w tych szerokich barkach i grubych ramionach kryje się niepojęta dla niej siła. Ale przecież jest marynarzem — tłumaczyła to sobie prosto. Jego sucha, opalona twarz, z nosem lekko garbatym, z niewielką wyrazistą szczęką, tak się różniła od innych. Oczy, co za oczy? Żywe, bure, pełne życia. Kiedy się w nie patrzyła, zmieniały się ciągle, trudno było odgadnąć, co się w nich dzieje.

Zasypywała go pytaniami. Opowiadał jej o obcych morzach, lądach, ludziach. Przysunęła się do niego bliżej. Gładziła ręką miękką, zamszową kurtkę, z której był zawsze dumny, przekładał ją nad najelegantszą marynarkę.

– Gdzieś ją kupił?

– W Halifax, w Kanadzie.

Jeszcze więcej ją dziwiły dunkry za dwa dolary, koloru mrozu na szybie, u dołu bardzo szerokie.

Szła w milczeniu. Może myślała, że to wszystko w nim jest dla niej takie obce i mało zrozumiałe.

122

Nie próbował rozmawiać. Dobrze mu było iść tak w ciszy. Słońce dawno zaszło i robiło się ciemno.

– Muszę już iść do domu — przerwała cicho.

Wyszli z parku. Ulice miasteczka były ożywione. Zatrzymała się.

– Tu mieszkam.

– W tym domu? — pytał ciekawie.

– Nie, niedaleko stąd.

Stał przy niej. Czuł ją przez kurtkę. Ogarnęło go niepoohamowane pragnienie, by wziąć ją w ramiona i całować długo, długo, aż do utraty zmysłów.

Zrozumiała to widocznie, bo odsunęła się.

Bojąc się, że ucieknie, pytał:

– Kiedy się spotkamy?

– Pojutrze, tam gdzie dzisiaj — odpowiedziała i pędem pobiegła do domu.

Do późnej nocy myślał o niej. Aby być tak piękną, nie wystarczy mieć piękne ciało, trzeba mieć także piękne serce. Takie serce ma Vera.

Czuł, że znużenie życiem i wojną, które go dławiło, prysło w jednej chwili. Jak gdyby przebudził się z nieczułego odrętwienia. Ogarnął go potężny przypływ pragnień.

Rano pożyczył spodnie od Tadka, wyprał swoje dunkry i koszulę. Czytał książkę, wybiegał czasami i rozciągał suszące się dunkry, by po wysuszeniu trzymały dobry fason.

Następnego wieczoru ubrał się jak tylko mógł najstaranniej i wyszedł do parku.

Aleją szła naprzeciw niego swoim melodyjnym krokiem Vera, z zarumienioną buzią.

–Czekałaś długo?

–Nie, dopiero przyszłam.

Uwiesiła mu się u ramienia i tak rozpoczęli spacer. Bardzo ochoczo przyjął jej śmiałość. „Nabrała do mnie zaufania” – myślał sobie.

Usiedli na ławce pod wielkim klonem.

123

Zapytywała o jego kraj. Długo jej opowiadał, aż się ściemniło. Przysunęła się blisko i oparła o niego. Kiedy słuchała go, twarz jej posmutniała. Kiedy skończył, siedzieli przytuleni do siebie w zupełnej ciszy. Może zdradził ją teraz przenosząc się myślą do swego miasta, ulic i domu w którym był bardzo szczęśliwy.

Ocknął się, spojrzął na nią. W szeroko rozwartych oczach widział tkliwy smutek. Jest smutna i on jest temu winien.

–Co tobie, Vera? — pytał najtkliwiej jak tylko mógł.

W odpowiedzi ścisnęła mu dłoń i wtuliła głowę w ramiona.

Objął ją ramieniem i przycisnął do siebie. Głowę jej

miał na piersiach. Twarzą czuł jej włosy, których zapach dziwnie go oszałamiał. Podniosła głowę. Z oczu jej bił żar. Przycisnął ją mocno, wpił się w jej wargi. Czuł ją każdym biciem serca, każdym tchnieniem.

Zaczęła drżeć. Odsunęła głowę, chciała się uwolnić z jego ramion. Puścił ją. Wstała szybko. Wstrząsnęła włosy.

— Muszę już iść — mówiła przytomnie.

Wstał, wziął ją pod ramię. Szli, nic nie mówiąc, w stronę jej domu. Wokoło było pusto i cicho. Jasny księżyc przedzierał się przez drzewa. Ciepły, majowy wieczór przesycony był zapachem traw i drzew.

Przystanęli blisko jej domu.

— Bardzo ładnie ci w spodniach — masz szersze niż ja — mówił.

— A ty nie masz innego ubrania?

— Po co? Żeby się utopiło?

— Oj! ja chcę, byś się ładnie ubierał.

— A no, jeśli chcesz, to kupię.

— Kiedy?

— Jutro.

— Jutro jest sobota. Pracuję tylko do drugiej. Czekał na mnie po drugiej przed Burtonem, będziemy kupowali razem.



Wspięła się lekko na palce, pocałowała go i pobiegła do domu.

Stał przez chwilę zdziwiony. „Dziwne rzeczy dzieją się ze mną” — pomyślał. — „Dziwna zmiana na lepsze” — poprawił zaraz.

Kupowanie z Verą było bardzo przyjemne. Miała dużo dobrego smaku i jeszcze więcej humoru. Kiedy skończyli zakupy, wpadli do restauracji; okazało się, że oboje byli bardzo głodni. Po smacznym obiedzie humory im się jeszcze bardziej poprawiły. Czekaając na autobus umówili się na środę do kina. Obładowany jak muł szedł do domu. Kiedy przebrawszy się wychodził, marynarze ze zdziwieniem obserwowali tego mruka.

Vera, stojąc przed kinem, z radością przyglądała się nadchodzącemu. Ujęła go bardzo uroczyście pod ramię i poszli do kasy. Kupił dobre miejsca. Ujął jej dłoń w swoją. Ona oparła się wygodnie o jego ramię. Dziewczęta, siedzące obok nich, często spoglądały na nich. Widziała to dobrze i była bardzo zadowolona. Czasami podnosiła głowę i z powrotem opierała się na jego ramieniu. Kiedy przyglądał się jej, zawsze spotykał jej oczy: żarzyły się gorąco, ścisnęła mu silniej dłoń i wtulała głębiej głowę.

— „Przyjemny pieszczoch” — cieszył się. — „Muszę z nią częściej chodzić do kina”.

Po skończonym filmie nie chciała, aby ją

odprowadzał. Pożegnali się przy wyjściu.

Wiedział, że dokonała się w nim zmiana. Po trzech latach martwoty owładnęło nim znowu życie jak kiedyś przed wojną w jego rodzinnym mieście. Mógł teraz rozweselić najsmutniejszą twarz. Tej przemiany dokonała Vera, nikt inny, tylko ona. Znowu poczuł się Józkiem jak dawniej.

Była niedziela. W słoneczne południe szedł do niej. Burek, owczarek, jego pierwszy przyjaciel, uparł mu się towarzyszyć i biegł mu tuż przy nogach. Vera mieszkała za

125

miastem w małym domku, podobnym do willi, okolonym małym ogródkiem.

Czekała na niego. Oparła się na niskich, zielonych sztachetach płotu, zadarła twarz ku słońcu, przymknęła oczy i tak stała, aż Burek szczekaniem zburzył jej spokój. Pierwszy wbiegł przez uchyloną furtkę, łasił się do Very. Zatopiła mu obie dłonie w długich kudłach i patrzyła na jego mądry pysk. Z przyległego garażu wyszedł starszy, godny Anglik.

To mój ojciec — powiedziała wyprostowując się.

— Dzień dobry! — pozdrowił go Józek.

Uścisnęli sobie dłonie, spojrzeli sobie w oczy.

— Piękną pogodę macie na spacer — mówił patrząc na córkę.

– Naprawdę piękna — poprawił Józek.

Vera wzięła rower wskazując mu drugi. Naraz otworzyły się drzwi domu, wyjrzała z nich matka Very. Podszedł, przywitał się z nią, była wesoła i nie tak poważna jak ojciec. Potem wziął rower, zamknął furtkę za sobą, uśmiechnął się jeszcze w stronę przyglądających mu się, skoczył na rower i jechał za oddalającą się Verą.

Jechali obok siebie asfaltową szosą, wysadzoną drzewami. Za nimi ziejąc biegł Burek. Z obu stron szosy ciągnęły się równe, zielone pola. Mając dość jazdy zeszli z rowerów, usiedli na trawie i zapalili papierosy. Burek natychmiast puścił się w pogoń za stadem pasących się owiec. Ledwo go przywołali, tak był przejęty owcami. Owce natychmiast się rozproszyły i gdzieś znikły.

Jadąc z powrotem zjedli podwieczorek w przydrożnej oberży. Nie zapomnieli o Burku. Żegnając się umówili się, że pójdą wieczorem na taniec, odbywający się przy kościele.

Przywołał Burka i szedł do domu. Czuł, że pierś rozsadza mu radość. Zaczął śpiewać, i gwizdać polkę, aż Burek patrzył na niego zdziwiony.

126

Przebudził się rano. Zerwał się jak po dobrze przespanej nocy. Śmiał się sam do siebie. Ach, to on wczoraj tańczył, prawdziwie tańczył, jak kiedyś przed wojną. Zrzucił bandaż z ręki, zacisnął mocno kilka razy

dłoń, nie czuł wcale bólu. Czas już na statek — myślał. Cały dzień i wieczór zeszedł mu na rozmowie z kolegami. Grał w karty słuchał radia, czytał gazety.

Następnego wieczoru Vera zabrała go do domu. Matka jej była bardzo miła, jak tylko umieją być miłe kobiety w starszym wieku. Przekonał się, że i ojciec wcale nie był sztywny. Przyszły później dwie jej koleżanki. Rozmawiali żywo. Jedli kolację wcale nie tak uroczyście, jak Józek myślał o Anglikach. Jedli dużo śmiejąc się z niemieckiej blokady. Rozmawiali i żartowali. Po kolacji wyszli na dwór „na papierosa”. Potem Vera poprosiła ich do środka. Tu obdarzyła każdego kieliszkiem „szkockiej”. Sama siadła przy fortepianie i zaczęła grać „White Cliffs of Dover”. Wszyscy podchwycili melodię i śpiewali z dużym przejęciem. Wytworzył się miły nastrój. Napełnili jeszcze raz kieliszki, potem wzięli się do piwa. Mężczyźni stali przy sobie rozmawiając o wojnie. Kapral z piechoty był inwalidą z 8-ej armii, opowiadał o kampanii afrykańskiej. Józek musiał mówić o swoich przeżyciach. Lotnik, zupełnie młody chłopak, słuchał ciekawie nic nie dodając od siebie, zapewniał tylko wszystkich, że po szkole będzie tłukł Hunów na całego.

Panny nie brały udziału w rozmowach politycznych, skupiły się wszystkie przy fortepianie, grały na zmianę i śpiewały. Aż znudziły się samotnością, wstały wszystkie naraz i rozdzieliły politykujących.

Napełnili znowu kieliszki. Odstawili stół i wzięli się do tańca. Józek poprosił matkę Very. Był bardzo

zdziwiony, że tak dobrze tańczy, przekonał się, że tańczyła znacznie lepiej od córki. Potem paląc papierosa spoglądał na przyciężkawe, piękne, kobiece nogi Very. Vera tańczyła z młodziutkim lotnikiem; nie była w spodniach jak zawsze, ale

127

w sukience. „Będzie moją dziewczyną” — upewniał sam siebie.

Po dwunastej rozbawieni zabierali się do wyjścia. Matka Very dowiedziawszy się, że ma daleko do domu, zaprosiła go na noc. Kiedy goście opuścili dom, zaprowadziła go na pierwsze piętro i wskazała mu pokoik.

Przed zaśnięciem oczywiście myślał o Verze.

Czuł, że ktoś go gładzi po twarzy. Otworzył oczy. Było zupełnie widno. Przez okno wpadało słońce i ścieliło się po całym pokoju. Odwrócił głowę. Przy nim na łóżku siedziała w różowej piżamie Vera. Chciał się poderwać — zaniechał. Przegradzała ich wonna kawa w filizance.

— Jak się spało? — pytała podając mu kawę.

— Doskonale — odpowiedział ostrożnie się podnosząc, wziął kubek w jedną rękę, drugą objął ją i długo całował.

Rozdzieliło ich wołanie matki. Vera szybko zbiegła na dół.

Wypił kawę. Ubrał się szybko. Ojciec już wyszedł do pracy. Józek zjadł śniadanie i odprowadził Verę do biura.

W obiad Vera zatelefonowała, że chętnie przyjdzie do niego.

– Oczywiście — upewnił ją — czekam na ciebie.

Kiedy przyszła, zaprowadził ją do wypoczynkowego pokoju. Stary bosman posadził ją w fotelu siadając blisko niej. Wniosła dużo radości. Rozmawiała ze wszystkimi, śmiała się, mrużąc oczy. Rozjaśniły się twarze starym, twardym marynarzom; byli rozbawieni jak dzieci. Bosman pochwalił się, że ma też trzy córki w Gdyni, i Wszyscy przyjęli to radosnym uśmiechem. Po czym ucałował ją głośno w oba policzki. Poczzerwieniała śmiejąc się dalej. Kiedy wychodził z nią, wszyscy ją zapraszali, by przyszła jeszcze raz.

Idąc ulicą ujrzał napis świetlny „Bar Red Lion”. Coś go ciągnęło, już tak dawno nie był w barze.

– Wstąpimy na piwo?

– Pewno — odpowiedziała zuchwale.

128

Weszli do wnętrza. Bar był przepełniony. Stali stłoczeni, wypili po szklance piwa i wyszli.

Księżyc stał w pełni. Ciepły wieczór był pełen srebra. Chodził z nią po parku i po ulicach, zalanych jasnym blaskiem. Coraz częściej myślał o morzu. „Przecież jest

wojna – muszę stąd iść precz” — myślał. — „Ciężko będzie się żegnać”.

Aż pewnego dnia lekarz wezwał go do siebie. Zbadał dokładnie rękę.

– Dobrze już, co ?

– Dobrze — odpowiedział.

– Jutro pan jedzie na statek.

– Doskonale, odpowiedział i wyszedł.

Kupił małą walizkę. Zapakował koszule, dunkry i inne drobiazgi. „Dorabiam się pomału” — żartował z siebie.

Wieczorem, kiedy spotkał Verę, opowiedział jej wszystko. Przyjęła to milczeniem.

– Kiedy jedziesz? — spytała po chwili.

– Jutro mam pociąg o jedenastej przed południem.

– Z biura przyjadę na stację pożegnać cię.

Objął ją w pól. Szli dobrze znanymi alejami. Spoglądali na ławki, na których siedzieli. Przechodząc koło wielkiego klonu, przystanęli. Patrzyli sobie w oczy, uśmiechali się do siebie. Ach, to tu on ją całował ? Znów szli dalej. Zwisła mu ciężko na ramieniu, nie miała ochoty do rozmowy. Zeszli z alei, szli po trawie między drzewami, gdzie się drzewa kończyły prostą linią. Usiedli. Przed nimi ścielił się

pusty trawnik.

Rozmawiali o dniach spędzonych razem, wspominali najdrobniejsze szczegóły. Zapadł zmrok. Księżyc wyszedł oblewając park swoim blaskiem. Pusty trawnik jarzył się w bladym świetle. Legł na trawie. Położyła się przy nim opierając mu głowę na piersiach. Gładził ją po włosach, po twarzy. Nie wzbraniała się, poddawała się jego pieścizdom. Potem zsunęła głowę i położyła się na trawie. Podniósł

129

się. Siedząc przyglądał się jej sylwetce pełnej czaru, rozświeconej księżycem. Pieścił wzrokiem każdy jej kształt. Pochylił się nad nią. Z twarzy jej bił żar, w szeroko rozwartych oczach błyszczała rozkosz. Przyłgął do jej ust.

\*

Przed jedenastą był na stacji. Po chwili przyjechała Vera na rowerze. Uśmiechała się inaczej niż zawsze, nie tak kapryśnie i beztrosko, za to bardziej tkliwie i słodko. Rozmawiali wesoło i żartobliwie, jakby jechał na week-end, choć może za kilka tygodni będzie od niej o tysiące mil oddalony. Pociąg zajechał na peron. Ludzie powchodzili do wagonów. Stanęli bliżej wagonu chcąc być z sobą jak najdłużej. Kolejarze biegali szybko, pociąg mógł ruszyć w każdej chwili. Objęli się wzajemnie ramionami — był to pocałunek, który daje tyle radości. Pociąg ruszył. Wyrwał się z jej ramion. Skoczył na stopień. Widział ją przez spuszczoną szybę



drzwi. Szła obok. Gdy pociąg nabierał pędu, zaczęła zostawać w tyle.

– Jeśli będę miała syna, dam mu na imię, jak tobie, Joe! — wołała głośno.

– Wróć — odpowiedział.

\*

Na statku praca nie była ciężka. Nie czuł, jak nieraz, czarnego, przygniatającego zmęczenia. Kiedy był znużony prostował się, patrzył na słońce; to słońce wydawało mu się inne niż zawsze, cieplejsze i weselsze.

W morzu schodził mu czas na normalnej pracy. Był dla wszystkich dziwnie przyjacielski i życzliwy. Między swoimi czuł się wesoło. Zapomniał o wszystkim złym. Myślał teraz tylko o dobrym. Rejs mieli spokojny, nie raził go szum wielkiego miasta i nie denerwował. Cieszył się, gdy odbijali od Anglii.

W drodze powrotnej, na długości Islandii, dochodziły ich złe wiadomości. Statki tonęły w pobliżu; łodzie podwodne włóczyły się gdzieś całą paką.

130

W dzień i w noc szły teraz sygnały w konwoju: „Łodzie”. Bomby głębinowe często budziły załogi w nocy. Pewnego wieczoru ostatni statek z konwoju zatonął. Tej nocy nikt nie spał. Całą noc wybuchy bomb tłukły o burty. Marynarze wsłuchiwali się, czy nie

usłyszą torpedy. Torpedowania nie było. W dzień nic się nie zmieniło. Po południu znów poszły sygnały: „Łodzie”. Konwój ostro zeszedł z kursu. Z mostka wołali: „Na przedzie bój!” Stamtąd szły salwy z armat, nierówny ogień, wybuchy bomb głębinowych i torped.

Pokazały się później Liberatory, przyleciały z odsieczą z Islandii.

Pod wieczór znów: „Łodzie”. Nikt już bez potrzeby nie wchodził do pomieszczeń.

Naraz z prawej strony, w środku konwoju, nastąpił głuchy, długi wybuch. W następnej kolumnie z burty tankowca rzygnął płomień i rozlał się po wodzie.

Stał przy działku jak wszyscy inni wyznaczeni. Nie patrzy teraz na tankowiec. Cóż go on obchodzi, w każdej sekundzie sami mogą wylecieć w powietrze. Wzrok chytrze mu się ślizga po wodzie. Widzi, sto metrów od rufy sunie peryskop. Plunął długim ogniem. Trafił!!! Przerywa ogień. Znów tylko woda. Aż tu z drugiej burty od, dziobu rwie jak pies kontrtorpedowiec. Śmignął im za rufą. Widzi, kilkanaście beczek fruwa w powietrzu, z pluskiem padają w wodę. Następują wybuchy. Statek skacze. Drży i gnie się.

Odczuwa ulgę w piersiach.

Kontrtorpedowiec nawrócił ostro i znów waruje.

Płynące za tankowcem statki omijają go. Bucha coraz większym ogniem. Czernieje jeszcze nawietrzna burta wśród morza ognia. Tankowiec zostaje w tyle. Długo

go jeszcze widać było na horyzoncie.

Znów nikt nie śpi w nocy. Rano przychodzą w pomoc nowe kontrtorpedowce i samoloty.

131

Zeszedł z wachty. Usiadł na ostatnim łuku. Z kabin przez wentylatory dochodzą go syki okropnych przekleństw. Marynarze piją — myśli. Tak, została im tylko „holenderska odwaga”. „I ja tak robiłem” — przyznaje się sam sobie — „kiedy mnie siła odchodziła. Ale to już minęło” — uśmiechnął się z miną zwycięzcy.

Ostatecznie co jest? Tu piekło — po śmierci piekło — wszędzie piekło. All right — uśmiechnął się jeszcze raz — w piekle można żyć.

Pomacał jak talizman schowany w pasie pierścionelek, kupiony dla Very. Musi żyć.

„Jeżeli będę miał syna, kto mu da nazwisko?”

132

**BURZYCIEL**

Schodziliśmy z mostka z uczuciem ulgi, jaką się

odczuwa po zdaniu nocnej wachty. Płynęliśmy w konwoju między wschodnim brzegiem Anglii i polami minowymi. Jesienne powietrze było zimniejsze od wody, przesycone mgłą i deszczem, padającym już od kilku dni. Gdy szedłem z Bolekiem po oślizgłym pokładzie, często czułem, na plecach dotyk jego ręki, gdyż wyciągał ją przed siebie, by nie wpaść na mnie. Idąc w zupełnie czarną noc po pokładzie, załadowanym czołgami, beczkami, przesuając się wzdłuż pochyłonych want, między nawiewnikami, odczuwa się często bliskość nieustępliwych przeszkód i zupełnie instynktownie wyciąga się przed siebie rękę. Natrętna myśl o kubku gorącej herbaty powoduje pośpiech, który kłął każdy marynarz rozcierając sobie pizczel lub głowę.

W messie najmłodszy Bolek nalewa gorącą herbatę w czyste kubki, starannie przygotowane przez idących na wachtę. Bolek robi to tak szybko i pewnie, jak już nie robił od dwóch tygodni.

— Co ci się tak śpieszy? — pyta najstarszy Lolek.

Nazywa się on właściwie Alfons, ale imię to jest tak nieodpowiednie, że wszyscy mówimy mu Lolek.

— Nie wiesz, że dzisiaj Londyn? — odpowiada żywo.

— Spiesz się do swojej Margaretki — wtrącam.

Bolek odpowiada uśmiechem. Ma on taką szczerą naturę, że z jego twarzy wszystko można odczytać.

– Zdaje mu się, że jest wielkim facetem, a to tylko dlatego, że ma funty. Gdybyś był, bracie, goły, długo byś musiał czekać, aż która w miłości by się nad tobą zlitowała — mówi Lolek.

Lolek ma już około trzydziestki i tak dobrze się prowadzi, że wszyscy śmiejemy się, iż byłby dobrym mężem.

– Przed dwoma laty — mówi Lolek — byłem chory i siedziałem w Londynie, Wyobraźcie sobie, jak żyłem; z ubezpieczalni pobierałem trzy funty pięć szylingów tygodniowo. Mieszkałem w Domu Marynarza na Aldgate. Było to zimą. W klatce, którą zajmowałem, panował zawsze półmrok. Przez okienko, wąskie jak szpara, sączyło się słabe światło. Rura pod oknem, przez którą przechodziła para, była zawsze zimna. W dzień i w nocy byłem ubrany jak na zimowej wachcie. Często w nocy wszyscy na piętrze kaszlaliśmy razem. Niektórzy tak się przeziębiali, że szli do szpitala. Byłem wiecznie głodny. Szedłem wtedy na późną kolację do pobliskich kawiarenek, prowadzonych przez Żydów, Greków, Hiszpanów, Maltańczyków i innych. Gnieździła tu się cała międzynarodowa bieda. Na tym tle musiałem wyglądać jak arystokrata. Często podchodzili do mnie różni biedacy prosząc sixa. Przeważnie odmawiałem. W ciemną noc dla ostrożności chodziło się jezdnią. Dawniej najgorzej było pod mostem kolejowym, teraz zawsze stoi tu dwóch policjantów.

Czasami urządzałem sobie święto. Na godzinę przed zamknięciem szedłem do baru na piwo, aby przy tym

posłuchać muzyki na fortepianie i popatrzeć na ludzi. Gdy zamykali bar, szedłem na kolację do Cafe Maltese. W nocy nie było tam wcale łatwo dojść. Idąc z baru musiałem przejść pod mostem kolejowym koło wielkiego, kamiennego koryta, gdzie furmani poili swoje perszerony; skręcałem w lewo i w prawo w wąską uliczkę; tu dochodził mnie już różnorodny hałas.

Przed wejściem mijałem dwóch policjantów i przez drzwi i kotarę wchodziłem do środka. Siadałem przy stoliku.

134

Była to dość duża sala, o podłodze zniszczonej, z ponabijanymi na wierzchu różnymi szczapami. Trzeba tu było chodzić ostrożnie, by nie złamać karku. Nie bardzo przyjemne było pośliżnięcie się na mokrych plwocinach pozostawionych przez chorych, którzy mieli zaflegmione płuca. Niedopałki papierosów i różne śmieci okrywały podłogę. Na środku stał wielki, gorący, rozpalony piecyk z długimi, rozpiętymi, po suficie czarnymi rurami; pod nim wygarnięty popiół i kubeł z koksem. Wokoło leżały psy i koty w najprzykładniejszej zgodzie. Ściany, wybijane nierównymi deskami, były wyklejane papierami we wszystkich kolorach. Na frontowej od ulicy było nawet pęknięte lustro. Z sufitu odrywały się wielkie płyty tynku. Na krótkich sznurkach zwisały żarówki, czarne od sadzy i od dymu papierosów. Pod ścianami chybotające się stoliki, nigdy nie stojące równo na czterech nogach. Na podziurawionych, mokrych od

wylanych zup i napoi ceratach wałała się rozsypana sól i pieprz. Wokoło stolików stały krzesła, na których nie bardzo było bezpiecznie siedzieć.

Obok sąsiedniego stolika stał rosły mężczyzna, widocznie pijany. Zatoczył się i oparł się o ścianę. Ściana mocno zaskrzypiała, zdawało się, że się przewróci. Było tu tak brudno, że wystarczyło wejść, by czuć się unurzonym w brudzie.

Pod jedną ścianą stał długi bufet, na którym zawsze było pełno talerzy, filiżanek, łyżek, widelców, noży, chleba i mleka w dzbankach. Na jednym końcu bufetu widniał olbrzymi samowar z wodą na herbatę, okryty z wierzchu ścierkami, z drugiej strony — oszklona szafa. Wewnątrz widać było masło, marmoladę i butelki z mlekiem. Po środku stała maszyna kasowa. Za bufetem uwijała się gruba niewiasta i niski, krępy właściciel o łysej głowie, o oczach wyblakłych, zupełnie niewrażliwy na wszystko, co się wokoło niego działo. Chodził w koszuli z podwiniętymi po łokcie rękawami. Masywna kobieta miała przyjemną twarz, gdy się śmiała,

135

głębokie dołeczki powyżej ust robiły ją prawie miłą. Odznaczała się wielką energią: potrafiła wyrzucić za drzwi każdą pannę a nawet marynarza.

Za nimi na ścianie wznosiły się półki z maleńkimi, ja-skrawymi firaneczkami, jedna nad drugą, w czterech rzędach. Na pierwszej stały filiżanki, lemoniady i

butelki z mlekiem, na drugiej różne słodycze, a na wyższych konserwy rybne. Półki rozdzielało lustro z wielką banderą brytyjską. Obok półek był nawet kalendarz i napis:

Good people came and I trust them.

I lost thelr money and thefr custom.

To loose them both to give me sore,

So I have decided to trust no more.

Dwoje drzwi prowadziło do kuchni; za każdym otwarciem dochodził przyjemny zapach potraw. Przez małe okienko kucharz podawał dymiące talerze. Na przeciwległej ścianie wisiały dwa duże obrazy kobiet, jedna ubrana z wielką elegancją, druga tylko w bieliźnie.

Można tam było widzieć wszystkie branże, a więc alfonsów, przemytników, złodziei, kupców, sprzedawców, ludzi uczciwych i marynarzy. Jedni okaleczeni przez życie, drudzy młodzi, weseli, pełni burzącej siły: kreatury, herkulesy i normalni. Są między nimi przystojne i męskie twarze. Niektórzy zupełnie obdarci, drudzy przycięci przez Austina Reeda.

Kobiety są tu jednego zawodu, tylko różnej ceny; są stare, młode, takie co ledwo ukończyły szesnaście lat, panny, mężatki, piękne, brzydkie, pokręcone i o pięknych kobiecych kształtach, wybredne, wyzute ze wszystkiego; takie, które uprawiają swój zawód przyzwoicie i kobieco, i stare, opasłe jak jedna niekształtna bryła. Chude wyglądają jak wiedźmy z



bajek. Czasem przyjdzie tam kobieta z nowonarodzonym dzieckiem na rękę.

Wszyscy się tu doskonale czują. Siedząc przy stolikach jedzą bardzo normalnie i celowo: „najeść się, by nie być

136

głodnym”. Powalane ręce tylko starzy goście wycierają w ścierkę, zawieszoną na samowarze. Koty często wskakują na kolana jedzących, zaglądną śmiało do talerzy. Gdy komuś coś nie smakuje, stawia talerz na podłodze i popycha nogą, zaraz przychodzi pies i opróżnia go. Na udepnięcie i kopnięcie splecionych nóg pod stolikiem są wszyscy bardzo wyrozumiali. W niektóre wieczory cały środek sali szczelnie wypełniają ludzie.

Kiedy przycicha hałas, słyszeć muzykę z radia. Znaną melodię niektórzy podchwytywali, inni im nieraz pomagali i cała sala wtedy śpiewała. Słyszeć było potem długie oklaski. Dziennik radiowy i wiadomości z frontu nie interesują tu nikogo. Z radia czasami płynie piękna piosenka o czystej miłości; zaraz widać, że jest ona tutaj nie na miejscu.

Alfonsy przyprowadzają tu swoje panny jak towar na sprzedaż. Trzymając się z dala od nich, myślą o ograbieniu zamożniejszych gości, którzy pójdą z ich dziewczętami.

Od kilku lat jest tu stałym gościem drugi szturman,

który już skończył z morzem. Wchodząc od razu robi zbiórkę. Zwraca się zawsze tylko do marynarzy, nie myli się nigdy. Nie widziałem, by mu kto kiedy odmówił szylinga. Przeważnie jest pijany. Zawsze przychodzi w tym samym wytartym palcie, z podniesionym kołnierzem, w wypłowiałym kapeluszu, noszonym na tyle głowy. Twarz ma tak ostrą z błyszczącymi oczyma jak derwisz, nos zakrzywiony jak dziób jastrzębia. Zaciśnięte usta, z końcami wciśniętymi w dół, odzwierciedlają pogardę dla wszystkich i wszystkiego. Zęby ma tak zniszczone, że wyglądają jak czarna, nierówna plama w ustach, twarz jest wyrazista i kształtna. Mówi bardzo chrapliwie i świszcząco słychać wtedy jak płuca pracują i rzeżą i niemal widać naciągnięte, pracujące struny głosowe, które ma mocno nadwerężone od zawsze głośnej mowy. Dłonie starego marynarza są kościste, z licznymi bliznami okaleczeń. Nie dba on o nic, cały sens jego istnienia polega na budzącym

137

powszechny szacunek fasonie marynarskim w ruchu i spojrzeniu.

Często przychodzą młodzi marynarze po to, by tylko zjeść; są spokojni i odporni na wszystko, co się wokoło dzieje; wiara w dobre życie i silne ręce zapewniają im spokój.

Śmiech niektórych staruszków jest taki jowialny i ludzki, że wyglądają prawie na ludzi szczęśliwych; za

tym śmiechem stoi ich całe przeszłe życie i obecna rezygnacja ze wszystkiego; wspominają dawne, młodzińcze lata, pełne szaleństwa, i śmieją się teraz z tego bardzo poczciwie.

Przez długi czas usługiwała dziwna dziewczyna, córka właścicieli lokalu. Na imię jej było Peggy. Miała nie więcej niż 19 lat, była ponętna przez swą kształną figurkę i prawie piękna. Wszyscy lubili patrzeć, jak chodziła żywo, z wdziękiem dziewczyny, która jest wolna i niezależna od nich. Była tu pierwszą osobą. Brud nie czepiał jej się wcale. Rozmawiano z nią z tą prostotą, z jaką rozmawia się z dzieckiem. Była ona poza zasięgiem pożądania gości. Gdy ją czasami jakiś marynarz objął, uwalniała się zaraz bardzo swobodnie nie pesząc się wcale. Kiedy przyszedłem w następnym miesiącu, nie było jej już, ale wszyscy ją wspominali, żalowali jak jasnego promienia słońca. Podobno zakochała się w jakimś marynarzu Norwegu, wyszła za niego i wyjechała.

Nie było tu nikogo jak Peggy. Przychodziła tu jedna, znacznie młodsza od niej, bardzo rozrośnięta, przyciężkawych kształtów, była najodważniejsza ze wszystkich. Często można ją było widzieć z murzynem amerykańskim na miarę Joe Luis, nie bała się pójść nawet z kilkoma.

Podstarzałe koryntianki, które jeszcze jako tako utrzymały swoje twarze i kształty, są tak sprytne i mądre, że każdego wchodzącego kandydata na amanta potrafią w lot otaksować. W prowadzonych przez siebie

rozmowach wykładają jak na żadnych akademiach świata. Wnikliwie

138

i wszechobejmująco. Słuchając tego niejednemu może się odechcieć tego najpiękniejszego uczucia na długi czas.

Jakiś młody gbur zaczął się awanturować. Gospodarz wypchnął go za drzwi. Kiedy przyszedł z powrotem, okazało się, że gospodarz potrafi bić bardzo celnie i mocno, ale po chwili znowu wrócił. Gospodarz szedł do niego zza bufetu z piorunującym wzrokiem; zdawało się, że zamorduje idiotę. Nagle w drzwiach zza kotary ukazała się głowa policjanta; to go ocaliło. Policjant wszedł, ujął go pod rękę i wyprowadził z miną przyjaciela.

Na zajście z gburem nikt nie zwraca najmniejszej uwagi. Wszyscy są syci i w upojeniu miłosnym. Radość pochłania wszystkich. Śmiech jest tu najróżnorodniejszy, może rozweselić do łez lub przerazić. Oczy wszystkim błyszczą namiętnie. Od rozpalonego piecyka bije gorąco, niektóre kobiety tańczą w celu zachwalenia swego towaru. Inne kupują pończochy bez kuponów i wciągają je zaraz na gołe nogi obnażając je do pasa.

Nikogo tu nic nie dziwi.

Czasami wynikają gwałtowne kłótnie z przekleństwami, które, jeśliby miały moc, uśmiercałyby

bardzo raptownie. Pijani spadali z krzeseł; jeśli nie mieli sił, zostawali na podłodze.

Prawo bytu a właściwie „nieumierania z głodu” było tu silniejsze od moralności i wszelkich zasad człowieczych.

O dwunastej, gdy już wszystkie interesy były ubite, wychodzono zostawiając na podłodze puste butelki od trunków i inne śmieci. Krępy właściciel zbierał pijanych, śpiących na podłodze i wyrzucał za drzwi. Na ulicy długo jeszcze było słycać rozmowy, śmiechy i piski, potem wszystko ucichało. Potem „obdarzano się wzajemnie pieniędzmi i miłością”. Robili to na ulicy, w zaułkach bram i sklepów. Wybrani szli na poddasza i do suteryn.

W tym samym czasie w Cabaret Français, w okolicy Piccadilly, słycać było nieustanny brzęk pieniędzy, przy-

139

głoszony rykiem wołających o więcej wzruszeń perfidnej miłości.

Jak w Cafe Maltese powietrze przesycone było kiłą, tak tu wypełnione było skondensowaną miłością, podsycaną perfumami i alkoholem. Było tu coś z tropikalnej burzy, przepojonej chucią z przesyty. Wszyscy żądali oszołomienia, nieprzytomności krańcowej rozkoszy. Kobiety były oczywiście koleżankami kobiet z Cafe Maltese, nosiły jednak

nazwę artystek. Samo ich, ubranie było grzechem w pojęciu niektórych ludzi. Skromniej by wyglądały nago. Stroje ich odgrywały taką samą rolę, jak czerwien w hiszpańskiej „corrida”; działały na zmysły.

Policja sumiennie pilnowała, by im nikt nie zakłócał spokoju.

\*

Lolek zakończył, wpatrując się w nas wzrokiem, który nie był brudny; widać w nim było ludzkość i bunt, coś, co może mieli marynarze z Kronsztatu, z Kielu i Barcelony.

Dłuższą chwilę siedzieliśmy w milczeniu, aż przerwał Bolek.

– Nie myślę, by zachodziła duża różnica, między jednym a drugim „przybytkiem”. Powiedziałbym nawet, że ludzie z Cafe Maltese byli moralniejsi, wtłoczeni tam siłą nędzy.

Patrząc na wzburzonego Lolka chciałem go jakoś uspokoić.

Powinieneś zostać księdzem i uczyć ludzi moralności.

Spojrzał na mnie przenikliwie i odpowiedział: – Nie mogę zostać księdzem. Jestem rewolucjonistą. Gdybym chciał uczyć ludzi moralności, litowaliby się nade mną jak nad wariatem.

Jest tylko jedno wyjście. Wysadzić w powietrze Cafe Maltese i Cabaret Français. Zniszczyć panowanie

pieniądza. Bo póki pieniądz decyduje o radości ludzkiej, ludzie będą zawsze nieszczęśliwi.

140

## SAFARI

Do Capetown wlekliśmy się przeszło trzy tygodnie, — mówił kręcąc głową i udając gniew Stelio — po to, by tam stać tydzień na kotwicy i nie wyjść na ląd.

— Wolałbyś stać tydzień dłużej w Nowym Jorku i opróżniać bar twojego krewniaka — wtrącił Antek.

— Nie, chciałbym, abyśmy jak najszybciej już szli do Aleksandrii. Przyrzekłem krewniakowi, że pozdrowię od niego ciotkę. Ucieszy się bardzo, gdy się dowie, że po wojnie przyjedzie do Salonik jej brat, prawdziwy bogacz z milionem drachm.

Lambro, wyciągnięty wygodnie w fotelu, uśmiechał się i mówił:

— Słyszałem od oficerów, że tu w Mombasie wyładujemy. Może i lepiej, nie będziesz jej łudził.

Hindus w białej koszuli, sięgającej do stóp, w różowej krymce, zbierał puste kufle ze stolika.

— Jeszcze piwo — mówił Antek zataczając ręką

półkole na znak, że dla wszystkich.

– Co to za miejsce — mówił niepocieszony Stelio. — Aleksandria — to jak Grecja, wszędzie słyszysz „Kalimera Patrioto Eleniko” i wszystko jest na nasz sposób.

Lambro spojrział na Antka i rzucił Steliowi:

– Lepiej powiedz nam coś o swoich kuzynkach.

Stelio zachnął się, lubił mówić o pięknych dziewczętach, ale o obcych: obnażał wtedy całą swoją męską duszę.

141

– Czy nosy mają takie jak Pallas Atena? — ośmielał go Antek.

– I kształty jak Helena? — dodał radośnie Lambro.

Hindus przyniósł piwo, wziął pieniądze i odszedł cicho.

Stelio, przyparty wzrokiem przyjaciół, mówił wolno:

– Dobrze, będziecie je widzieli. Ty, Lambro, nie ciesz się, przecież widziały one dużo Greków, za to ty, Antek, będziesz dla nich bardzo obcy z twoją opaloną skórą i jasnymi włosami.

Pili piwo patrząc w kufle.

– Dobrze — wymówił Autek.



— W koloniach biali piją lepsze niż w swoich krajach — poprawił Lambro.

Rozparli się wygodnie w fotelach przyglądając się pijącym. Na wielkiej werandzie na posadzce z barwnej kostki kamiennej stało wiele okrągłych stolików, pokrytych kuflami z piwem, a przy nich, zakopani w fotelach, siedzieli marynarze z marynarki wojennej w koszulkach i białych spodniach do kolan. Wszyscy pili piwo pocąc się przy tym obficie.

— Widzicie na czapkach? — mówił Antek. — Są z pancernika „Revenge”, tego samego, cośmy go widzieli w Dur-banie. Widocznie szedł z boku konwoju.

Przytaknęli mu głowami.

Jarzące światło elektryczne wylewało się z werandy na ulicę oświetlając ciżbę handlarzy, przeważnie Arabów. Sprzedawali wszystko nie wyłączając kobiet. Za nimi ulicą tłoczyli się czarni, mieszańcy i Hindusi.

Opodal nich siedziało dwóch elegantów w tropikalnych białych ubraniach w kant. Starszy wyglądał na Anglika

— pił whisky, młodszy był na pewno Grekiem — pił kawę z maleńkiej filizanki.

Lambro i Stelio zobaczywszy go zaczęli rozmawiać po grecku.

nawiązując znajomość. Po chwili przywołał swego towarzysza. Uścisnęli sobie nawzajem dłonie i usiedli razem.

Grecy rozmawiali z całą namiętnością swej melodyjnej mowy. Anglik widać dobrze ich znał, bo się uśmiechnął i skierował oczy na Antka.

„Plantator musi być” — przemknęło Antkowi przez głowę, — „długo tu siedzi i wie dużo ciekawych rzeczy o tym kraju”.

Palnął więc prosto z mostu:

– Co najwięcej popłaca tu uprawiać?

– Nie wiem — odparł spokojnie — nie jestem plantatorem, jestem „craek-shooter” — zakończył śmiejąc się.

Co to za zawód? — myślał Antek, zaniechał jednak dalszych pytań.

Szkot z Edynburga mówił o tutejszym kraju dając do zrozumienia, iż chwali sobie jego zwyczaje i życie. Śmiał się mówiąc jak przed dwoma laty był w Szkocji przez trzy miesiące, trzy miesiące deszczowe. W rezultacie nabawił się kataru i kaszlu.

Jego rodzinny klimat wyraźnie mu nie sprzyjał.

Antek opowiedział mu o zimach w swoim kraju. Szkot zatrząsł się, jakby mu się zimno zrobiło na samą myśl o tym. Widocznie tak już przesiąkł klimatem południowym.

– Gdzie to jest, chyba w Rosji? — pytał.

– Nie, w Polsce.

Szkotowi twarz rozpląnęła się w szczerości.

– Whisky dla wszystkich! — krzyknął stojącemu Hindusowi.

Antkowi w głowie utkwilo „wyborowy strzelec”. Szkot najwidoczniej zażartował sobie. Ciekawość jednak rosła w nim.

„Craek-shooter — co to za zawód?”

Szkot zaśmiał się beztrosko, jak śmieją się marynarze i lotnicy.

143

– Prowadzę Amerykanów w dżungle. Głównie tych, którzy przyjechali na „Safari” strzelać do kotów i słońi.

Antek poderwał się z fotela ze zdziwienia. Oczami szukał Hindusa.

Szkot odgadł jego myśli, przerwał mu:

– Tu nie będziemy pili, za pięć minut zamykają. Pójdziemy na balkon.

Marynarze gromadami, ze śpiewem, opuszczali werandę. Stelio i Lambro zabierali się do odejścia. Pożegnali się ze swoim krajanem i ze Szkotem czekając na Antka.

– Ja zostaję — mówił Antek — przyjdę jutro na ósmą do pracy.

Grecy wyszli. Oni w trójkę szli wolno na balkon.

Z balkonu słychać było śpiew odchodzących marynarzy. Wreszcie wszystko zamilkło i zrobiło się cicho.

Hindus przyniósł w kuble z lodem butelkę wina, nalał do szklanek i wyszedł.

Antek był podniecony, pił więcej niż zawsze. Dolewał sobie i Szkotowi. Grek opuszczał ich często nie chcąc pić za dużo, jak mówił.

– Opowiedz pan jedno safari — nalegał Antek.

Szkot nie dał się długo prosić. Oczy mu zabłyśły i zaczął:

– Przed siedmiu laty z Ameryki przyjechali filmowcy, małżonkowie Johnson. Tu wyładowali, cały swój bagaż. Było tego niemało. Prócz kamer, aparatów do kręcenia, filmów, strzelb, mieli jeszcze dwa samochody na gąsienicach, dwa samoloty, szoferów, pilotów i innych pomocników. Przez osiem miesięcy włóczyłem się z nimi po Kenii i Tanganice. Było nas wtedy, oprócz nich, trzech strzelców wyborowych. Mieliśmy łatwą robotę; za nadejściem tak licznej karawany zwierzęta uciekały z okolicy. Musieliśmy chodzić daleko od obozu, by je spotkać na ich ścieżkach, legowiskach, miejscach ich polowania i przy wodopojach. Śmieszne historie wydarzały się nam w Tanganice. Wyjechaliśmy

w trawiasty kraj, jedziemy wolno, samochód za samochodem, na dachach aparaty filmowe, przy nich

144

Johnsonowie, a obok nich, my ze strzelbami. Przed nami podrywają się leopardy, antylopy, głowy żyraf na wysokich szczytach falują z daleka nad trawą; wszystko ucieka. Zjeżdżamy na dół w stronę rzeki; trawa coraz wyższa. Powinny być tam nosorożce; zawsze je tam spotykaliśmy. Są. Po chwili widzimy je. Dwa czarne grzbiety przy sobie. Jedziemy wolniej w ich stronę, aż nagle trawa się kładzie ścieżką w naszą stronę. Kierują się prosto na nas. Zatrzymujemy samochody. Widzimy czarne grzbiety, suną jeden od drugiego o dziesięć metrów. Koledzy moi biorą na cel pierwszego, który leci prosto nas. Drugi na pewno nie zboczy, więc przejdzie koło nas, już ja go pilnuję. Po chwili strzelają dwa razy i najbliższy wali się dziesięć metrów od nas, drugi przechodzi tuż obok nas. Johnsonowie, zadowoleni, mają wspaniałą film, a przecież gdyby który wyrznął w nas, z samochodu zostałyby kupa szmelcu.

Antek dolewał Szkotowi i sobie wina. Grek częstował ich papierosami. Palili w milczeniu. Była ciemna noc. Konary drzew dosięgały balkonu, wokół ścieliła się ciemna ściana drzew. Powietrze było ciepłe i wonne. Z drzew dochodził szum owadów, granie świerszczów.

Greki przerwał milczenie:

– Jesteś złym człowiekiem, zabijasz niewinne

zwierzęta. Gdybym miał twoją zręczność zabijania, zostawiłbym te łagodne stworzenia w spokoju, a zabijałbym ludzi. Ludzie — bestie, którzy rwą w strzepy ofiary własnego gatunku i pożerają je.

— Zostaw pan te rewolucyjne zagadnienia zwariowanej Europie, tu jest przecież nieźle — odciągał go Antek chcąc usłyszeć więcej od Szkota.

— Co za dziwak z niego — poprawił Szkot. — Ten hotel, w którym siedzimy, jest jego ojca, a on myśli o takich rzeczach.

Grekowi zapaliła się sucha twarz i cedził:

— Byłem na studiach przed wojną w Grecji i widziałem jak piękna Hellada zamieniła się w brudny rynsztok

145

życia, gdzie lud żyje w takiej nędzy, że kretynieje. Winni są oczywiście nasi rodacy, burzuje greccy, którzy patriotyzm i tradycje utopili w śmierdzących brzuchach. Tam wybierzmy się na safari, a ja będę wtedy crack-shooter. Sięgnął po wino i nalał sobie pół szklanki. Widząc, że rozmowa jego nie wywołuje wielkiego, zainteresowania, zamilkł.

Antek w duszy przyznawał Grekowi rację, nie chciał aby rozmowa wyszła z dżungli. Czuł, że wino coraz bardziej rozpala go, a że sam miał przecież rewolucję w głowie, rozpętałaby się szalona dyskusja, w której oni dławiliby wszystko, a Szkot nie opowiedziałby mu o

dżungli. Zazdrościł Szkotowi, że miał takie piękne życie.

Wszyscy dobrze czuli wino. Siedzieli w zamyślonym odpoczynku.

– A czy wtedy z Johnsonami nigdy pan nie był w niebezpieczeństwie? – pytał Antek.

– W niebezpieczeństwie nie, ale raz nabawiła mnie kłopotu Osa Johnson. Wybraliśmy się na lwy. Ona niesie maleńki aparat do kręcenia filmów, a ja strzelbę. Wychodzimy z obozu na daleki pagórek i widzimy: para starych leży na bokach pod drzewem, a przy nich dwa małe baraszkują śmiesznie. Nie ruszamy się z miejsca. Wiemy, że nie będziemy mogli do nich podejść. Po chwili matka poczuła nas i zobaczyła. Zerwała się i wolno zaczęła odbiegać z małymi. Kiedy znikła nam zupełnie z oczu, posuwaliśmy się w stronę ojca. Widział nas dobrze. Podniósł się na brzuch i przysiadł na łapach. Idziemy prosto na niego, nie odchodzi jednak za rodziną, pilnuje nas bardziej niż my jego. Osłania uchodzącą matkę z małymi. Jesteśmy blisko. Wspaniały samiec, pod brzuchem prawie żółty, na grzbiecie płowy, dobrze odżywiony, ma lśniąca skórę, ogon leży bezwładnie, wielka głowa z długą grzywą, wzniesiona — patrzy na nas żółtymi, poważnymi ślepiami, jakby niewiele sobie z nas robił. Osa podchodzi coraz bliżej, idę tuż obok niej; puszcza aparat w ruch, podchodzi coraz

bliżej; idę obok niej, jesteśmy od niego ze dwadzieścia metrów. Osa ciągle idzie naprzód, nie mówię nic, by go nie poruszyć. Myślę sobie: „Chyba zwariowała baba. Chce, by jej pozował, może uśmiechnął się”. Naprawdę siedział, jakby pozował. Podnoszę kolbę pod ramię, dłonią czule uchwytyję szyjkę, palec wsuwam w cyngiel. Idziemy ciągle obok siebie. Film się kręci sycząc. Już nie mam wątpliwości, muszę go zabić, nie odejdzie, a rzuci się na nas, gdy będziemy się cofali. Przysiada na łapach, grzbiet mu się pręży, ogonem bije o ziemię. Warknął gardłowo. Osa się zatrzymuje, ja przy niej. Jest nie więcej niż dziesięć metrów od niego. Z żółtych ślepiów idzie mu ogień; uprzedzam go i biję między oczy. Zarzęził i przysiadł z powrotem; biję jeszcze raz w to samo miejsce; wyciągnął się, zaczął drzeć. Osa wciąż kręci film. Podeszliśmy do niego o krok. Kiedy rolka się wysunęła, patrzyliśmy na siebie z odrazą. Ja byłem mordercą, ona powodem.

– Szkoda go, jaki on piękny — wymówiła z żalem Osa.

– Jeśli jeszcze raz tak pani postąpi, będzie pani chodziła sama, a wtedy spotka panią to, co powinno spotkać każdego rabusia, nachodzącego cudzy dom.

Długą chwilę nic nie mówili. Grek spał wyciągnięty w fotelu.

– Która godzina? — pytał Szkot.

– Dochodzi trzecia.



– Pójdziemy spać.

Wstali. Szkot zbudził Greka. Za nim stał Hindus.

Wskazując na Antka Grek mówił Hindusowi, by go odprowadził do wolnego mieszkania.

– Dobranoc! — powiedzieli prawie jednocześnie. Antek skierował się za Hindusem. Wszedł przez otwarte drzwi do mieszkania.

– Zbudź mnie o siódmej — rzucił mu.

Hindus zamknął cicho drzwi. Antek rozebrał się i skoczył do łóżka. Przeciągnął się dwa razy i zasnął.

147

Rano ubrał się w kilka minut. Szybko schodził po schodach. Była zupełna cisza, w hotelu wszyscy spali. Skierował się na drogę, wiodącą w tunelu drzew do portu. Drzewa i trawy były skąpane w rosie, bił od nich rzeźwiący chłód. Wszedł do portu, z daleka widział nadbrzeże, przy którym stał jego statek. Było puste. Przyszedł na samo nadbrzeże; już stąd widział, że statku jego nigdzie nie było. Może odszedł w głąb rzeki albo na redę. Muszę się zapytać w kapitanacie portu — myślał sobie. Usiadł na polerze, myślał o ostatniej nocy. Wspaniała noc. Z pobliskiego pancernika płynął radosny, żywy ton sygnału, granego na trąbce. Skierował tam oczy, widział chłopaków, zmywających i czyszczących okręt. Na przednim pokładzie pod wielkimi działami około stu chłopaków w spodenkach rytmicznie i równo gimnastykowało się jak na pokazie.

Wielki kuter wiosłowy przybijał do burty chłopaki w nim byli radośnie zmęczeni. Zdawało mu się, że chciałby być z nimi. Prędko mu się odwidziało. „Im się nawet nie śni” — myślał z wyższością — „jaką ja mam wolność na, trampie”. Wstał z polera i udał się do kapitana portu.

W biurze kapitan portu z miejsca ocucił go słowami:

– Pana statek ostatniej nocy odszedł do Tangi.

– Gdzie to jest?

– Sto trzydzieści mil stąd, w Tanganice.

– Jak tam można dojechać?

– Co tydzień idzie kuter motorowy. Drogami jadą czasami trokami handlarze, Arabowie i Hindusi.

– Więc dobrze, wejdę na drogę i zajdę do Tangi.

– Drogami jest daleko, będzie około dwustu mil. ścieżkami niedaleko brzegu jest znacznie bliżej, ale zejdzie pan ze ścieżki i zginie. To niemożliwe, utłuką pana czarni albo zjedzą hieny.

– Zajdę na statek i ani mnie czarni nie zakatrupią, ani mnie hieny nie zjedzą.

148

– Zaczęło się od tego, że przez jakąś Murzynkę statek panu uciekł, a teraz zupełnie pan zwariował. W nocy, w dżungli, sam jeden bez broni, to niemożliwe.

- Możliwe.
- Powodzenia, szczęśliwej drogi.
- Dziękuję bardzo — powiedział i wyszedł.

Idąc zastanawiał się, co dla niego jest niemożliwe. Dwadzieścia dwa lata kipiały w nim całą energią pchając do niebezpiecznego głupstwa. Wspomniał Szkota i odczuł głęboką radość, że chociaż w części przeżyje to samo, co on. Zaczął śpiewać i szedł instynktem w stronę swojego statku nie myśląc wcale, że ma przed sobą sto trzydzieści mil. Przyszedł do rzeki w miejscu, gdzie motorowe pontony przewoziły przez rzekę ludzi. Byli to czarni, którzy przychodzili tu z pobliskich wiosek; niektórzy z nich tylko w opasce na biodrach, ale byli i tacy, którzy mieli rowery. Antek wyskoczył na drugi brzeg z pontonu i piął się w górę. Kiedy wyszedł na szczyt, obejrzał, się w tył. Wśród zalesionych brzegów płynęła rzeka, na niej stały statki, okręty wojenne o pięknych, smukłych kształtach. Za nimi dzielnica europejska, w dali szare miasto arabskie. Półkolem otaczała to wszystko dżungla, a z jednej strony morze. Puścił się wydeptaną szeroką ścieżką wśród traw, na południe. Z lewej błyszczał w słońcu w zupełnej ciszy ocean. Z prawej, wśród wysokich traw, rzadko rosły karłowate drzewa. Dalej wznosiły się pagórki, zieleniejące dżunglą. Blisko ścieżki pasły się małe, bure krówki i kozy; pilnowali je nieliczni Murzyni.

Minęła go gromadka czarnych. Mężczyźni szli

przodem, boso, w spodniach i w porwanych koszulach, szli wolno bez żadnych bagaży, za nimi kobiety, obładowane kurami i owocami. Wyrostki, idące z matkami, rozbiegły się na obie strony ścieżki przyglądając się Antkowi z obawą. Kiedy go minęli, weszli z powrotem na ścieżkę oglądając się trwożliwie za siebie. Minął go trok, walący głośno motorem, załadowany pakami. Spod maski motoru szedł dym

149

i para. Przy kierownicy siedział czarny szofer i blisko obok siebie trzech pasażerowie. Jechali niewiele szybciej niż Antek, który przecież szedł pieszo. Gdy go minęli, widział, jak trok skakał po wybojach i trząsał się. Łamane osie prężyły się o mało nie dotykając ziemi. Nie zazdrościł im wcale takiej jazdy. Przed nim szło kilku mężczyzn, którzy mijając go powiedzieli: „Dzambo”.

„Co to może znaczyć?” — myślał. Uśmiechali się przy tym życzliwie.

„Pozdrawiają mnie może, a ja, ostatni drań, nawet im nie odpowiadam”.

Było południe, słońce stało pionowo nad nim. Przyjemnie paliło go po twarzy i rękach, obnażonych po łokcie. Biała, cienka koszula dawała mu prawie przyjemny chłód. Dunkry, kilkakrotnie wyprane, były miękkie w dotyku. Skórzane arabskie sandały utrzymywały gołe stopy w chłodzie i zabezpieczały całkowicie przed kamieniami i suchymi gałęziami.

Szedł rażno, omal że nie chciało mu się biec. Mijający go Murzyni znów mówili do niego: „Dzambo”. Odpowiadał im podobnie sądząc, że jest to pozdrowienie.

Wokoło trawa coraz bardziej zielona, coraz więcej drzew liściastych. Ścieżka poszerzała się w drogę. Z obydwu stron rosły wysokie, zbite łodygi bananów, obciążonych wielkimi kiściami zielonych owoców.

„Gorzkie” — pomyślał i przyśpieszył kroku. Wśród bananów stały małe szałaszy z liści palm. Dalej ciągnął się sznur dużych chat. Wszystkie były z liści kokosowych. W jednej z nich nie było ściany frontowej. Przy stole z desek i grubych gałęzi siedziało kilku czarnych, którzy jedząc przyglądali się Antkowi. Przypomniało mu się, że od rana nic nie miał w ustach. Od razu poczuł wilczy apetyt i skierował się w stronę chaty. Tubylcy powstali robiąc mu miejsce na ławie. Usiadł między nimi i przyglądał im się. Byli tak ulegli, że nawet się nie zdziwili. Na stole leżały pęki owoców, duża, gliniana miska z zimnymi

150

kluskami, wielkości pierogów, przy niej w glinianym garnku — mleko. Wyjął z kieszeni szylinga i położył na stole. Wzrok czarnych skupił się na srebrzystej monecie. Może był to duży pieniądz w ich kraju, gdzie jeden pens dzieli się na dziesięć mniejszych pieniążków z dziurkami w środku, żeby je można było łatwiej nosić na sznurku. Antek sięgnął śmiało po

pieróg. Był dobry, słodki. Murzyn nalał mleka w blaszany kubek i podał mu. Jedząc próbował rozmawiać z Murzynami po angielsku, na co oni szczerzyli białe zęby w dobrotliwym, dzieciennym uśmiechu i odpowiadali wzruszeniem ramion. Po zjedzeniu dużej ilości pierogów, popitych mlekiem, Antek wstał, wziął kilka bananów w rękę, podziękował i odszedł. Szedł przez wieś jedząc banany. Wieś była duża.

Przystanął. Dolatywał go odgłos trąb i bębna. Rozróżnił nawet melodię „God Save the King”. Szedł dalej. Z chat wyglądały kędzierzawe głowy. Nie dziwiła ich jego obecność. Gdyby miał czarne włosy, na pewno wzięliby go za Araba. Między chatami była wolna przestrzeń, a w środku na ławach siedziała gromadka tubylców o potężnych, nagich torsach i dęta w błyszczące, mosiężne trąby. Czarny dyrygent przyjacielsko uśmiechał się w stronę przybysza; nie byłby wcale zdziwiony, gdyby zaczęli rżnąć, marsza na jego powitanie. Marsza jednak nie zagrali. Minął ich i wyszedł ze wsi. Trąby ucichły i znów był sam. Z tyłu doszedł go szum. Obejrzał się. Piękna, żółta limuzyna chyżo sunęła w jego stronę.

Stanął jak wryty. Kontrast przechodził jego pojęcie. Limuzyna zrównała się z nim, dygnęła na resorach i zatrzymała się. Wyskoczył z niej zręcznie mężczyzna słusznego wzrostu. Mocne ramiona w krótkich rękawach białej koszuli odpowiadały jego pociągłej, energicznej twarzy. Patrząc na Antka przenikliwie, zapytał go w tonie podejrzliwym:

– Co pan tu robi?

151

Antek nie śpieszył się z odpowiedzią. Obejrzał go od stóp do głowy. Spojrzał na samochód. Przy kierownicy siedział askar w czerwonej czapeczce, przypominającej nakrycie głowy chłopców hotelowych w Europie. Twarz miał czarną jak smoła, z bliznami, a na rękawie koszuli w kolorze khaki miał trzy piątki. Przed nim w rogu na szybie widniała kartka z napisem „Police”. Zrozumiał teraz wszystko. Spojrzał białemu w przenikliwe oczy, by zakłócić ich powagę, i miast odpowiedzi zaśmiał się bez troski.

– Co pan tu robi? — usłyszał po raz drugi tym samym tonem.

– Idę sobie — odpowiedział Antek.

– Dokąd?

– Do Tangi.

– Po co?

– Na mój statek, który mi dziś uciekł z Mombasy.

– Marynarz?

– Tak.

– Dokumenty.

Wyjął z kieszeni wydaną w Anglii kartę rejestracyjną z fotografią i podał mu ją.

Biały czytając oderwał oczy i spojrzał Antkowi w twarz porównując z fotografią. Gdy skończył czytać, skierował się do samochodu. Nastawił radio i wołał urząd policyjny w Mombasie. Kiedy mu odpowiedzieli, podał nazwę statku i nazwisko Antka bardzo je zniekształcając. Czekał chwilę, zanim policja połączyła się z kapitanatem portu. Odpowiedź ich potwierdziła słowa Antka. Wyskoczył więc z samochodu z legitymacją w rękę i z mniej już ostrym wyrazem twarzy zwrócił Antkowi dokumenty mówiąc:

– Wszystko w porządku. Czasami nam się trafia, że łapiemy przechodzących tędy dezertersów z Abisynii, idących do Afryki Południowej.

152

– Idą aż tak daleko?—zauważył Antek. — Więc moje sto trzydzieści mil, to spacer. Czy udaje im się to, chociaż?

– Niektórym tak. Przy pomocy kolonistów niemieckich, holenderskich, skandynawskich i różnych Szwajcarów.

Antek chwilę patrzył na słońce gotując się do odejścia.

– Daleka droga — powiedział policjant.

– Przyjemniejsza niż pana w limuzynie.

– Ja też tak kiedyś mówiłem — dodał właściciel limuzyny.

Pożegnali się.



Samochód odjechał w stronę wsi. Antek skierował swoim szlakiem na południe. Szedł coraz szybciej skacząc przez większe wyrwy. Nogi rwały mu się do biegu. Hamowała go jednak myśl, że może jeszcze będzie musiał biec. Słońce grzało łagodnie. Dżungla nie była tak jaskrawa jak w południe. Nie spotykał teraz tubylców. Ścieżka pięła się coraz wyżej w górę. Pagórki z prawej strony były wysokie i bardzo rozległe, pod nimi rosły olbrzymie drzewa, rozłożyste i podkręcane. „Baobaby” — przeszło mu przez myśl. Słońce wyraźnie chyliło się ku zachodowi. W dolinach kładł się cień. Czuby pagórków błyszcząły jeszcze w złotym świetle ciemniejąc powoli. Niebo również siniało stopniowo, aż zrobiło się ciemnogrnatowe. Powietrze było wciąż ciepłe ale pozbawione słonecznego żaru. Ściemniło się zupełnie. Jaskrawo błyszczące gwiazdy pokryły granat nieba oświetlając dżunglę, od której teraz szedł silny pach. W ciągu dnia zapach ten był przytłumiony żarem słońca. Teraz w rosie, wszystko dyszało wonią. Ścieżka pięła się w górę. Nie trudno ją rozpoznać, jest bowiem szeroka i jaśniejsza od wysokiej trawy. Przechodził czasem przez takie miejsca, w których woń po prostu odurza. Chce się wtedy legnąć na trawie, jak bestii, i spać tak aż do wschodu słońca. Ścieżka schodzi teraz w dół. Karłowate krzaki kończą się; trawa jest mokra i miękka. Antek zatrzymał się. Przed nim ścieliło się pole światła. Tysiące

153

świecących owadów unosiło się tuż nad mokrą trawą.

Latające ogniki przecinały się ze sobą, jak prawdziwy ogień. Gdyby był zabobonny, na pewno bałby się. Antek patrzył na to w niemym zachwycie. Latały nad jego ścieżką, szedł wśród nich, jakby kąpał się w ich niebieskawym ogniu. Po kamieniach minął maleńką strugę. Zaczął myśleć o niebezpieczeństwie, Gdyby ktoś chciał go skrzywdzić — łatwo by mu to nie przyszło. Wyjął z kieszeni duży, stalowy nóż sprężynowy. Pomacał go, otworzył, z powrotem zamknął i włożył do kieszeni. W potrzebie wyjąć z kieszeni i otworzyć, było dla niego kwestią ułamka sekundy. Pilnował teraz lepiej ścieżki. Uważnie badał oczami krzaki, obok których miał przechodzić. Wsłuchiwał się we wszystkie szmery. Szedł lekko i cicho jak kot. Nie bał się. Był zdecydowany na wszystko. Zza drzew wyszedł jaskrawy księżyc oświetlając mu wygodnie ścieżkę, przez którą wolno przeszły płaszcząc się do ziemi dwa zwierzątka wielkości średnich psów. Skoczył do leżących obok kamieni i ciskał za nimi w trawę z całą siłą i celnością. Z trawy doszedł go gniewny z bólu kwik. Ciskał dalej. Potem nasłuchiwał. Nie słyszał nic. Wybrał duży, okrągły kamień i trzymając go w dłoni, szedł wolno. Przeszedł tak z pół kilometra. Wreszcie zaczął się śmiać sam z siebie i rzucił kamień precz. „Hieny” — przeszło mu przez głowę. Był teraz dużo pewniejszy siebie i nie czuł się bezbronny. Księżyc szedł coraz wyżej srebrząc ciepłe, wonne powietrze i dżunglę. Zdawało mu się, że z kierunku, w którym idzie, dochodzi, jakiś szmer. Przystanął. Dziwny szmer. Powietrze jak gdyby delikatnie drgało. Szedł dalej. Chwilami szmer

przechodził w łoskot. Słyszał słabe; bardzo rytmiczne, bicie bębna: tam-tam. Rozjaśniło mu się. Chwilami bęben wybuchał z szumem w pojedynczych odgłosach. Przyśpieszał i rwał przeciw taktowi, zwalniał, ale nie milkł. Uczuł radość — przecież tam ludzie się bawią. Bęben bił coraz głośniej. Wyiskrzona noc, dżungla, odurzające powietrze drgało od bębna. Tak, to była Afryka

154

– czuł ją. Patrzył na księżyc: takiego jasnego księżyca nie ma w jego kraju. Przez dżunglę płynęła muzyka. Bęben ucichał i wybuchał z większą siłą. Doszła go wrzawa głosów. Ścieżka wciąż wiodła w stronę głosu bębna. Powietrze coraz mocniej drżało. Z boku ścieżki wił się w górę ogień. Skierował się w stronę ognia. Obskoczyły go psy. Mocno ujadały, nie zbliżały się jednak do niego. Przyszedł na skraj polany; na środku palił się wielki ogień. Tubylcy byli tak pochłonięci zabawą, że nie zwracali uwagi na szczekanie psów. Wszedł w sam środek gromady siedzących ciał.

Najbliżsi powstali i stanęli przy nim nie mówiąc do niego nic. Po chwili przyszedł tubylec z domieszką białej krwi, uprzejmie pozdrowił go po angielsku rozganiając ciekawych.

Usiedli. Mieszaniec biegle mówił po angielsku; był poborcą podatków. Poczęstował Antka papierosem. Ten nie bardzo słuchał jego niekończącej się mowy, zbyt był pochłonięty tym, co się wokół niego działo. Wokół

ogniska siedzieli lub leżeli nadzy prawie tubylcy. Kobiety miały takie same przepaski na biodrach jak mężczyźni. Były roześmiane i gadatliwe. Często zrywał się śmiech: szczęśliwy, pierwotny śmiech. Nie było między nimi czarownika i wojowników z włóczniami. Nastaly dla nich czasy pracy i płacenia podatków. Kiedyś, dawno, biali piraci polowali na nich i sprzedawali w Ameryce jako czarny towar. Może i Antek byłby wtedy piratem. W widocznym miejscu siedział smukły, muskularny młodzieniec z bębmem w rodzaju konwi i walił otwartymi dłońmi w oba końce. Ucichł i znów rozpoczął na nowo. Bił szybko i mocno. Bęben huczał rytmicznie, jednostajnie. Z koła siedzących poderwali się młodzieńcy. Rozpoczęli bieg wokoło ognia, po czym stanęli kołem, plecami do ognia i w takt podbiegali kilka kroków w różne strony wymachując przy tym rękami.

— Jest to ich taniec wojenny, kiedyś tańczyli z włóczniami — objaśnił go Mulat.

155

Tańczący, zmęczeni, usiedli z powrotem na swoich miejscach.

Młody chłopak przyniósł im w glinianym dzbanku jakiś napój. Mulat nalał go do takiego samego dzbanka i podał Antkowi.

Spróbował.

Miał smak kwaśnego, mocnego piwa. Wychylił kubek

do dna.

– Dobrze — zachwalał Mulat — to piwo kokosowe.

– Bardzo dobre — potwierdził Antek. — Do jakiego szczepu należą ci ludzie?

– Swaheli.

Bęben znów huczał tak rytmicznie, że siedzący uderzali się po udach i drżeli. Z gromady wyszła wysoka dziewczyna. W płasach wolno obiegnęła ogień. Zatrzymała się. Tupała w miejscu bosymi stopami, ręce wyrzucała do tyłu i patrzyła w ziemię. Bęben przycichał i wybuchał nowymi taktami, rwał i wybijał przeciwtakt. Tancerka wyprostowała się i przegięła się w tył. Ręce splotła nad głową, pokrytą pierścieniami włosów. Oczy jej błyszczały dziką namiętnością. Nagle bujne piersi przybrały kształt okrągły przylegając jak do posągu. Poniżej szczupłej talii biodra z dwoma załamaniem, biodra pierwotnej kobiety, stworzone do błógięgo lenistwa i rodzenia dzieci. Pełne uda. Czarne uda są lepsze od białych. Białe kobiety mogą być zazdrosne o te czarne uda. Nogi wcięte w kolanach szły przyciężkawą linią do dużych stóp. Gięła się całym ciałem, zataczała biodrami. Puściła ręce wolno, zgięła nogi w kolanach, ociążale skręcała się w tułowiu drząc plecami. Koło otaczające ogień uciszyło się. Antek nie odrywał od niej oczu. Księżyc oświetlał ją jak poganę, tańczącą swą modlitwę. Bęben bił coraz szybciej, szybciej i szybciej. Potrząsnęła głową. Biodra i brzuch wirowały wyprzedzając bęben. Z oczu jej bił żar

ekstazy. Zaczęła drżeć całym ciałem. Z koła siedzących wyrwało się radosne dzikie: „Jahaaaaa!!!”. Wyrzuciła ręce w tył, ponad głowę. Zdawało

156

się, że upadnie. Podbiegł do niej olbrzym, chwycił w pól, przerzucił przez biodro i odszedł w pobliską dżunglę.

– To jego dziewczyna — wyjaśnił Antkowi administrator.

– Piękna — odpowiedział Antek.

Bęben jeszcze bił. Nie było wielu chętnych do tańca.

Z dżungli rozległy się nawoływania i radosne śmiechy. Co chwila jakaś para odchodziła od ognia. Nie wszystkie szły spokojnie. Chłopaki ciągnęli za ręce swoje wybrane wśród pisku i śmiechu. Nie zważali na upór, może pozorny, udany upór. Siła decydowała. Pozostałe dziewczęta drżały jeszcze w takt bębna, aż i one odeszły, a za nimi muzykant. Przy ognisku zrobiło się pusto.

Widowisko urwało się i Antek poczuł się sam. „Szczęśliwi ludzie” — myślał. — „Instynkt jest ich prawem życia”

– Pójdziemy spać — wyrwał go z zamyślenia administrator.

Wstał i szedł razem z nim.

Mulat zabrał go do swojej trzcinowej chaty, zrobił mu posłanie i dał mu bawełnianą derkę do przykrycia.

Antek nie mógł zasnąć, w chacie było duszno i komary go cięły. Wstał, wziął derkę i wyszedł z chaty. Przeszedł do opuszczonego ogniska, poprawił je, dosunął grube polana, by długo trzymały ogień. Tu komary przestały go prześladować. Owinął się w derkę i zasnął.

Kiedy wstał rano, wierzchołki drzew błyszcząły już w słońcu. Przyjemne, chłodne powietrze orzeźwiało go po gorącej, odurzającej nocy. Metys w chacie już nie spał. Antek zjadł kilka jaj i popił kozim mlekiem. Pożegnał go i wyszedł. W wiosce było cicho, wszyscy spali po nocnych tańcach. Morza już nie widział, widocznie wszedł mocno w ląd. W tej chwili zresztą nie obchodziło go ono bardzo. Najważniejsza była ścieżka i słońce, wskazujące mu południe. W miejscach, gdzie trawa nie rosła, widział wyraźnie ślady kół samochodowych. Ścieżka wiała się miłąkim, żółtym piaskiem. Ślady kół wyciskały się tu dwiema koleinami.

157

„Jak w Polsce” — pomyślał. — „Tylko u nas od chłopskich furmanek, a tu od samochodów”.

Wozów zaprzęzonych w konie nie było tu wcale, a i samochody nie pokazywały się. Słońce grzało coraz mocniej. Szedł coraz prędzej. W dali widział zbite konary rosnących drzew. W cieniu odczuł przyjemny chłód. Ścieżka wiała się między drzewami. Konary

mangowców zakrywały zupełnie słońce. Szedł pod nimi w mroku. Często wypatrywał słońce między konarami, porównywał kierunek i szedł dalej. Napił się wody ze strugi płosząc pięknie upierzone ptaki. Przy skraju drzew poderwało się z ziemi stado maleńkich małp. Zręcznie powdrapywały się na drzewo i zaciekawione przyglądały się. Kiedy je minął, pozłaziły z powrotem na ziemię i piszcząc zebrały się w gromadę. Po naradzie jedne powspinały się na drzewa skacząc po gałęziach, pozostałe w podskokach biegły za nimi. Drzewa się skończyły. Przed nim ścieliła się skąpana w słońcu trawiasta przestrzeń, gdzieniegdzie porośla krzakami i pojedynczymi drzewami aż do horyzontu. Małpy zatrzymały się. Tu się kończył ich kraj. Bały się wyjść na otwartą przestrzeń, gdzie stałyby się łatwym łupem wielkich kotów. Obejrzał je jeszcze raz. Weselej by mu było, gdyby pobiegły za nim. Przyjemny chłód się skończył, oblał go żar słońca.

Nie było jeszcze południa, słońce nie sięgało największej wysokości. Nie widział żadnych zwierząt wokoło. Przyśpieszył kroku. Łatwo mu się szło po wygodnej, jak strzała prostej ścieżce. Szedł coraz szybciej, instynktownie chciał jak najszybciej przebyć tę przestrzeń. Pasące się małe antylopy, z poskręcanyimi w świderok rogami, na jego widok umknęły w wysoką trawę. Znikły od razu, tylko falująca trawa znaczyła ich bieg. Czuł wzmagający się upał. Przelatywały nad nim wielkie jastrzębie. Wysoko w górze kołowały olbrzymie sępy. „Głodne” — pomyślał. Żar doskwierał coraz bardziej. Słońce stało nad samą głową. Niebo



błyszcząco jasnym błękitem opustoszało.

158

Jastrzębie i sępy pochowały się w cieniu gałęzi drzew. Słońce zapędziło wszystkie zwierzęta w cienie drzew. Samotne drzewa sterczały nieruchomo. Przypomniała mu się wiejąca bryza, która w upalny dzień na pokładzie statku daje świeżość i ochłodę. Z drzewa, rosnącego tuż przy ścieżce, z najniższych gałęzi, zerwały się niechętnie ociążałe sępy i schowały się zaraz pod najbliższym drzewem.

Skóra na Antku zrobiła się sucha. Nie pocił się już. Chciało mu się pić. Zmęczenia jednak nie czuł. Żar się już nie wzmagał. Odczuł ulgę. Słońce schodziło coraz niżej. Znowu pokazały się po południowej drzemce sępy, kołujące na niebie. Antek nie czuł potrzeby wypoczynku. Nogi same go niosły i odnajdywały ścieżkę. Oddychał coraz głębiej i lżej, południowy żar minął. Słońce zbliżało się coraz bardziej do horyzontu. Pragnienie zupełnie minęło. Rosnąca dokoła trawa była teraz zieleńsza i nie tak wyschnięta. Przed nim równą linią, znacznie wyżej od trawy, wznosiły się jakieś zbite łądygi. „Trzcina cukrową” — wpadło mu na myśl. Ułamał jedną, grubą jak ręka w napiętku. W ułamanym miejscu skóra podnosiła się płatami. Zdarł ją. Pod skórą wodnił się miękki, trawiasty miąższ. Idąc, niósł w ręce łądygę gryząc ją po kawałku, miażdżył zębami i żuł, potem połykał słodką ciecz i włókna wypluwał. Gdy skończył jedną, ułamał drugą i znowu jadł. Idąc pił i posilał się. Zbite łądygi wciąż rosły, jak gdyby nigdy

nie miały się skończyć. Antek zaprzestał żuć trzcinę. Był prawie syty. Ziemia była coraz bardziej wilgotna. Z maleńkiej strugi napił się wody. Z prawej strony ogromne, czerwone słońce blisko horyzontu; jaskrawy, promienny dzień miał się ku końcowi. Naprzeciw Antka między trzciniami sunął odkryty samochód. Zszedł więc ze środka drogi. Wymijający samochód zwolnił biegu. Z wnętrza przyglądał się Antkowi biały pan, piękna, młoda kobieta i dwoję małych, ślicznych dzieci. Antek zwykle patrzył na tego rodzaju ludzi zadzierzyście i wyzywająco

159

odstraszając ich w ten sposób od siebie albo zniżał ich do swego poziomu, jeżeli miał mieć z nimi styczność. Poważny pan i piękna pani odwrócili obojętnie głowy od jego wzroku. Jedynie zdziwione dzieci przyglądały mu się w dalszym ciągu. Samochód szybko zniknął mu sprzed oczu. Nad trzciniami wystawała olbrzymia rura komina. Ścieżkami z trzciniami wracali z pracy tubylcy z olbrzymimi nożami do cięcia trzciny. „Potężna broń” – pomyślał.

Było już szaro, gdy mijał wielkie szopy fabryczne. Pod jedną z nich stały małe wagoniki z trzcina, przeznaczoną na cukier. Czarni kończyli pracę i szli do swoich chat. Minąwszy niskie chatki murzyńskie szedł wzdłuż toru, przeznaczonego dla maleńkich wagoników. Słońce zaszło i robiło się szaro. Pola trzcinowe kończyły się i zaczynała się dżungla. Jadący za Antkiem samochód nie obchodził go wcale. Nagle,

tuż przed nim zatrzymał się. Siedziało w nim kilku Hindusów. Po chwili z samochodu wyszedł Hinduś w białym ubraniu. Stał na drodze i przyjacielsko przyglądał się Antkowi.

– Dokąd pan idzie? — spytał łagodnym głosem.

– Do Tangi.

– Zna pan drogę?

Antek uśmiechnął się i opowiedział mu krótko cel swojej podróży.

– Na razie jest to niemożliwe — tłumaczył Hinduś. — Zaraz się ściemni. Ta ścieżka po dwóch milach zginie w bagnie, które ciągnie się aż trzydzieści mil na południe.

Mówił tak prosto i przekonująco, że Antek tylko głębiej patrzył mu w oczy.

– Niech pan jedzie z nami — proponował Hinduś. — Prześpi się pan, a jutro pomyślimy o dalszej drodze.

Ujął go pod ramię i prowadził do samochodu, Antek nie opierał się, czuł nawet wdzięczność dla Hindusa. Wcisnęli go między młodego Hindusa i dziewczynę w jego wieku, i tak jechali w milczeniu. Przyglądali mu się z życzliwym uśmiechem, a on dziękował im oczami myśląc o trzydziestomilowej,

160

bagnistej topieli. Jechali z powrotem przez wieś. Stanęli przed fabrycznymi szopami z wielkim kominem.

Młodzieniec, siedzący przy Antku, wyskoczył z samochodu i zniknął w zabudowaniach. Antek przyglądał się dziewczynie, która miała śniadą skórę i krucze włosy, zaczesane w tył grubym węzłem. Czarne, głębokie, marzące oczy omijały jego wzrok. Bardzo była podobna do Cyganki.

Z szopy wyszedł Hindus z Europejczykiem, któremu prawdopodobnie już wszystko opowiedział, bo ten szedł w kierunku Antka z dłonią wyciągniętą do męskiego uścisku.

– Biorę pana do swego mieszkania.

– Doskonale — odparł Antek z uśmiechem.

Odjeżdżającym Hindusom krzyknął podziękowanie.

Stali teraz obok siebie rozmawiając wesoło. Czuli łącznie ze względu na pokrewny kolor ich skór. Nowopoznany Europejczyk wyglądał na człowieka przepracowanego. Skarżył się zresztą na nawał pracy. Wszystkie maszyny były pod jego okiem, był inżynierem, majstrem i mechanikiem, mając do pomocy drużynę, składającą się ze zdolniejszych tubylców.

Tubylcy, ciekawi jak dzieci, zbiegli się z całej wsi, otoczyli ich kołem przyglądając się białemu. Anglikowi nie bardzo się to podobało. Zawołał więc po imieniu kilku atletycznie zbudowanych Murzynów. Ci jak gdyby tylko czekali na to. Z dziką pasją szerzyli panikę okładając pięściami swoich współziomków. Kiedy oczyścili plac sami stanęli w odpowiedniej odległości.

Antek z Anglikiem weszli do podjeżdżającego sportowego samochodu, prowadzonego przez tubylca. Anglik wygodnie usiadł i odpoczywał. Antek myślał o tym, co przeżył w przeciągu dwóch ostatnich dni, i uśmiechał się upewniając się, że to wszystko, co się wokół niego dzieje jest rzeczywistością.

Samochód zatrzymał się przed białym bungalow. Szofer otworzył im drzwi. Było ciemno. Na ganku zabłysło elektryczne

161

światło. Usiedli w skórzanych fotelach w udywanionym salonie. Czarny lokaj przyniósł na tacy szklanki.

— Odpoczniemy chwilę — mówił inżynier — umyjemy się i pojedziemy na kolację do jedynej, żyjącej tu białej rodziny.

„Czyżby ta, którą widziałem na drodze?” — myślał Antek. — „A niech tam, co mi to szkodzi”.

Po chwili młoda, jędrna dziewczyna zaprowadziła go do łazienki. „Niezlą ma służbę inżynier” — myślał, patrząc na nią.

Po kąpieli czuł, że skóra promienieje, przesycona słońcem. Znów poczuł siłę w całym ciele.

Poszli na kolację. Nie było daleko. Szli prosto do oświetlonych okien. Murzyn, siedzący na schodkach, otworzył im drzwi. W dużym pokoju siedziała na dywanie piękna kobieta i bawiła się z dwojgiem

roześmianych dzieci. Obok na kanapce mężczyzna czytał książkę.

„Ci sami” — pomyślał Antek łagodniejąc.

Mężczyzna przerwał czytanie książki, kobieta wstała z podłogi.

– Przyszliśmy na kolację — mówił śmiejąc się inżynier.

– Myśmy pana widzieli — mówiła zdziwiona kobieta.

– Tak, to marynarz idący na swój statek do Tangi — wyjaśnił inżynier.

Gospodarze podeszli do Antka i uścisnęli mu dłonie.

Usiedli w fotelach. Przyszedł do niego chłopiec, który miał lat może pięć, i dziewczynka — trzy. Patrzyli na niego jasnymi oczami, darząc go zaufaniem. Matka zbliżyła się za nimi i kobiecym uśmiechem, pełnym dumy, przedstawiła mu dzieci, poważnie, tak jak dorosłych ludzi.

Angielska tradycja mówi, że gości przyjmuje się „drinkiem”. Po dwóch kieliszkach Antek opowiedział im, jaki jest cel jego podróży.

– Czy pan był kiedyś przedtem w dżungli ? — pytał gospodarz domu.

162

– Nie.

– Ma pan sporo odwagi.

– Myślę, że jest bezpiecznie. — stwierdził Antek.

– W zeszłym tygodniu, blisko nas, lampart rozdarł Murzynkę — informował Antka gospodarz.

Piękna gospodyni domu patrzyła na gościa ze zdziwieniem a zarazem z obawą.

Inżynier przytaknął głową.

– Przecież ja nie jestem Murzynką — zauważył Antek. Wybuchnęli śmiechem.

Gospodarz domu był Anglikiem z Afryki Południowej, żona jego pochodziła z Londynu. On był aż do przesady typem Anglika: powolny, opanowany i pozornie obojętny, ona — wesoła i bardzo rozmowna. Pytała się o West End, Trafalgar Square, Hyde Park, defilady, parady i zabawy żołnierskie.

Gdy Antek jej powiedział, że wszystko istnieje — ucieszyła się.

– Chciałabym to jeszcze zobaczyć — mówiła.

O, tak, po wojnie pojedzie na kilka miesięcy do Anglii.

Poszli do innego pokoju na kolację. Na stole było pełno najrozmaitszych potraw i nieznanych mu owoców. Starał się nie jeść tak jak na statku, gdzie jadł szybko zaczynając od tego, co mu się podobało. Gospodyni z zachęcającym uśmiechem podawała mu

rozmaite talerze i półmiski.

Po kolacji wyszła z dziećmi, położyła je spać i wróciła do salonu. Antek zauważył, że przez cały wieczór nie słyszał, aby jej mąż przemówił do niej choć jedno słowo.

Ona wyglądała jednak na szczęśliwą kobietę, nie była więc chyba obojętna swojemu mężowi.

Rozmawiali o wojnie, polityce i czasach powojennych.

Poważnie przejęli się podróżą, czekającą Antka, który dowiedział się od nich, że więcej niż pół drogi już przebył, a przejść na południe nie podobna.

— A więc trzeba popłynąć — dopomógł im planować.

163

— Możliwe — odpowiedział flegmatycznie gospodarz — o kilka mil stąd mieszkają rybacy, mają łodzie żaglowe. Poślę po nich wczesnym rankiem.

Wszyscy zgodzili się na takie załatwienie sprawy.

— A co to za jedni, ci Hindusi? — pytał Antek.

— To właściciele plantacji i cukrowni — odpowiedział inżynier.

Antek ze zdziwieniem pomyślał, że ci wytworni Anglicy pracowali dla Hindusów.

Goście po nasyceniu się swoją gadatliwością



pożegnali się i wyszli.

Tej nocy Antek spał we wspaniałym łóżku czując się jak gdyby był zawieszony w powietrzu, nic go bowiem nie ugniatało. Nic sobie nie robił z głośnych i głodnych komarów, latających za moskitierą.

Rano rosły tubylec czekał na niego przed gankiem. Pod pachą trzymał dużą paczkę z żywnością, podarunek od gospodyni.

Inżynier, powiedział mu, że wszystko załatwił.

– Pójdzie pan — mówił — z nim ze dwie mile do rzekł. Tam czekają rybacy z żaglówką, którą zabiorą pana trzydzieści mil na południe, a stamtąd już będzie łatwo. Troki chodzą aż do Tangi. Powodzenia!

Niedługo doszli do rzeki; szli brzegiem w dół; po drugiej stronie leżały nieprzebyte bagna. Rzeka rozlewała się tworząc małą zatokę, w której stało kilka łódek. Na ich widok paru siedzących krajowców poderwało się. Przewodnik przez dłuższą chwilę energicznie coś do nich mówił. Gdy skończył, wzięli się do roboty. Brodząc w wodzie po kolana nieśli na największą łódkę wiosła, maszt, niezwykle długi bambusowy bałm, żagiel i pożywienie w węzełkach. Uzbroili łódkę. Trzech smukłych chłopaków wskoczyło do środka wskazując miejsce Antkowi. Dwóch wiosłowało krótkimi wiosłami z szerokimi okrągłymi piórami, zakończonymi ostro, trzeci siedział na rufie i sterował takim samym wiosłem. Płynęli szybko środkiem nurtu, Mijali liczne

piaszczyste wyspy. Brzegi pokryte były zbitą, poplątaną roślinnością. Gdzieniegdzie strzelały w górę wysokie palmy. Rzucili wiosła, wciągnęli na krótki maszt olbrzymi arabski żagiel na bambusie. Łódź z miejsca zerwała się w chyży bieg. Antek siedział przy sterniku, przyglądał się rybakom; byli doskonałymi marynarzami. Patrzył na rzekę i brzegi, był pasażerem i trwał w lenistwie. Przed nim błysnął ocean z lewej strony na cyplu, na wysokim maszcie powiewał Union Jack. Przy maszcie na piasku stała mała chatka, w której stronę łódź sterowała. Przybili do brzegu i wyszli. Czekał na nich arab, tak czarny jak Murzyn. Sternik rozmawiał z nimi chwilę. Arab był kontrolerem ujścia rzeki. Zbliżył się do Antka pozdrawiając go po angielsku. Krajowcy spuścili żagiel wyciągając łódź na brzeg.

— Czy oni nie myślą płynąć? — pytał Antek Araba.

— Za duży wiatr — odpowiedział wskazując głową w kierunku morza.

Z północo-wschodu w stronę lądu toczyły się wielkie, zielone wały wody z białymi grzywaczami na wierzchu. Wiatr był sprzyjający, ale za silny. Może się bali, by ich nie zepchnął na bagnisty, najeżony korzeniami brzeg.

Krajowcy udali się do przyległej wioski, za nimi szedł Antek rozmawiając z Arabem.

Za wysokim brzegiem, porośłym palmami, była

wioska. Antek przeszedł się wzdłuż wioski w towarzystwie Araba. Arab szedł sztywno. Krajowcy pozdrawiali go nie wszczynając z nim rozmowy; widocznie był tu ważną osobistością. Chatki były wszystkie jednakowe, okrągłe, pokryte ostrymi stożkowatymi dachami. Na placu w środku wsi skupiało się całe życie; najwięcej czynne były kobiety. Przy kilku ogniskach gotowały strawę, znosiły owoce, inne mruczając i wyjąc jakąś melodię tłukły kijami w dużych konwiach proso. Mężczyźni leżeli w cieniu dachów i chat, pykali fajki. Bardziej pracowici pędzili krowy na ubój i przynosili ryby w plecionych z wikliny koszykach. Za

165

chatami były małe półka z różnymi warzywami. Dziewczyny, tłukące proso, przyglądały się Antkowi. Były wesołe i często wybuchały śmiechem. Te, które niosły owoce, przechodziły blisko niego, by się lepiej przyjrzeć. Patrzył na nie z uśmiechem; niektóre były dobrze zbudowane i piękne w swojej nagości. Z chat wychodziły inne, jedna z nich miała jaśniejszą skórę i zaokrąglone kształty arabskie; widocznie jakiś kupiec arabski ją tu zostawił. Przechodząc blisko obok nowoprzybyłego odwróciła się i patrzyła na niego przytrzymując ręką pęk owoców na głowie. On również patrzył na nią. Była zgrabna, szczupła w pasie, drobna w plecach i o pięknie zaokrąglonych biodrach. Wracając bez ciężaru na głowie utkwiała w nim czarne oczy, pełne żaru. Nie było w nich psiej uległości, jaką

miały Murzynki. Szła wyprostowana przyspieszonym krokiem.

Arab znacząco spojrział na Antka z chęcią przywołania jej. Antek wstrząsnął głową.

Po chwili skierował się na brzeg, podszedł blisko do wyciągniętej łodzi i usiadł na piasku. Był tak obcy tym ludziom, że najlepiej czuł się sam. Pod silnym wrażeniem otaczającej go natury był zupełnie szczęśliwy i niczego nie pragnął. Nie odwrócił głowy na odgłos kroków. Przed nim stała pół-krwi Arabka z owocami w dłoniach. Położyła owoce przy nim i usiadła mu przy stopach. Patrzyła mu w oczy żarliwie i ulegle. Próbował z nią rozmawiać. Nie rozumiała jednak angielskiego. Była smutna. Śmiał się do niej, aby ją rozweselić. W oczach jej mignął radosny ognik, ale po chwili znów spoważniała. Ujął ją pod ramię i przysunął blisko do siebie. Była uległa. Podłożyła sobie dłoń pod głowę i legła tuż przy nim. Patrzył na obnażone piersi, na opaskę z perkalu na biodrach, na gołe uda. Na chwilę oczy jej zabłysły w uśmiechu. Antek pogładził ją po

głowie. Ona znów patrzyła na niego. Oczy jej błagały, kusiły, zniewalały. Objął ją wpół i przysunął bliżej. „A niech tam” – pomyślał – „niech się dowiedzą biali”.

166

Leżał na mokrym piasku w sytym zmęczeniu dzikiego, nie myślał o niczym i nie pragnął niczego. Dziewczyna nagle się poderwała. Obejrzał się. Szedł do

nich Arab z załogą żaglówki.

Przyszli na brzeg w ciszy, patrzyli na ocean. Sternik zaczął głośno krzyczeć:

– Safari!

Antek podszedł do nich.

– Co to znaczy „safari”? — pytał Araba.

– Słowo to oznacza każdą podróż w języku Swaheli — odpowiedział ku jego zdziwieniu.

Safari, tak to przecież jego safari. Czuł, że radość w nim kipi i promienieje. Za plecami słyszał kłótnię. Dziewczyna rozpaczliwie, ostro kłóciła się z krajowcami.

– Ona chce z panem jechać — objaśniał mu Arab.

– Jak chce, to pojedzie.

Antek zdecydował, uciszył krajowców. Jeden z nich miał zostać, a zamiast niego miała jechać dziewczyna.

– Jak jej na imię? — pytał Araba Antek.

– Rani

– Chodź, Rani — powiedział Antek.

Objął ją wpół i zaprowadził do łódki. Wioślarze zepchnęli łódź z piasku i wskoczyli do niej. Arab machał do nich ręką na pożegnanie. Wielki żagiel schwycił wiatr i lekko pod wiatr płynęli oddalając się

od brzegu. Rani uśmiechnięta siedziała przy sterze. Jeden z krajowców wskoczył na przeciwwagę, by zapobiec wywróceniu się łodzi. Faluka była doskonałą mieszaniną; miała kadłub długości siedmiu metrów, bardzo wąski, wydrążony z pnia, dwie, wystające obydwu stron polinezyjskie przeciwwagi z pniaków, i żagiel arabski, trójkątny, na krótkim maszcie, przyczepiony do długiego bambusowego bałmu, idący ukośnie do samej łodzi, zaczepiony luźno na szczycie masztu i wznoszący się wysoko w górę. Usiadł na rufie przy Rani, która sterowała bardzo wprawnie krótkim włosiem, wpatrywała się w Antka z przywiązaniem i uwielbieniem. „Doskonała żona

167

wojenna” — pomyślał. Faluka pędziła, mogłaby iść w zawody z naszymi jachtami wyścigowymi. Murzyn na przeciwwadze, zgięty w kadłubie, przysiadł i prostował się trzymając się obydwu rękami sztagu. Kiedy schodzili z wału wody, łódź przez chwilę nie dotykała wody. Sycząc, hucząc i wibrując szedł na nich wielki bałwan, obrywający się na białym szczycie pokrytym pianą. Łódź pędziła jak rybitwa, krajowiec na przeciwwadze obejrzał się na resztę płynących. Skulił się, przysiadł, przywarł stopami do pnia, rękami silnie ujął sztak. Łydki, uda, plecy i ramiona pokryły mu się mięśniami. Pochylił głowę w stronę fali, czekał zwięzły, przyczajony, gotowy. Siedzący w łodzi pochylili się do samych burt. Faluka strzeliła w górę, jak koń opadła na wodę iż jeszcze większym pędem

płynąc w dół, trzeszczała w wiązaniach i w maszcie. Antek wypuścił szot, żagiel załopotał. Bryzgi piany oblały ich. Żagiel złapał z powrotem wiatr; byli daleko od brzegu, płynęli teraz z pół-wiatrem, miękko i łatwo. Krajowiec, przeważający łódź, szczyrzył białe zęby w śmiechu wyciskając wodę z przepaski na biodrach. Był cały mokry. Woda błyszcziała na nim w słońcu.

Antek wskoczył na przeciwwagę i zmienił krajowca. Czuł teraz, że taka błaża bezczynność nie jest wcale łatwa. Zdawało mu się, że belka chce mu uciekać spod stóp. Tułów uciekał mu na wszystkie strony. Krajowcy śmiali się patrząc na jego skręcające się ciało; belka usunęła mu się, zawisł na rękach na sztaku, woda go oblała. Podciągnął się rękami i wskoczył do łodzi. Drugi krajowiec zajął jego miejsce. Zdjął dunkry i koszulę, przywiązał do masztu, i tylko w spodenkach wskoczył z powrotem na belkę. Krajowiec mu ustąpił. Zdawało mu się, że odkrył całą tajemnicę. Nie polegał teraz na swojej sile, której zawsze ufał. Wyczuwał kołysanie się łodzi, przewidywał i poddawał się odpowiednio ruchom łodzi. Po półgodzinnym staniu, zszedł do łodzi. Rani oddała mu ster, poprawiła opaskę i weszła na przeciwwagę. Stała wdzięcznie i swobodnie, jak gdyby

168

chwaląc się, że i ona to potrafi. Sterując przyglądał się krajowcom, wyciągniętym na dnie łodzi, i brzegowi, poroślemu ciemnozielonym mangrowcem. Słońce oblewało żarem, wilgotny wiatr chłodził, faluka sunęła

po szafirowej wodzie, nad nim widniał czysty błękit nieba. To było jego safari; gdyby miał porządną strzelbę i dużo amunicji, przeszedłby Afrykę w poprzek bez centa. Oczywiście nie sam, wziąłby sobie kilkunastu krajowców do pomocy. Chętnie by z nim poszli. Umiałyby znaleźć posłuch między nimi.

Rani zeszła z przeciwwagi, rozłupała kokos i podała Antkowi. Pił słodkawy płyn, potem wyjadał miąższ. Krajowcy pożywiali się swoimi pierogami. Rozpakował paczkę od Angielki. Czego w niej nie było? I sznycle, i jaja, chleb, ciastka i papierosy. Zostawił sobie tyle, ile mógł zjeść. Resztę dał Rani; ona podzieliła się z krajowcami. Jedli zadowoleni i weseli. Antek poczęstował ich papierosami. Papierosy najwięcej im smakowały. Często potem kładli palec do ust prosząc o papierosa. Dawał im chętnie, aż wypalili wszystkie. Zaczął wtedy palić murzyńskie, skręcane z liści. Z pełnym wiatrem wpływali w zatokę. Z daleka na brzegu stał kamienny budynek arabski. Słońce zachodziło. Krajowcy skracali sobie drogę płynąc między wąskimi przejściami wśród mangrowców. Było to śmiałe i zręczne przemykanie się, gdzie żagiel ocierał się o gałęzie. Wpłynęli na czystą wodę, na brzegu stało kilku Arabów. Do Antka podszedł administrator. Obejrzał jego dokumenty zapraszając go do swego domu. Rani z krajowcami stała przy faluże patrząc na niego smutno. Podszedł do niej. Pogładził ją po twarzy, przycisnął do siebie mówiąc:

– Bądź zdrowa!



Uśmiechnęła się do niego. Krajowcom uścisnął dłonie i skierował się za administratorem.

Wioska była mahometańska; z minaretu żałośnie śpiewał mułła; kiedy przestał, cisza zalała wioskę. Antek z administratorem zjadł skromną kolację, złożoną z placka z

169

masłem i kawy. Potem Arab zaprowadził go do innego domu na końcu wsi, do gościnnego domu — jak mówił. Tu go urządził prosząc go, by się czuł jak u siebie w domu. Znów spał we wspaniałym łóżku z moskitierą.

Rano Arab długo mu objaśniał, jak ma dojść ścieżkami do głównej drogi, gdzie prawdopodobnie spotka przejeżdżające samochody ciężarowe, dał mu przewodnika i pożegnał z godnością.

Szedł za przewodnikiem. Często ścieżki się przecinały, wchodzili więc na inną, aż doszli do szerszej; niedaleko była droga. Odprawił przewodnika i szedł sam. Wszedł na drogę. Na wysokich pagórkach stały małe chatki w odstępach kilkumilowych; domyślał się, że były to posterunki obserwacyjne, pilnujące brzegu i śledzące przybrzeżne ruchy statków. Wzdłuż drogi ciągnęły się plantacje palm kokosowych, z piramidami wielkich owoców leżących na ziemi. Z lewej strony, z wioski murzyńskiej, dochodziły go ludzkie głosy. Krajowcy przyglądali mu się. Podeszedł do niego starszy Murzyn, skłonił się nisko i niezłym językiem angielskim mówił, że Mr. Maber, Anglik,

który przebywa w wiosce, prosi go do siebie. Zgodził się na to z radością. Nad brzegiem morza, blisko wioski, na trawie pod cienistym mangrowcem, bielily się dwa namioty. W cieniu odpoczywał w hamaku Anglik. Widząc Antka poderwał się z hamaka i z radością uścisnął mu dłonie. Usiedli przy maleńkim stoliku na płóciennych stołkach. Maber cieszył się, że widzi tutaj białego, słuchał z zaciekawieniem jego opowiadań. Po czym sam zaczął opowiadać swoje dzieje. Już przez dziesięć lat był inspektorem dżungli o przestrzeni mniej więcej naszego województwa. Podróżował po swoim terytorium odbywając ciągłe inspekcje. Miał ze sobą trzy strzelby i piętnastu krajowców, w tym tragarzy, kucharzy i służących. Kucharza miał naprawdę wspaniałego, jak się Antek później przekonał. Z wioski dochodził ich hałas, jakiego jeszcze nigdy nie słyszał. Wsłuchując się chwilę pytał, co to jest.

170

– Uzdrowiają chorego — odpowiedział z ironią Maber.

– Chce pan popatrzeć?

W środku wsi, na placu, ciżba rozstała się zostawiając im przejście. W samym środku stała chora, podtrzymywana przez dwie kobiety. Odziana była w krowią skórę i owinięta derą. Pokraczny starzec chodził wokół niej mamrocząc i sycząc zaklęcia. Gdy przerywał, wszyscy wokół ryczeli, wyli bijąc w bębny, patelnie i inne naczynia kuchenne. Chora słaniała się,

traciła przytomność, oblewali ją wodą i dalej wypędzali z niej złego ducha, który nabawił ją choroby.

Antek nie mogąc patrzeć na to wyszedł z tłumu. Był pewny, że ją dobijają. Maber skierował się za nim.

Siedząc wygodnie przy namiocie rozmawiali. Maber znał dżunglę dużo lepiej niż crack-shooter. Wiedział, ile żyło na jego terytorium lwów, słoni, nosorożców, lampartów. Był zdania, że zwierzęta nie lubią czynić człowiekowi krzywdy. Lew omija człowieka i nie znosi jego towarzystwa. Najpodlejsza jest hiena. Bywały wypadki, że hieny napadały na śpiących krajowców rozrywając im najprzód twarz.

Po kolacji Antek pożegnał się z Maberem. Krajowiec odprowadził go do posterunku granicznego między Kenią i Tanganiką, gdzie wieczorem miał przechodzić ciężarowy samochód.

Posterunek pełnił cywilizowany krajowiec, wychowany przez jakąś misję religijną; był bardzo uległy i ślepo oddany białym. Mieszkał w okazałej chacie z gliny, krytej dachem z liści palmowych. Praca jego polegała na zapisywaniu nazwisk przechodzących ludzi i podnoszeniu szlabanu przejeżdżającym samochodom. Mieszkał z żoną, z małym dzieckiem i siostrą, ładnym, okazałym podlotkiem.

Przypomniała mu się Rani.

Ściemniło się. Moskity napastliwie zaczęły dobierać do skóry Antka. Krajowiec rozpalił ogień ze starego,

pokrycia dachu. Moskity pouciekały. Na szosie błysnęły przytłumione reflektory samochodu. Podszedł do szlabanu.

171

Samochód zatrzymał się. Cywilizowany krajowiec otworzył mu drzwi mówiąc coś z szoferem w swoim narzeczu. Antek usiadł przy szoferze, i samochód przetoczył się pod podniesionym szlabanem. Mały ciężarowy samochód skakał na wszystkie strony. Szofer musiał doskonale znać drogę. Nie zmniejszał biegu. Zręcznie wymijał kamienie i wielkie bryły zeschniętej ziemi. Krzaki coraz częściej wyrastały przy drodze. Światło reflektorów dziwnie sunęło przez dżunglę. W jarzącą się smugę wpadł kot wielkości średniego psa. Biegł przed samochodem aż do zakrętu, tu wpadł w dżunglę. Samochód skręcił. Wjechali na dobrą drogę, wysypaną zbitym, drobnym kamieniem. Szofer gnał sześćdziesiątką. Przed nimi w dole pokazały się światła Tangi. Samochód przemknął z sykiem po asfaltowej jezdni miasta. Miasto było puste o tej późnej porze.

Uzbrojony askar przepuścił Antka na drewniany pomost, Antek podszedł do pierwszej motorówki.

– Czy „Belgian Airman” jest w porcie? — krzyknął głośno.

– Jest — odpowiedziały mu dwa cienie.

Wszedł do motorówki. Dwaj czarni marynarze w mundurach H. M. S. zapuścili motor. Jeden usiadł przy

sterze, drugi odepchnął dziób bosakiem. Łódź szybko mknęła po czarnej tafli spokojnej zatoki. Wdzierała się coraz dalej w czarną ciemność. Po chwili ujrzano światła kotwiczne.

– To twój statek — mówił czarny majtek przy sterze.

Motorówka opłynęła półkolem i stanęła przy trapie.

Antek złapał się liny i skoczył na stopień.

Z góry oblało go światło elektrycznej latarki, potem usłyszał wesoły głos wachtowego:

– Antek, to ty, myśleliśmy, że cię już nie zobaczymy.

172

## KONWÓJ

Z północy mkną postrzępiono chmury. Czasami silniejszy wiatr wyrwie w nich dziurę, rozświeci blaskiem obramowanie z chmur, odsłoni niebieskie, czyste niebo, przez które sączą się zimne promienie słońca. Wzdęte fale, ubielone u góry, szumią smutnie. Północny Atlantyk zimą jest zły.

Konwój idzie na wschód, w przeszło dziesięciu kolumnach, po siedem statków w każdej, wszystkie dubasy, mające w swych kadłubach około pół miliona ton ładunku; wiozą wszystko — czego potrzeba Anglii do życia i do prowadzenia zwycięskiej wojny. Uncle Sam jest bogaty i hojny — dlatego Niemcy wojnę

przegrają. Konwój, sformowany w olbrzymi prostokąt, pokrywa wielką połąć wody, posuwa się ławą, szerszym bokiem naprzód. Statki idą w równych kolumnach, w dobrych odstępach. Wszystko tchnie porządkiem i siłą; tak musi być: „Bitwa o Atlantyk” trwa. Nie ma takiej siły na naszym globie, która, mogłaby zatrzymać konwój w drodze do Anglii. Pierwszy w środkowej kolumnie, olbrzymi frachtowiec z flagą na przednim maszcie, trzyma pieczę nad wszystkim, z jego mostku kilka lornetek stale wpatruje się w całość i poszczególne statki. Zawsze jest upstrzony sygnalizacyjnymi flagami i błyska morsem we wszystkie strony. Daje rozkazy, często tajemne, wskazówki i polecenia, dla których zrozumienia oficerowie na mostkach muszą szperać w Code

173

Book. Napomina, łaje, śmieszy. Nie jest to przyjemne dla starych wygów, którzy często pół życia byli na morzu, być ośmieszonymi za niedołęstwo na oczach całego konwoju. Wpadają wtedy w ambitną wściekłość. Czasami po kilku dniach dostają pochwałę, z której sobie nigdy nic nie robią. Zawód ich jest pasją, artyzmem i miłością życia. Morze daje upust ich żywiołowym naturom. Tu są, gdyż na lądzie jest za mało dla nich miejsca. Komodor ma stale łączność z płynącym przed nim przewodnikiem destroye-rów, dowódcą osłony. Czasem który z okrętów wojennych przychodzi doń pod samą burtę, by zamienić z nim kilka słów ustnie. Na przodzie idą cztery destroyery,

nawracają ciągle w zygzakach. Płyną wolno, to znów suną całą szybkością, aż z frachtowców im zazdroszczą, podchodzą pod sam konwój, to znów rwą i giną za horyzontem. Są tak czujne i zdatne do każdego zrywu, że serca obserwujących ich marynarzy z niedołączonych frachtowców napełniają się podziwem i radością. Wyglądają cięto, nie czekają na nadejście walki, a szukają jej! Jeśli znajdą — idą jak wichry, zostawiają po sobie ściany piany, zwinnie i ostro zawracają i znów idą, by kasać. Są one najpiękniejszymi wojennymi okrętami.

Po krótszych bokach olbrzymiego prostokąta płyną po dwie kanadyjskie korwetki, a w tyle znów destroyery. Submaryny mogą tu mało wskórać i tylko wtedy, jeśli same się zgodzą na własną zagładę. Z kominów frachtowców idą smużki dymów, rozwiewane zaraz wiatrem, nad dziobami przelatują bryzgi fal. Długie, mało wystające z wody tankowce, z załadowanymi samolotami na pokładach, idą w samym środku konwoju, w najpewniejszym miejscu. Benzyna to krew wojny, to cenna rzecz i dlatego tam idą: obramowane są statkami o niewinnym ładunku, za nimi znów wiozące proch i amunicję. W bocznych kolumnach, w przednim i tylnym rzędzie idą statki, które mają żywność — najmniejszy ładunek, są one tendrami na pierwsze uderzenie. Wszystkie mają deklas: samolotów,

174

olbrzymich czołgów, troków, pak, beczek, lokomotyw, wagonów kolejowych i innych rzeczy. Wszystko, co

potrzebne do zwycięstwa a do zguby Niemcom.

Oczy całego świata utknęły w konwoju, w tym symbolu zwycięstwa. Jeśliby nie dopłynął do Anglii, świat pokryłaby czarna posoka krwi i niewolnictwa. W tym czasie zwycięstwo było zależne od konwoju: dla całej ludzkości; dla tych, co żyją w słońcu, i dla tych, co giną w suterenach; da on im większą możliwość zrzucenia z siebie hańbiącej nędzy.

Słońce wylazło z chmur. Statki kołyszą się łagodnie z burty na burzę. Wszystko idzie sprawnie. Widać siłę i pewność, daje to radosny nastrój marynarzom. Statki idą w przyjaznej wodzie, okolone zwycięskim powietrzem. Płyną różne bandery obok siebie. Najwięcej jest angielskich a najmniej polskich. Polska marynarka handlowa, najmłodsza ze wszystkich, ale nie najgorsza, rąbie swoją historię. Pełnowartościowa, żywiołowa, z chęcią czynu, bijąca wszystkie inne. Mało jej jest, ale będzie jej sto razy więcej.

Za rufami lecą gromady mew, wyginają szyję, wypatrując jedzenia. Będą już tak leciały do Anglii, by wrócić z powrotem za następnym konwojem. Piękne ptaki, przyjaciółki żeglarzy. Morze straciłoby połowę swego życia gdyby ich nie było. Przy zmianie wacht marynarze odczytują logi, które stają, to znów rozkręcają się, w swym biegu, i spoglądają na mewy, kołujące blisko ich głów i szybko — by nie zapomnieć mil — idą na mostek. Na mostkach bystro wypatrują wszystko. Czasem szturman rzuci sternikowi: kilka stopni w prawo lub w lewo, huknie przez tubę do



maszyny, by podkreślić, to znów flagi i Morse. Marynarze dzielą się ze szturmanami wszystkimi spostrzeżeniami. Po pokładach chodzą bosmani bacząc na wszystko. Choć statek już jest clear i idą tylko morskie wachty, zawsze znajdą coś do uzupełnienia. Wychodzący z maszyny najpierw zamienia z bosmanem swojski

175

uśmiech. Oczywiście myślą o Nowym Jorku, który rano opuścili. Ten uśmiech — to przeżycie z lądu, które jeszcze tkwi mocno i radośnie. Majster wygląda za burty; patrzy, jak woda leci z maszyny, spogląda na przesuwającą się wodę, ocenia szybkość i idzie z powrotem pod pokład. Okutani gunnerzy, stojąc przy działach, w milczeniu trawią to samo. Nie ruszają się z miejsca, tylko oczy ślizgają im się po wodzie.

Pod wieczór idzie dużo sygnałów flagowych. Słońce zachodzi za chmury i horyzont, nadchodzi noc. Nie widać żadnego światła. Niekiedy tylko z przodu destroyer błysnie morsem do kolegi, płynącego obok niego. Dzieli się spostrzeżeniami. Statki suną teraz jak cienie, trudno je dojrzeć. Na mostkach wachtowi mają stale na oczach swoich poprzedników; nie łatwo ich dojrzeć, gdy się ich straci. Oglądają się na boki i w tył, czy nie nadchodzi ich jaki statek. Oczy wbite w ciemną ścianę nocy przebijają ją. Często z zawietrznej strony zaszumi groźnie przybliżający się statek. Okapturzeni gunnerzy stoją na swych stanowiskach, ciepło im, tylko w twarz zimno. Wąsy w soplach lodu, porośnięte brody

okrywa szron. Woda silnie fosforyzuje. Za rufami zostają jasne bruzdy. Idą wybłyski od dziobów i po burtach; czasami większa fala załamie się i wybłyśnie jasno przez ułamek sekundy. Noc przechodzi spokojnie, jest już o jeden dzień drogi mniej.

Przyszedł dzień, mało różniący się od nocy. Niebo pokryte czarnymi, zbitymi chmurami. Zmarznięte twarze mogą tylko pomarzyć o słońcu tropikalnym, gorącym słońcu z ubiegłych rejsów. Nie czas teraz na marzenia, tu jest najważniejsza robota — „Bitwa o Atlantyk”. Tu teraz muszą dać swój największy wysiłek, tu już nie przyjemność, ale wojna. Pod pokładami jest bardziej ludzko. Wolni, po wachcie, siedzą przy herbacie, grają w karty, rozmawiają miękko o swoich dziewczętach. Jest tu tak dobrze i ciepło! Wachtowi schodzą z mostków i od maszyn. Po małym wypoczynku kładą się na swoje koje. Sen jest

176

zawsze błogosławieństwem dla strudzonych marynarzy, twardy sen uczciwych ludzi, który daje im niespożytą siłę do dalszych zmaganiań.

Pogoda stale się psuje. Miejsce słońca pokryte jest chmurami. Wiatr dmie coraz silniejszy. Po kilku dniach statki z wysiłkiem torują sobie drogę wśród nawałnicy. Po rozoranym morzu chylą się na wszystkie strony. Dzioby idą w górę, potem walą się całym ciężarem, nurzają się w wodzie, podnoszą, zrzucają z siebie fale, z

których bryzgi uderzają o mostki. Kadłuby ordynarnie dygoczą i jęczą w wiązaniach. Rufy idą w górę, wtedy śruby zwalniają lub wirują wściekle przenikając drzeniem wszystko. Olbrzymie, pękate brzuchy wychylają się z wody, pokazują całą rdzę. Za statkiem wiją się smugi piany. To złe morze jest przyjacielskie dla nas, gdyby go nie było — Niemcy wygraliby wojnę. A że ono jest — to jeszcze jeden dowód, że przegrali. Morze rozdziela słabych, a łączy silnych. Wicher dmie z wielką siłą. Ciężko załadowane statki obracają się bokiem do fali, lżej — wychodzą pod wiatr. Sternicy mają teraz trudną robotę. Kiedy dziób wyskoczy z wody, zaraz wiatr go spycha. Rufy zarzucają ciągle. Sterować udaje się skupionym i spokojnym. Często przechodzą szkwały. Woda podcięta z czuba fali unosi się w górę, ścina się w lód, siecze po twarzach wachtowych na mostkach i przy działach. Po pokładach woda chlusta przewalając się od relingu do relingu. Przychodzi burzliwa noc. Na mostkach idą ciężkie wachty. W największym nateżeniu wszystko przechodzi dobrze. Statki przecież tak łatwo mogą wleźć na siebie i jeszcze prędzej pójść na dno. Na mostkach własna skóra czuje odległości, tak, to idzie teraz o skórę. Zarzucanie statków nie przeszkadza spaniu; dobry marynarz, gdzie przylgnie, tam śpi.

W dzień wiatr przybrał siłę sztormu, wykręcił się na północno-zachodni i dmie z taką siłą, że kładzie statki na burty aż do relingów. Fale raz po raz przewalają się nad pokładami. Linki od logów bokiem wloką się za rufami.

Woda syczy pod rufami przy wielkim ssaniu i bulgocze przy większej fali. Słabsze statki zostają w tyle. Konwój idzie wolno, by przetrwać sztorm. Nocą fale z grzywaczami jaśnieją w ciemnościach.

Rano fala podbija i strąca w wodę kilka słabo zamocowanych tratew. Z amerykańskiego Liberty zerwała szalupę, która ładnie usiadła na wodzie i dobrze trzyma się fali. Zupełnie nowa szalupa z całym wyposażeniem wewnątrz. Przyglądają jej się marynarze z żalem. Stracona — szkoda — takie cacko! Z falą płynie sobie środkiem konwoju, statki ją omijają, nie próbują ratować. Idące w tyle destroyery nie zatopiły jej z armat: była zbyt ładna, by ją zniszczyć, a był rozkaz nie rzucać za burtę niczego, co pływa: blaszane puszki były zawsze dziurawione i butelki tłuczone. Szalupa została daleko w tyle, na pewno przetrwa sztorm i zzbogaci jakiego biedaka.

Po południu wiatr osłabł. Nocą wzburzone fale, nie mniejsze niż za dnia, może nawet większe, toczą się jednak łagodniej i bardziej miarowo. Rano słońce wyszło z horyzontu, pogoda się poprawiła.

Frachtowiec z lewej kolumny wywiesił flagę z żądaniem doktora, potem morsuje do komodora. Ma ciężko chorego na pokładzie — może zaszedł jaki wypadek? Po kilkunastu minutach korwetka podchodzi do niego. Nie może podejść pod samą burtę, woda za mocno wzburzona. Podeszła z pięćdziesiąt jardów z

lewej strony. Zaczęła się przez tuby rozmowa doktora ze szturmanem. Z korwetki wystrzelili linę, upadła na pokład szalupowy frachtowca. Marynarze ciągną na niej przyczepione leki; gdy wyciągnęli — puścili linę luzem. Kilkudziesięciu marynarzy z korwetki przyglądało się ze współczuciem nielicznej załodze z frachtowca. Doktor krzyknął kilka wskazówek na pożegnanie, zadzwonił telegraf, wypłynęła biała piana za rufą, marynarze z obu statków wzniesli ręce żegnając się. Korwetka skoczyła w lewo całą mocą i pomknęła na swoje stanowisko.

178

Olbrzymi, czerwony krąg słońca jest nisko nad wodą, mało grzeje, raduje tylko oczy swoim złotym blaskiem. Po mostkach leci spostrzeżenie: samolot z lewa. Po kilku minutach przyjacielska Catalina wolno leci na przedzie, zatacza kręgi wokoło konwoju. Spoglądając na nią i marynarze uśmiechają się do siebie. Marynarz zawsze radośnie odczuwa widok przyjacielskiego samolotu w morzu. Znów sygnał — samoloty na przedzie. Oczy z mostków wypatrują przez szkła. Tak, lecą dwa olbrzymy, czteromotorowe Focke-Wolffy — nikt o tym nie wątpi. Wysunięty w przedzie destroyer otworzył ogień. Zawróciły na bok i na oczach wszystkich zaczęły okrążyć konwój. Na pokładach wszyscy w hełmach. Gunnerzy, wtuleni w działka, czekają, stoją przy dwudziestofuntówkach, zajadle wodząc oczyma za olbrzymem. Statki idą więcej ściśnięte, ostatnich nie potrzebuje już komodor

poganiać. Wiedzą, czym pachnie teraz zbyt ni odstęp. Z tyłu destroyer znów odegnał ich ogniem. Osłona okrętów wojennych przyszła pod sam konwój, szczyrzy zęby, gotowa zawsze plunąć ogniem. Catalina zniżyła lot, lata nad konwojem. Chowa się za jego działami. Była ona w najgorszym położeniu: gdyby ją spotkały samą w morzu, byłby to na pewno jej ostatni lot. Catalina jest samolotem obserwacyjnym, mającym tylko tę zaletę, że może latać bez przerwy przez kilka dni i nie ma żadnej szansy stoczenia walki z bojowym, ciężko uzbrojonym Focke-Wolfem. Wolfy dalej kołowały tuż przy konwoju lecąc obok siebie — jeden wysunięty nieco do przodu. Gdy ciaśniej podchodziły, destroyery odpędzały je ogniem. Odeszły dalej. Wszyscy myśleli, że zaniechały ataku, aż runęły, jeden za drugim, na ostatni statek w lewym rogu konwoju. Przeszły ponad ogniem destroyera. Zdawało się wszystkim patrzącym, że już po frachtowcu. Nie myśleli tak jednak stojący przy działkach na nim. Wolfy idą, destroyer jeszcze strzela im za ogonami. Stateczek zrobił zwrot na zewnątrz konwoju, na pewno przy swej największej szybkości. Wolfy tuż nad

179

nim — zagrzemiał wtedy całym ogniem... Pierwszy Wolf zadymił — stateczek ciągle trwa w grzmocie. Wolf zajaśniał ogniem lecąc w dół, aż zniknął w wodzie. Drugi za nim poderwał w lewo i zniknął w tyle konwoju. Po pokładach przeleciały dzikie krzyki radości. Ocalały Wolf nie pokazuje się. Po pół godzinie

Catalina wzięła kurs na Islandię lecąc nisko nad wodą. Nadała potem przez radio, że spotkała drugiego Wolfa i podczas ucieczki zestrzeliła go. Wspaniała — niemrawa — Catalina!

Załogi są w dobrych humorach, Wolfy rozbudziły ich zupełnie; gdyby im mróz nie dokuczał, byłoby wszystko tak, jak powinno być. Pod wieczór na maszcie na przodzie płynącego destroyera widać długą, czarną flagę. Wysuwa się szybko w bok, do niego idzie korwetka. Idzie całą szybkością, za rufą widać białe, skaczące pęcherze, potem słychać liczne eksplozje. Destroyer kołuje w miejscu. Korwetka tuz obok chodzi w zygzakach. Konwój przesuwa się obok nich. Zostają w tyle — rzucają raz po raz bomby głębinowe, aż horyzont zakrywa je.

Wieczór jest prawie spokojny. W nocy słychać wybuchy. O burty obijają się uderzenia podobne do tych, jakie daje pękający lód. Od bliższych eksplozji drżą całe statki. Nie śpią ludzie tej nocy wcale. Czasem spoglądają za burtę czując zimną wodę w dotyku. Na mostkach patrzą, aż oczy bolą od wysiłku. Gunnerzy przy załadowanych działach im pomagają. Ci chłopcy patrzyli na lądzie swobodnie, beztrosko i zuchwale — teraz ta swoboda i beztroska poszły precz. Została tylko zuchwała odwaga. Niektórzy są teraz prawdziwym wcieleniem diabłów: szczerzą na wszystko jeszcze zuchwalej zęby. Tych, którzy się boją, strach odchodzi w momencie pokazania się podłego licha. Największy wysiłek dają jednak ludzie w maszynach pełniąc swą

pracę głęboko pod pokładami Nie widzą nic, tylko za cienkimi burtami słyszą eksplozje. Przeżywają je, mówiąc jeden do drugiego: „daleko” lub „blisko”. Zupełnie inaczej jest trzymać w garściach działko

180

lub pchać w lufę dwunastofuntowy pocisk, wachać proch i zabijać, a jeśli tonąć — to w walce. Na samym dnie statku dają tylko największy i najsprawniejszy wysiłek, by największą szybkość zyskać w ostrym zwrocie, który często ratuje życie. Jeśli statek szybko idzie w wodę, oni pierwsi toną. Po północy robi się piekło. Eksplozje dochodzą ze wszystkich stron, zupełnie blisko. Okropny wstrząs ruszył wodę i powietrze. W środku konwoju pokazała się łuna ognia: to statek z amunicją przestał istnieć. Wszyscy pochylają głowy, chcą przebić wzrokiem ciemność. Zrozumieli: pod konwojem submaryna. Statki strzelają rakietami; jest jasno jak w dzień. Środkiem konwoju sunie korwetka, mija statki prawie ocierając się o nie. Raz po raz rzuca całe serie bomb głębinowych. Statki skaczą, gną się. Przechodzą szybko. Waruje tylko w tym miejscu korwetka. W świetle rakiet nie widać śladu po statku który dostał torpedę. Wybuchy bomb głębinowych ustają nad ranem. Słońce wschodzi jasne, wstaje piękny dzień. Nie widać śladu submaryny, wszystko wygląda najnormalniej; zapomniano o nocy i statku, którego już nie ma. Pod wieczór destroyery suną szybko — jest jednak spokojnie. Anglicy dowiadują się, że za wolność trzeba płacić krwią — trzeba przyznać,



że płacą rzetelnie. Chcieliby i mogli powtórzyć czas Nelsona. Niemcy nie okazali się jednak przeciwnikami na miarę byłych Hiszpanów, Holendrów i Duńczyków.

Wszyscy w dzień śpią trochę i wypoczywają. W nocy tylko wachty są na mostkach. Po wachtach siedzą w ciepłych messach lub pod pokładem. Zawsze gotowi na wszystko przy swoich korkach. Wrą w żywych rozmowach. Te prostaki rozwiązują problemy społeczne bardzo prosto i zrozumiale. Tak — wojna uczy wiele. Gdy się stoi na granicy cienia, przychodzi odwaga. Kiedy trzeba dawać życie, zaczyna się je dopiero kochać. Jeśli zostaną przy nim po wojnie, muszą żyć lepiej niż przed wojną. Flegmatycznym Anglikom już nie smakuje „draft” i „fish and chips”,

181

kiedy inni leją strumieniami Scotch i brzuchy im pęcznieją od sznycli. Miedzy nami na pokładach statków są piętnastoletni chłopcy, którzy bardzo ciężko pracują i wiedzą, co to wojna. A przecież nawet teraz, w tym czasie, tacy chłopcy, synowie lordów, chodzą do Eton. Skandynawowie tchną ideowym socjalizmem. Grecy i Jugosłowianie są zupełnie pewni, że z odejściem Niemców skończy się w ich krajach niewolnictwo. Francuzi myślą o jeszcze jednej epokowej rewolucji, dla dobra całej ludzkości. Polacy przyrzekają, że upuszczą, by spływała rynsztokiem, zdegenerowaną krew, która trzyma ich kraj w nieszczęściu już sto pięćdziesiąt lat. Są pewni, że jest to konieczne, jak chirurg który musi uciąć chorą rękę, by

zachować życie pacjenta. Tak — orzeł musi być, ale bez korony.

Tu pod pokładami mówią o nowym życiu, na nich zawieść się nie można. Gdy lud w kraju stanie na barykadach, odmontują działa, karabiny maszynowe i powtórzą Kronsztadt , Kiel i Barcelonę. Na takich rozmowach przechodzi im noc, przy odgłosach eksplozji bomb głębinowych.

Rano dołączył się destroyer, który został za idącym w tyle maruderem. Przyszedł sam przywożąc na pokładzie załogę z frachtowca i Niemców pod pokładem. Normalnie: łeb za łeb. Nikogo to nie cieszy ani nie smuci. Słoneczny dzień przechodzi spokojnie. Pod wieczór znów dwa destroyery wybiegają daleko w przód na prawo. Komodor podaje zmianę kursu. Wśród ryku syren statki kładą się w zwrot o dziewięćdziesiąt stopni w lewo. Destroyery zostały w tyle, dokładnie mieszają wodę. Pod wieczór konwój wychodzi z powrotem na kurs.

Następnego dnia pokazał się angielski Liberator. Tak, to już dwa tygodnie minęło od czasu opuszczenia Ameryki. Mróz coraz mniejszy i dni przechodzą jasne. Submaryny nie pokazują się. Unikają one teraz wód przy Anglii. Tu łódź podwodna jeśli Anglicy natrafią na jej ślad, rzadko im ucieka, najczęściej ląduje na dnie.

182

W nocy przyszła mgła. Śpiący w kojach budzą się, rozumieją — słysząc wycie syren — odwracają, się na

drugi bok i zasypiają. Konwój idzie w ciągłym ryku syren. Chropowato wyją parowce, motorówce dźwięczą czysto, z drzeniem; jest cała gama: od twardego grubego ryku aż do przejmującego pisku. Niektóre pięknie grają inne świdrują uszy lub syczą tylko parą. Podają głosy by nie wleźć na siebie. Czasami jedna syrena powtarza lub podaje numer, by dowiedzieć się, czy jest w swoim miejscu. Po kilku godzinach wszyscy znają się po głosach, rozpoznają sąsiadów. Konwój ciągnie wolno. Statki dziwnie szumią zachodząc za siebie. Hamują dopiero, gdy zobaczą przed sobą wyblask światła na rufie lub burcie. Prowadzenie statku w konwoju podczas mgły jest najbardziej nużące. Noc minęła, mgła wciąż, wisi w powietrzu, lepka, zimna i nieprzyjemna jak maź. Czasami rzędzie, widać wtedy statki, spowite w żółte chmury; płyną w dobrych odległościach. Wypatrują wytrysk piany zza beczki, wleczonej na linie przez poprzednika, i znów czas wlecze im się aż do obrzydzenia. Przy Anglii mgła przeszła odkrywając pochmurny dzień.

Ląd już jest blisko, czuć go nawet w powietrzu. Komodor sygnalizuje, by na burtach wywiesić tablice z nazwami statków. Konwój tu się rozejdzie. Nazwy były kiedyś przed wojną wymalowane na dziobach i rufach, teraz ich nie widać. Co za nazwy!- Śmieszne, piękne, nic nie mówiące i takie jak „British Glory”, „British Pride” — wszystkie tankowce. Naprawdę, dla tych ludzi, którzy na nich byli, to była duma i chwała. Jeśliby im ktoś obcy tak mówił, wzięliby to za śmieszny kawał. Z obcych zresztą nikt o tym nie wie, jest to

tajemnica. Dumne nazwy wywieszali tylko we własnych portach i sprzymierzonych, a czasem tylko dla orientacji przy formowaniu się konwoju, rozejściu lub na zapytanie wojennego okrętu. Konwój się rozchodzi. Każdy statek dźwięczy syreną i bierze kurs do portu przeznaczenia. Kiedy zacumują w portach, marynarze wyjdą

183

na ląd śmiało i zuchwale, wiedząc, że spełnili robotę, godną mężczyzn. W najbliższej knajpie przy kuflu piwa zapomną o mrozie i psich wachtach. Kiedy jakaś dziewczyna, zdziwiona niebywałą zuchwałością, zapyta:

– Skądżeś ty? —

zawsze dostanie. tylko jedną odpowiedź:

– Z Morza.

Znaczy to wszystko i nic.

Mundury? Nie — rozchełstane koszule lub sweter. Na urlopie, owszem, ubranko skrojone do przymiarki, by mógł zmieścić bary.

Wstążeczki na pokaz — to nie w ich smaku. Odsyłają je wraz z laurką starej matce, jeśli jeszcze żyje.

– To od Króla.

By wiedziała, że i jej chłopiec też coś wart.